

MAGAZYN *razem z dodatkami*

- Prawdziwy horror? A może smutna schroniskowa Rzeczywistość?
 - Dr Tomasz Słupik: Polityka Trumpa jest bardzo chaotyczna, brakuje w niej elementarnej spójności
- PLUS** TELEMAGAZYN z programem TV oraz Raport Powiatów



GŁOS DZIENNIK POMORZA POMORZA

Piątek
30.01.2026

Nr 24 (5782)
Nakład: 9.640 egz.

www.gp24.pl
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Rozmowa
z dr n. med. Beatą
Maćkowiak-Matejczyk,
specjalistą ginekologii
onkologicznej **str. 2**

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



Trzy miesiące aresztu dla podejrzanego o zabójstwo



FOT. PATRYK CZERWINSKI

Sąd Rejonowy w Słupsku tymczasowo aresztował na okres trzech miesięcy 44-letniego funkcjonariusza SOP, podejrzanego o zabójstwo swojej 4-letniej córki **str. 3**

Rada Miejska w Słupsku
obradowała w poszerzonym składzie
str. 4



FOT. UM SŁUPSK

Łukasz Klein na co dzień pracuje w wojsku jako ratownik pokładowy na śmigłowcu, ale adrenaliny mu mało. W wolnym czasie zdobywa szczyty **TYGODNIK REGIONÓW - STR. 12-13**

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011465443

DZIĘKI WSPARCIU ORLENU „OSTOJA” BĘDZIE MOGŁA URATOWAĆ WIĘCEJ DZIKICH ZWIERZĄT

Już w marcu podopieczni Pomorskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt „Ostoja” będą mogli nabierać sił w komfortowych warunkach. Inwestycja w woliery z basenem jest realizowana dzięki wsparciu Fundacji ORLEN dla Pomorza w ramach programu „Bałtycki Grant Bioróżnorodności”.

Czytaj na stronie 15

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Andrzej Sikorowski - spędził na estradzie 50 lat	PONIEDZIAŁEK ● Sportowy24: Grali na boiskach, grali na parkietach	WTOREK ● Strefa Biznesu: W gąszczu ekonomii nie zginięsz	ŚRODA ● Strona Zdrowia: Ile kalorii ma najzdrowsza pizza?	CZWARTEK ● Pod Paragrafem: Polska Ludowa walczyła z bimbrem	PIĄTEK ● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości
---	---	--	---	---	--

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Nie powinniśmy umierać z powodu raka szyjki macicy

Bogna Skarul
Rozmowa

dr n. med. Beata Maćkowiak-Matejczyk, specjalista ginekologii onkologicznej

Jak się zmienia profilaktyka raka szyjki macicy? Zawsze mówiono, że cytologia jest najważniejsza. Czy teraz jest coś więcej?

Głównym czynnikiem sprawczym raka szyjki macicy jest wirus brodawczaka ludzkiego (HPV) i od wielu lat jest dostępne szczepienie przeciw temu wirusowi. To szczepienie od kilku lat jest refundowane dla określonej grupy wiekowej - dla dzieci i młodzieży od 9 do ukończenia 14 roku życia, zarówno dziewcząt, jak i chłopców. Co nie znaczy, że inne grupy wiekowe nie powinny się szczepić. Refundacja dotyczy tylko nastolatków, natomiast zalecenia nie mają górnej granicy wiekowej. W każdym wieku

Kiedy najlepiej się zaszczepić?

Idealnie szczepienie spełnia funkcję profilaktyczną, jeżeli jest wykonane przed rozpoczęciem współżycia, ponieważ zakażenie wirusem HPV przenosi się przede wszystkim drogą kontaktów seksualnych. Ale nie zawsze jest ten ideał możliwy. Każdy inny czas również jest dobry na zaszczepienie, ponieważ zawsze chroni nas przed kolejnymi zakażeniami. Na pewno powinni się szczepić osoby, które z jakiegokolwiek powodu w życiu zmieniają partnera.

Kto jeszcze powinien się zaszczepić?

Choroby spowodowane wirusem HPV dotyczą zarówno kobiet, jak i mężczyzn. U kobiet mówimy oczywiście o raku szyjki macicy jako tym najczęstszym, ale przecież są też nowotwory pochwy, sromu, odbytu, a także nowotwory głowy i szyi, o czym się już może trochę mniej słyszeć. Podobnie rzecz się ma u mężczyzn - nowotwory głowy i szyi, migdałków u młodych mężczyzn, nowotwory prącia, nowotwory odbytu. Te nowo-



Beata Maćkowiak-Matejczyk: - Nasze społeczeństwo nie zgłasza się na szczepienia i nie zgłasza się na badania profilaktyczne

twory HPV-zależne dotyczą obojga płci. W związku z tym zarówno mężczyźni, jak i kobiety oraz - chłopcy i dziewczęta, powinni być zaszczepieni, żebyśmy mogli mówić o skutecznej profilaktyce.

Czy mężczyźni są świadomi, że powinni się szczepić, że ten wirus dotyczy też ich?

Niestety nie. I tutaj na pewno kuleje edukacja. O tym powinni mówić rodzice, szkoła, media, prasa, telewizja. To są zadania edukacyjne. Czyli edukacja, jeszcze raz edukacja i jeszcze raz edukacja, żeby uświadomić, że ochrona jest nie tylko przed rakiem szyjki macicy.

Dlaczego właśnie rak szyjki macicy jest tak nagłaśniany?

Ten temat jest nośny, ponieważ zachorowalność na raka szyjki macicy jest dość duża - większa niż na nowotwory sromu czy odbytu. Według danych z Krajowego Rejestru Nowotworów rak szyjki macicy zajmuje 7. miejsce wśród zachorowań na nowotwory u kobiet i stanowi 2,5% wszystkich nowotworów kobiet.

Wspomniała Pani o cytologii. Proszę powiedzieć więcej o badaniach profilaktycznych.

Nowotwór szyjki macicy jest specyficzny - jest łatwy do profilaktyki i łatwy do wykrycia. Tak naprawdę tych zachorowań, które mamy w Polsce, w ogóle nie powinno być, albo powinny być wykrywane na wczesnych etapach, jeszcze

w stanie przedinwazyjnym, które możemy leczyć w 100%. Problem polega na tym, że nasze społeczeństwo nie zgłasza się na szczepienia i nie zgłasza się na badania profilaktyczne. Badania profilaktyczne są proste, łatwe i tanie. Do wykonania wystarczy po prostu pójść do lekarza. Jest to cytologia. Ostatnimi czasy wprowadzono też do profilaktyki schemat oceny obecności wirusa HPV, HR czyli wysokiego ryzyka i najczęściej występujących. Możemy już wyłapać grupę kobiet, która jest zakażona, i te kobiety objąć ściślejszym nadzorem. Tylko trzeba przyjść na to badanie.

Czym jest cytologia płynna?

Cytologia płynna, czyli cienkowarstwowa jest badaniem oceny komórek podobnie jak to określa dotychczasowe badanie. Różnica polega na sposobie utrwalenia i oceny materiału - te procedury są dokładniejsze. Cytologia tzw. płynna jest wykonywana u pacjentek, które mają dodatni wynik testu na HPV HR.

Jaka jest umieralność na raka szyjki macicy?

W Polsce zła. Według danych z Krajowego Rejestru Nowotworów z 2023 roku zachorowało 2366 kobiet, a odnotowano 1400 zgonów. Czyli ponad połowa kobiet umiera, a nie powinna umrzeć żadna z powodu tej choroby. To powinniśmy sobie uświadamiać. Jest to po trosze, jeżeli nie w całości, nasza wina, że tak siebie traktujemy.

Zaniedbujemy się?

Tak, zaniedbujemy. Mamy możliwości, z których nie korzystamy.

Ile kosztuje szczepionka?

To zależy od producenta, rodzaju szczepionki, miejsca zakupu - apteki czy bezpośrednio od lekarza. Jest to kwestia kilkuset złotych za jedną szczepionkę, a trzeba przyjąć trzy dawki. Nastolatki mogą przyjąć dwie. Natomiast pozostała część profilaktyki, czyli badania cytologiczne czy badania w kierunku HPV, są stosunkowo ta-

nie, globalnie rzecz ujmując, a pacjenta nie kosztują nic, ponieważ wystarczy pójść do swojego lekarza czy położnej.

Jak często trzeba robić cytologię?

To zależy od sytuacji. Jeżeli nie ma zakażenia wirusem HPV, to co pięć lat takie badanie przesiewowe. Jeżeli jest zakażenie, wtedy tak często, jak jest potrzeba. Tę potrzebę określa wynik poprzedni, a także czynniki ryzyka, które ocenia lekarz czy położna w momencie badania - położne też mogą pobierać takie badanie. Czynniki ryzyka obejmują również wygląd szyjki macicy czy obecność innych towarzyszących schorzeń.

Czy kobiety są bardziej świadome potrzeby profilaktyki niż mężczyźni?

Z natury swojej pracy mam do czynienia właściwie tylko z kobietami, więc trudno mi porównywać. Jeżeli dopytuję o partnerów, to rzeczywiście świadomość dotycząca zakażeń wirusem HPV jest mała. Jeśli chodzi o kobiety - oczywiście sytuacja się zmienia. Są Panie, które wiedzą, są zainteresowane, ale jest też bardzo dużo osób, które w ogóle nie słyszały o wirusie HPV. To wydaje mi się naprawdę dziwne w dzisiejszych czasach.

Czy to dotyczy bardziej młodszych środowisk, wiejskich?

Nie ma takiej granicy. Zdarzają się młode kobiety, które w ogóle nie wiedzą, co to jest wirus HPV, wirus brodawczaka ludzkiego.

Co chciałaby Pani podkreślić na koniec?

Chciałabym zaznaczyć i chciałabym, żeby to wybrzmiało: raka szyjki macicy w ogóle nie powinno być w takiej formie, w jakiej w Polsce jest. Nie powinniśmy umierać z powodu tego nowotworu. A żebyśmy nie umierały, ten nowotwór powinien być wykryty stosunkowo wcześniej. I niewiele to kosztuje - kosztuje tylko przejście się do swojego ginekologa czy do gabinetu położnej w celu pobrania cytologii. ©©

KALENDARIUM

30 STYCZNIA POLSKA

1920 Tczew wrócił po okresie zaboru pruskiego do Polski.

1945 W rejonie Ławicy Słupskiej na Bałtyku, w dniu 50. urodzin swego patrona, został zatopiony przez radziecki okręt podwodny S-13 niemiecki statek „Wilhelm Gustloff”. Zginęło 6600 osób, najwięcej w historii katastrof morskich.

1968 Studenci przeprowadzili demonstrację pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Warszawie przeciwko zdjęciu przez cenzurę spektaklu Dziady w reżyserii Kazimierza Dejmka.

1998 Podniesiono banderę na statku naukowo-badawczym Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie MS „Nawigator XXI”.

ŚWIAT

1922 W Hadze zainaugurował działalność Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej.

1933 Adolf Hitler został mianowany kanclerzem Niemiec przez prezydenta Paula von Hindenburga.

1939 Adolf Hitler stwierdził w przemówieniu w Reichstagu, że w przypadku wybuchu nowej wojny światowej dojdzie do „unicestwienia rasy żydowskiej w Europie”.

1968 Japonia wyrzekła się posiadania, produkcji i wprowadzania na obszar kraju broni atomowej.

1969 Na dachu budynku Apple Records w Londynie odbył się ostatni występ grupy The Beatles.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Zakończyły się prace remontowe w największej sali konferencyjnej Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie. Prace trwały blisko 4 miesiące. To, co od razu przykuwa wzrok w odrestaurowanej sali, to nowe oświetlenie - podkreślono nim ozdobne ościeżnice, balkonową galerię i ściany. Pod sufitem zawisła wielka lampa z 55 punktami świetlnymi skrytymi w kloszach przypominających kwiaty.

Areszt dla podejrzanego o zabójstwo swojej 4-letniej córki

Patryk Czerwiński
Słupsk

44-latek podejrzany o zabójstwo swojej czteroletniej córki oraz usiłowanie zabójstwa reszty członków rodziny, został wczoraj (29.01) doprowadzony do Sądu Rejonowego w Słupsku na posiedzenie aresztowe. Jak twierdzi prokurator Magdalena Gadoś, mężczyzna przyznał się do winy, jednak nie odniósł się w żaden sposób do tej sytuacji. Trafi do aresztu tymczasowego na trzy miesiące.

Prokurator Magdalena Gadoś z Prokuratury Okręgowej w Słupsku poinformowała, że sąd uznał przesłanki wskazane we wniosku o areszt. Należą do nich wysoka kara grożąca podejrzanemu Piotrowi K. wysoki stopień prawdopodobieństwa popełnienia zarzucanych czynów oraz obawa o mactwo i wpływanie na przebieg postępowania.

nia. Podejrzany zostanie osadzony w areszcie tymczasowym na okres trzech miesięcy.

Podczas przesłuchania Piotr K. przyznał się do winy, ale odmówił złożenia szczegółowych wyjaśnień.

- Nie odniósł się w ogóle do przebiegu zdarzenia ani do swojego stosunku po tym, co zrobił - przekazała prokurator Gadoś.

Wyniki badań toksykologicznych krwi mężczyzny nie są jeszcze znane. Prokurator przyznała, że w swojej karierze nie prowadziła podobnej sprawy.

- Jest to pięć zbrodni, w tym cztery usiłowania zabójstwa i jedno zabójstwo dokonane. Nie sądzę, by było wiele takich spraw w kraju - skomentowała.

Przypomnijmy, że 44-letni Piotr K. jest podejrzany o napad z nożem w rękę na swoją rodzinę. Do zdarzenia doszło w poniedziałek, 26 stycznia, wieczorem w mieszkaniu



Doprowadzenie Piotra K. do Sądu Rejonowego w Słupsku na posiedzenia aresztowe

w Ustce. Mężczyzna ugodził nożem swoją żonę, teściową i 4-letnią córkę, która w wyniku tych obrażeń zmarła. Natomiast żona i teściowa odniosły poważne obrażenia i nadal przebywają w szpitalu. Lżejsze obrażenia odniósł nieletni syn napastnika oraz jego teść. Obaj już opuścili szpital.

We wtorek, 27 stycznia, Piotr K. w Prokuraturze Okręgowej w Słupsku usłyszał zarzuty. Prokurator przedstawił mu zarzut zabójstwa oraz zarzut usiłowania czterech zabójstw.

- Podejrzany przyznał się do zarzucanego mu czynu, złożył krótkie wyjaśnienia. Będą

one weryfikowane. Ze względu na konieczność ich weryfikacji, co do szczegółów wyjaśnień, tych informacji nie mogę udzielić ze względu na dobro prowadzonego postępowania - poinformował Patryk Wegner, prokurator okręgowy w Słupsku.

Prokurator Wegner podkreślił, że podczas przesłuchania

mężczyzna był w pełnym kontakcie słowno-logicznym, a jego zeznania były spójne. Śledztwo potwierdza dotychczasową relację pokrzywdzonych, którzy wskazują, że atak nastąpił zupełnie niespodziewanie.

- To był impuls, którego nie spodziewali się pokrzywdzeni. Nie zauważyli czegoś takiego, co mogłoby być triggerem, zapalnikiem takiego zachowania - stwierdził prokurator

W toku postępowania niezbędne będzie powołanie biegłych psychiatrów. Pobrano również krew podejrzanego do badań toksykologicznych, na których wyniki trzeba jeszcze poczekać. Za zbrodnię zabójstwa grozi mu kara dożywotniego pozbawienia wolności.

Piotr K. to funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa. Wraz z najbliższą rodziną mieszka w Warszawie. Do Ustki przyjechali na urlop do teściów.

©P

REKLAMA



Glossè Clinique. Doświadczenie, innowacje i nowa jakość terapii światłem

Od ponad 20 lat konsekwentnie rozwijamy miejsce stworzone z myślą o świadomej estetyce i najwyższych standardach pracy. U podstaw marki stoi Ewa Meyer - jedna z najmłodszych specjalistek w Polsce, która już na początku swojej drogi zawodowej szkoliła ekspertów w kraju i poza jego granicami.

Nowa energia zespołu

W rozwoju naszej pasji i pracy od dwóch lat towarzyszy Rafał Głuszczyk, a połączenie doświadczenia i wiedzy zaowocowało otwarciem kliniki. Rafał wprowadza holistyczne podejście do kosmetyki i regeneracji tkanek - dziś w Glossè Clinique tworzymy mocny, zgrany zespół, który świadomie wspiera zmiany w estetyce kobiecości - bezpiecznie i z wykorzystaniem nowoczesnych technologii.

Biophotonic High Light Therapy - przyszłość terapii światłem

Obserwujemy, że coraz więcej osób boryka się z problemami skórnymi, zaburzeniami regeneracji tkanek oraz skutkami zabiegów estetycznych. Odpowiedzią na te potrzeby jest Biophotonic High Light Therapy - inteligentna terapia światłem, która aktywuje i wspiera naturalne procesy naprawcze organizmu, działając w sposób nieinwazyjny i bezpiecznie.



Najmocniejsza lampa LED na rynku

Stosowana w naszej klinice lampa Biophotonic oddaje aż 95% energii przy zaledwie 5% udziale ciepła i oferuje 55 zaawansowanych programów terapeutycznych. Działa na czterech długościach fal:

- **niebieskiej (445 nm)** - o działaniu antybakteryjnym i przeciwzapalnym,
- **żółtej (595 nm)** - energetyzującej komórki skóry i wspierającej przemiany komórkowe,



- **czerwonej (660 nm)** - pobudzającej metabolizm komórkowy, krążenie krwi i procesy regeneracyjne,
 - **podczerwonej (850 nm)** - aktywującej przemianę materii na poziomie komórkowym.
- Terapia znajduje zastosowanie w dermatologii, medycynie estetycznej, kosmetyce, trychologii, fizjoterapii, chirurgii, psychologii oraz w obszarze spa & wellness.

Dla kobiet i mężczyzn, bez wyjątku

Biophotonic High Light Therapy przeznaczona jest dla wszystkich grup wiekowych - od dzieci po seniorów. Wspiera rekonwalescencję po urazach, operacjach i zabiegach medycznych, a także pomaga osobom zmagającym się z problemami skórnymi, takimi jak blizny, rozstępy, AZS, RZS, ŁZS, łuszczyca, egzema, trądzik, stany zapalne czy kontuzje. Terapia nie jest dedykowana wyłącznie kobietom - coraz częściej korzy-

stają z niej mężczyźni, którzy świadomie dbają o wygląd, zdrowie i dobre samopoczucie, wybierając zabiegi z zakresu longevity. Z powodzeniem stosują także osoby starsze cierpiące na dolegliwości reumatyczne, stopy cukrzycową, odleżyny czy widoczne oznaki starzenia się skóry. Jest również chętnie wykorzystywana w okresie pozabiegowym po przeszczepie włosów, wspierając regenerację skóry głowy i wzrost włosów.

Efekty widoczne już po pierwszym zabiegu

Już po kilku sesjach można zauważyć poprawę kondycji i napięcia skóry, redukcję trądziku, łuszczycy i zaczerwienień, działanie przeciwstarzeniowe, zmniejszenie bólu i napięcia mięśniowego oraz poprawę mikrokrażenia i dotlenienia komórek. W przypadku niektórych dolegliwości efekty widoczne są już po pierwszym zabiegu.

Zapraszamy do Glossè Clinique

Wszystkie zabiegi realizujemy w Glossè Clinique w Pruszcze Gdańskim, przy ul. Polskich Kolejarzy 5, lok. 13 (hala Targowisko Miejskie). Dzięki połączeniu doświadczenia zespołu i innowacyjnej technologii wspieramy naturalną regenerację organizmu, pomagając poprawić jakość życia oraz odnaleźć równowagę między zdrowiem, estetyką i dobrym samopoczuciem.



Obrady w poszerzonym składzie

Wojciech Lesner
Słupsk

Na środowej sesji Rady Miejskiej w Słupsku radni podjęli uchwałę dotyczącą ustalenia planu sieci publicznych szkół podstawowych prowadzonych przez miasto. Zmianie uległy obwody SP nr 3, 8, 10 i 16. To pokłosie włączenia w granice administracyjne Słupska sołectwa Bolesławice. Stycynowe obrady rada miejska rozpoczęła w poszerzonym składzie - do Rady Miejskiej w Słupsku dołączył bowiem radny z Bolesławic, Bartłomiej Jarząbek.

Uchwała podjęta przez radnych porządkuje listę ulic przypisanych do obwodów szkół podstawowych prowadzonych przez Miasto Słupsk. To efekt przyłączenia do Słupska miejscowości Bolesławice, które podlegać będą od przyszłego roku szkolnego pod obwód Szkoły Podstawowej nr 16.

Tym samym zmianie ulegną również granice obwodów szkół nr 3, 8, 10, by racjonalnie rozłożyć liczbę uczniów uczęszczających do tych placó-

wek. Jak argumentuje ratusz, zaproponowane zmiany są rezultatem ustaleń z dyrektorami szkół podstawowych.

Jakie to zmiany?

- cała ul. Banacha oraz ul. Piłsudskiego (nr 1a-17) do obwodu Szkoły Podstawowej nr 3 (dotychczas: ul. Banacha nr 1-52 i parzyste od nr 54, numery nieparzyste w obwodzie SP 16 oraz cała ul. Piłsudskiego),

- ul. Księżnej Zofii (nr 1, 2, 2a, 3, 5) oraz ul. Piłsudskiego (nr 41a-73) do obwodu Szkoły Podstawowej nr 8 (dotychczas: cała ul. Księżnej Zofii w obwodzie SP 10; cała ul. Piłsudskiego w obwodzie SP 3),

- ul. Księżnej Zofii (nr 4, 6, 7, 9, 11, 13), ulice Jana Kiepury, Agnieszki Osieckiej, Andrzeja Zachary, Ryszarda Riedla, Tadeusza Nalepy, Legionów Polskich, Dywizjonu 303 - do obwodu Szkoły Podstawowej nr 10 (dotychczas: cała ul. Księżnej Zofii; pozostałe ulice w obwodzie SP 16),

- ul. Stanisława Szpilewskiego do obwodu Szkoły Podstawowej nr 16 (dotychczas: w obwodzie SP 10).

- Należy podkreślić, że te zmiany obwodów dotyczą klas pierwszych od 1 września 2026



Sesja Rady Miejskiej - pierwsza w poszerzonym składzie o radnego z Bolesławic

roku - czyli te dzieci, które są już przyporządkowane do innych szkół, kontynuują edukację w dotychczasowych szkołach - mówiła Anna Sadlak, dyrektor Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego w Słupsku.

W trakcie dyskusji radna Beata Kątnik zwróciła uwagę, że dzieci z przyłączonych do miasta terenów powinny mieć zapewniony wygodny dojazd

do szkoły komunikacją miejską.

- Bardzo ważną rzeczą jest, abyśmy mieli tak ułożony transport miejski, aby nasi uczniowie, zwłaszcza ze szkół podstawowych, mogli dojeżdżać do szkół nie tylko jednym autobusem, bo tak jest w przypadku osiedla Zachód, gdzie młodzież, która ma na godzinę późniejszą, to już nie ma się czym dostać, bo jest tylko jeden poranny autobus. Chcia-

łabym się dowiedzieć, czy dzieci z Bolesławic będą miały tak ułożoną trasę komunikacyjną, żeby mogły dojeżdżać tym autobusem?

Radnej odpowiedziała Anna Sadlak:

- Jeśli chodzi o transport dzieci z Bolesławic, kursuje autobus nr 11. W temacie dotyczącym transportu dzieci z Bolesławic do szkoły nr 16, to rzecz ją-

sną jest, że będziemy pochylać się nad takimi rozwiązaniami, żeby spełnić oczekiwania rodziców - powiedziała dyrektor.

Za przyjęciem uchwały głosowali wszyscy radni uczestniczący w obradach.

Po raz pierwszy w obradach miejskiej rady uczestniczył Bartłomiej Jarząbek - dotychczas radny z gminy Kobylnica z okręgu Bolesławice, który po włączeniu sołectwa w granice Słupska stał się radnym Rady Miejskiej w Słupsku. Z kolei Joanna Michalak, także radna z Bolesławic, zrezygnowała z mandatu, bo nie może łączyć go z funkcją dyrektora Szkoły Podstawowej nr 9 w Słupsku, którą sprawuje na co dzień.

- Postanowieniem z 26 stycznia 2026 roku komisarz wyborczy w Słupsku stwierdził wygaśnięcie z dniem 15 stycznia 2026 roku mandatu radnej Joanny Michalak w związku z pisemnym zrzeczeniem się z tego mandatu. Niezależnie od tego, że jeden mandat wygaś, do końca kadencji ustawowy skład Rady Miejskiej w Słupsku wynosi 25 radnych - powiedział Paweł Szewczyk, przewodniczący Rady Miejskiej w Słupsku. ©©

Na część hotelową zamku w Bytowie obniżono czynsz dzierżawy

Edyta Łosińska-Okoniewska
Region

Zamek w Bytowie wciąż pozostaje bez najemcy. Władze miasta ponownie ogłosiły przetarg na wynajem części hotelowo-restauracyjnej zaabytkowego obiektu i obniżyły minimalną stawkę czynszu, licząc na większe zainteresowanie inwestorów.

Zamek w Bytowie wciąż czeka na najemcę. Konkretnie chodzi o jego część hotelową. Władze

miasta ponownie zachęcają przedsiębiorców do podjęcia wyzwania, tym razem z wyraźnym ukłonem w stronę inwestorów: stawka dzierżawy została obniżona.

Jeszcze niedawno mówiło się o czynszu sięgającym co najmniej 24 tys. zł miesięcznie. Teraz minimalna stawka została ustalona na 15 tys. zł netto, a dodatkowo przez pierwsze trzy miesiące od podpisania umowy przyszły najemca zapłaci symboliczny 1 zł plus VAT. W tym przypadku wzięto

pod uwagę konieczności doposażenia i przygotowania obiektu do prowadzenia działalności.

Przedmiotem przetargu jest południowe skrzydło bytowskiego zamku, przeznaczone na działalność hotelowo-restauracyjną. Łączna powierzchnia części hotelowo-gastronomicznej wynosi 1 632,61 m kw.

Baza noclegowa obejmuje kilkadziesiąt pokoi rozmieszczonych na I i II piętrze oraz na poddaszu, z zapleczem po-

mocniczym na każdej kondygnacji. Wraz z nieruchomością przekazywane jest także częściowe wyposażenie restauracji.

Umowa najmu może zostać zawarta na okres do 9 lat, z możliwością przedłużenia na kolejne 9 lat, co daje stabilne warunki do rozwoju biznesu w wyjątkowej scenerii.

Publiczne otwarcie ofert zaplanowano na 6 lutego o godz. 10 w Urzędzie Miejskim w Bytowie.

©©



Zamek w Bytowie to średniowieczna warownia krzyżacka

KRÓTKO

REGION

W niedzielę, 1 lutego, w hali sportowej w Gogolewie w gminie Dębina Kaszubska odbędą się Powiatowe Halowe Zawody Młodzieżowych Drużyn Pożarniczych.

Zawody mają na celu sprawdzenie sprawności fizycznej oraz umiejętności strażackich młodych ochotników. Wezmą w nich udział zespoły młodzieżowe z Ochotniczych Straży Pożarnych z całego powiatu słupskiego.

Program imprezy obejmuje zarówno konkurencje sztafetowe, jak i zadania techniczne,

które wymagają od uczestników precyzji i doskonałej współpracy w zespole.

Głównym celem wydarzenia jest promocja wiedzy z zakresu ochrony przeciwpożarowej wśród młodzieży. Organizatorzy chcą również kształtować postawy prospołeczne i zachęcać do zaangażowania w działalność ochotniczych jednostek straży pożarnej.

Organizatorem zawodów jest Gmina Dębina Kaszubska. Start zplanowano na godz. 10.

PACZ

0011471271

Z żalem zawiadamiamy, że 28.01.2026 odeszła od nas

śtp

Alicja Bilińska

ukochana Żona, Mama, Babcia i Prababcia, wieloletni pedagog, dobry człowiek.

Msza żałobna odbędzie się w sobotę, 31.01.2026 w kościele św. Faustyny Kowalskiej przy ulicy Konarskiego w Słupsku o godzinie 8.00.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się w sobotę, 31.01.2026 w kaplicy na Starym Cmentarzu w Słupsku o godzinie 10.00.

Kochająca Rodzina

0011470976

Z powodu śmierci naszego pracownika i kolegi Pana

Rafała Murawskiego

Rodzinie oraz Bliskim

wyrazy współczucia i słowa wsparcia składają

Zarząd, Rada Nadzorcza i Pracownicy PGK sp. z o.o. w Słupsku

AUTOREKLAMA

Nekrologi

zamówisz tutaj:

Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, 59 848 81 03
reklama.słupsk@polskapress.pl

Szybciej, bezpieczniej i wygodniej.

Modernizacja linii kolejowej nr 202 w toku



Mimo niesprzyjającej w ostatnich tygodniach pogody, postępuje modernizacja linii kolejowej nr 202 między Lęborkiem a Słupskiem. Budujemy nowe przejścia podziemne, perony oraz kontynuujemy prace na obiektach inżynierskich. W połowie grudnia 2025 r. na trasę wrócimy pociągi, które między Lęborkiem a Pogorzelicami kursują już po obu nowych torach. Dzięki inwestycji realizowanej przez Polskie Linie Kolejowe S.A. podróż koleją w regionie stanie się szybsza, bezpieczniejsza i bardziej komfortowa. Projekt dofinansowany jest ze środków unijnych z Programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021-2027 (FENIKS).

Dzięki dotychczas przeprowadzonym pracom podróżni korzystają już z nowych peronów niemal na wszystkich modernizowanych stacjach i przystankach kolejowych. Po jednym nowym peronie wybudowaliśmy już m.in. w Pogorzelicach, Głuszynie, Potęgowie, Damnicy oraz Jezierzycach. W Leśnicach natomiast podróżni korzystają już z dwóch nowych peronów.

Nowe perony budujemy z myślą o potrzebach wszystkich podróżnych. Wyposażone będą w nowe wiaty, ławki, czytelną informację pasażerską, nagłośnienie oraz oświetlenie, które zapewni bezpieczne poruszanie się po zmroku. Na antypoślizgowych nawierzchniach montujemy ścieżki naprowadzające dla osób niewidomych oraz niedowidzących.

Kluczowym elementem inwestycji jest zapewnienie bezpieczeństwa pasażerom. W tym celu na stacjach i przystankach budujemy nowe przejścia podziemne prowadzące na perony, które zastępują dojścia do peronów w poziomie szyn. Przejścia wyposażane są w schody i pochylnie lub windy. Dzięki temu bezpieczny i wygodny dostęp do kolei zyskają także osoby o ograniczonych możliwościach poruszania się, osoby starsze oraz rodzice z dziećmi w wózkach.

Z kolei w sąsiedztwie modernizowanej stacji kolejowej Jezierzycy Słupskie powstaje nowy wiadukt drogowy, który zastąpi przejazd kolejowo-drogowy w ciągu ul. Cha-

browej. To właśnie z wiaduktu będzie można się schodami oraz windami dostać na perony stacji. Budowa tego obiektu zapewni także bezpieczeństwo w ruchu kolejowym i drogowym, a także usprawni komunikację w regionie. Podobne rozwiązanie zastosowane będzie w Runowie, gdzie powstaje jeden z trzech nowych przystanków kolejowych między Lęborkiem a Słupskiem. Podróżni zyskają tutaj dwa perony, na które będzie się można dostać chodnikami i schodami z poziomu budowanego obecnie wiaduktu drogowego.

Na szlaku Lębork – Pogorzelice pociągi kursują już po obu torach. Kontynuowane są prace przy budowie drugiego nowego toru między Pogorzelicami a Słupskiem. Dobudowa drugiego toru na całym odcinku znacząco zwiększy przepustowość linii kolejowej nr 202 między Gdynią a Słupskiem. Na stacjach kolejowych Pogorzelice, Potęgowie, Damnica i Jezierzycy Słupskie oraz na szlaku Potęgowie – Damnica, oddaliśmy do eksploatacji także nową sieć trakcyjną.

Dużo dzieje się także w Słupsku. Dobiega końca przebudowa wiaduktu kolejowych nad ul. Grunwaldzką oraz ul. Bałtycką. Wiadukt kolejowy nad ul. Szczecińską gotowy jest w połowie. Zakończyliśmy rozbiorę drugiej części obiektu. Obecnie budujemy pale fundamentowe, które wzmocnią teren pod budowę pozostałej części konstrukcji nowego obiektu. Postępuje

także przebudowa mostu kolejowego na rzece Słupia. W zeszłym roku rozebraliśmy jego starą konstrukcję, a następnie wybudowaliśmy tymczasową przeprawę, po której jeżdżą pociągi między Słupskiem a Trójmiastem. Obecnie rozpoczęliśmy prace związane z budową nowej, szerszej konstrukcji, na której ułożymy dwa tory zamiast jednego.

Na stacji kolejowej Słupsk przygotowujemy teren pod budowę nowych peronów (nr 1 i nr 2), a także nawierzchnię przed układaniem torów. Wcześniej m.in. rozebraliśmy budynek starej nastawni. W tym miejscu przebiegać będą nowe tory oraz wydłużony peron nr 1. Pasażerowie korzystają z przebudowanego peronu nr 3 oraz nowego peronu nr 4.

Po zakończeniu prac na całej trasie pociągi pasażerskie będą mogły poruszać się z prędkością do 160 km/h (obecnie do 120 km/h), a pociągi towarowe do 120 km/h zamiast dotychczasowych 70 km/h. Inwestycja przygotowuje również linię do dalszej rozbudowy – docelowo nawet do prędkości 200 km/h, co będzie możliwe po realizacji odrębnego projektu związanego z budową systemu ETCS/ERTMS.

Modernizacja linii kolejowej nr 202 to inwestycja, która już dziś przynosi wymierne efekty, a w kolejnych latach diametralnie zmieni standard podróżowania koleją na Pomorzu – z korzyścią dla pasażerów, gospodarki i środowiska.



Prace na stacji Słupsk



Budowa wiaduktu kolejowego na ul. Szczecińskiej w Słupsku



Przebudowa mostu na Słupii

[gdynia.slupsk](https://www.facebook.com/gdynia.slupsk)

www.plk-sa.pl | www.plk-inwestycje.pl | www.mapadotacji.pl



Fundusze Europejskie
na Infrastrukturę,
Klimat, Środowisko



Rzeczpospolita
Polska

Dofinansowane przez
Unię Europejską



PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

W drugim życiu pan Paweł przesiadł się na... Taryfę

Jacek Drost
Zbliżenia

Przed trzema laty Paweł Brągiel został zaatakowany przez napastnika kamieniami i siekierą. Cudem uniknął śmierci. Zawsze marzył o tym, żeby wozić ludzi po Wiśle taką taksówką, jaka jeździła w serialu Barei „Zmiennicy”. Teraz realizuje swoje marzenie.

Pamiętacie słynną taksówkę z 15-odcinkowego serialu „Zmiennicy” w reżyserii Stanisława Barei, w którym obśmiewane były absurdy PRL? Starsi pewnie doskonale kojarzą żółtego dużego fiata 125 z numerem bocznym 1313 i naklejonymi na drzwiach literami WPT, które były skrótem od nazwy Warszawskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe, prowadzonego przez Mieczysława Hryniewicza z dłuższymi wówczas włosami i piękną Ewę Błaszczuk z eleganckimi... wąsami.

Sposobność ku temu jest doskonała, gdyż bliźniaczo podobna taksówka, również z literami WPT i numerem bocznym 1313, od niedawna kursuje po... Wiśle. To właśnie nią można wybrać się w sentymentalną podróż do czasów słusznie minionych. Za jej kierownicą spotkamy Pawła Brągiela, byłego samorządowca i działacza społecznego, który otarł się o śmierć, jak sam mówi, dostał drugie życie - w marcowy poranek 2022 roku został przed domem zaatakowany przez napastnika z siekierą.

Osiem ciosów

- Wychodząc rano do pracy, przed domem w Wiśle Łabajowie, gdzie mieszałem, zosta-

łem napadnięty. Próbowano mnie zabić. Dostałem sześć ciosów dużym kamieniem w twarz oraz otrzymałem dwa uderzenia siekierą do rozłupywania drewna. Napastnika przegonili domownicy i najbliżsi sąsiedzi, którzy zareagowali z narażeniem własnego życia. Przybiegli inni sąsiedzi i zaczęła się akcja ratunkowa - wspomina tragiczny dzień pan Paweł.

Tylko dzięki błyskawicznej reakcji innych osób, w tym służb ratunkowych oraz lekarzy, Paweł Brągiel nie przypłacił tego ataku życiem. Z samego zdarzenia nic nie pamięta, późniejszych dni także.

- Byłem ostatnią osobą, która dowiedziała się, co się stało. Przez miesiąc byłem w szpitalu. Długo mnie wybudzano. Przez pierwsze doby to była walka o życie, walka z nadciśnieniem, bo po urazie głowy dostałem ciśnienia między 160 a 240 na 100. Drugiego dnia zaczęły się problemy z oddychaniem, może dlatego, że trzy tygodnie przed tym zdarzeniem przeszedłem COVID-19, on się odezwał, więc podłączono mnie do respiratora. Walka o moje życie trwała pięć dni, później wszystko zaczęło się stabilizować - zwierzał się pan Paweł.

Jednak sześć ciosów dużym kamieniem i dwa siekierą zrobiły swoje.

- Mam szczękę złamaną w sześciu miejscach, uszkodzone zatoki szczękowe, nos, przesunięte było oko. Mam też 10 części metalowych w twarzy, czaszkę u góry miałem całkowicie pokiereszowaną. Po tygodniu przeszedłem operację twarzoczaszki w Katowicach. W szpitalu w Bielsku-Białej zają-



Paweł Brągiel kupił dużego fiata, podobnego to tego jak w filmie „Zmiennicy”. Zaprasza na przejażdżkę po Wiśle

owano się moimi otwartymi ranami, a po tygodniu, jak już mogli mnie przewieźć, to zostałem przewieziony do Katowic. Tam operacja trwała sześć godzin, brało w niej udział wielu lekarzy, była pani profesor i dzięki nim wyglądam jak wyglądam, żyję jak żyję - opowiadał wiślanin.

Potem była półtoraroczna rehabilitacja rękoma i palcami twarzy.

Wspominał, że napastnika znał od kilka miesięcy, od grudnia 2021 roku. To był Polak. Przyjechał z mamą i psem malamutem z Kanady.

- Jak go poznałem, to na początku mu pomagałem, starałem się znaleźć mu pracę. Nie przyjął tej pomocy. Widywaliśmy się sporadycznie, mówiliśmy sobie „Cześć”. Później zacząłem się izolować od niego, bo wyczuwałem, że coś jest nie tak. Była taka sytuacja, kiedy pierwszy raz go zobaczyłem: wysiadł z auta ze swoją mamą, ja na niego popatrzyłem, oni za-

pytali o coś i w tym momencie z góry lub ze środka Bóg powiedział: „Paweł, uważaj! Będą problemy” - opowiada wiślanin. Faktycznie, były...

Pomysł na życie

W trzy lata po feralnym zdarzeniu pan Paweł ma trzecią grupę inwalidzką, jest na rencie. Jednak nie jest wystarczająca na życie, więc jest zmuszony na szukanie dodatkowego zarobku.

- Dowiedziałem się, że w Powiatowym Urzędzie Pracy w Cieszyńsku jest konkurs na dotację z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Pomyślałem, że mógłbym spróbować w nim wystartować - opowiada Paweł Brągiel. Dodaje, że w poprzednim życiu miał dwa niezrealizowane marzenia - jednym z nich było, żeby wozić ludzi po Wiśle taryfą (nie taksówką, jak mówi, ale właśnie taryfą) - taką jaką była w serialu „Zmiennicy”.

- Z pomocą PFRON udało mi

się takie auto kupić. Znalazłem takiego dużego fiata w Pile. Kolega wsiadł w pociąg i przywiózł mi go. Można powiedzieć, że jest on bardzo wierną repliką samochodu ze „Zmienników”. Jedyne kolor siedzeń jest inny, bo w filmie były czarne, a u mnie są brązowe, trochę inaczej zamontowane są kierunkowskazy, ale w środku praktycznie nie ma żadnej różnicy: antena na szybie jest zamontowana, wszystkie naklejki też są, a nawet jest długopis i taksometr „Polax 2” - opowiada pan Paweł. Dodaje, że numer boczny 1313 i litery WPT też się znalazły, ale w tym przypadku oznaczają Wiślańskie Przewozy Turystyczne.

- Próbuje nim jeździć. Reakcje są różne. Młodzi ludzie bywają zachwyceni; mówią, że fajna fura. Starsi kojarzą „kancioki” i się uśmiechają. Jest też pewna grupa miłośników filmów z PRL-u, którzy zaglądają do środka, czy wszystko jest na swoim miejscu. I są pod wra-

żeniem - mówi wiślanin, który obwozi ludzi w koszulce z napisem „Levis” Jacka Żytkiewicza, głównego bohatera serialu „Zmiennicy”, oraz kurtce jeansowej.

Na pasażerów jego taryfy czekają także niespodzianki. Każdy dostaje żółtą gumę „Donald”, przy wydawaniu reszty banknoty z minionej epoki, a jak ktoś jest grzeczny lub jest fanem „Zmienników”, to może otrzymać nawet... kartki na mięso, słodczyce i paliwo.

Przejażdżka po Wiśle

Pan Paweł oferuje kursy okazjonalne po Wiśle, ale jeśli ktoś zażyczy sobie nieco dłuższą przejażdżkę, to też jest taka możliwość. W planach jest też weekend w Gliwicach, w rodzinnym mieście Pawła, więc może będzie okazją dla innych. Można też WPT wynająć na event, imprezę okolicznościową czy rodzinną rocznicę.

- Na postojach nie mogę stać, bo nie jestem taksówką, ale jak ktoś zamówi kurs, to podjadę - zapewnia wiślanin.

Cena za przejażdżkę po Wiśle zaczyna się od 50 złotych wwyż. Jest też opcja VIP-owska, nieco droższa, ale wówczas można liczyć na poczęstunek kawą z fusami w szklance i wuzetką (niewykluczone, że od przyszłego roku będzie można delectować się PRL-owskim obiadem: pomidorową z ryżem, mortadellą udającą schabowego z ziemniakami, mizerią i kompotem podanymi na stole nakrytym ceratą).

- Chcę zadbać o odpowiedni klimat - podkreśla Paweł Brągiel. Choć ze zdrowiem nie jest najlepiej, to udało się odbyć kilka kursów po Wiśle. Liczy, że z czasem będzie ich więcej.

REKLAMA

0011469129



Burmistrz Miastka

stosownie do art. 35 ust. 1 ustawy

z dnia 21 sierpnia 1998 roku o gospodarce nieruchomościami
(Dz.U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)

informuje,

na tablicach ogłoszeń tut. urzędu oraz na stronie <http://www.bip.miastko.pl/> zamieszczone zostały na okres 21 dni wykazy nieruchomości przeznaczonych do dzierżawy:

- cz. dz. nr 283/4 o pow. 380 m² położonej przy ul. Wybickiego,
cz. dz. nr 319/7 o pow. 150 m² położonej przy ul. Ogrodowej,
cz. dz. nr 128/21 o pow. 280 m² położonej przy ul. Kowalskiej,
cz. dz. nr 140/26 o pow. 300 m² położonej przy ul. Dworcowej oraz
cz. dz. nr 423/2 o pow. 50 m² położonej przy ul. Podlaskiej w Miastku.

REKLAMA

0011470320



Burmistrz Miastka

stosownie do art. 35 ust. 1 ustawy

z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami
(t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)

informuje,

że na tablicach ogłoszeń tut. urzędu oraz na stronie <http://www.bip.miastko.pl/> zamieszczony został na okres 21 dni wykaz nieruchomości stanowiącej własność Gminy Miastko, oznaczonej numerami ewidencyjnymi działek 165 i 190, położonej w obrębie Świeszyno, gm. Miastko, przeznaczonej do dzierżawy na cele upraw rolnych.

REKLAMA

0011469758

SKARB PAŃSTWA PAŃSTWOWE GOSPODARSTWO LEŚNE LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO TRZEBIELINO
ul. Pomorska 21, 77-235 Trzebielino
NIP: 8420006338, Tel. 59 858 02 44
e-mail: trzebielino@szczecinek.lasy.gov.pl

ogłasza postępowanie w trybie przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż następujących nieruchomości gruntowych:

Numer i nazwa woj./pow./gm.	Numer i nazwa obr. ewidencyjny	Nr działki	Pow. działki (ha)	Rodzaj powierzchni Rodzaj użytku	Nr KW	Uwagi
22-01-092/Pomorskie-Bytowski-Trzebielino	0009/Trzebielino	240/18	0,0541	R	SL1M/0007057/7	Zapewniony dojazd
22-01-092/Pomorskie-Bytowski-Trzebielino	0009/Trzebielino	240/5	0,0116	Ls	SL1M/00018874/0	Zapewniony dojazd
22-01-042/Pomorskie-Bytowski-Kolczygłowy	0002/Barnowiec	15/6	0,1123	R	SL1B/00023896/7	Nabywca zapewni dojazd w swoim zakresie
22-01-042/Pomorskie-Bytowski-Kolczygłowy	0008/Kolczygłowy	16/7	0,1502	R	SL1B/00023895/0	Zapewniony dojazd

Szczegóły dotyczące ogłoszenia można znaleźć na:

- tablicy ogłoszeń w siedzibie Nadleśnictwa Trzebielino,
- na stronie internetowej BIP Nadleśnictwa Trzebielino:
<https://www.gov.pl/web/nadleśnictwo-trzebielino/wystapienia-komunikaty-i-ogloszenia>
w zakładce „co robimy” → Wystąpienia, komunikaty i ogłoszenia;
- na stronie internetowej Nadleśnictwa Trzebielino: <https://trzebielino.szczecinek.lasy.gov.pl/>

POLSKA i ŚWIAT

WARSZAWA

– Wniosek o uchylenie immunitetu posłowi PiS Antoniemu Macierewiczowi trafił we wtorek do Sejmu – potwierdził marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. Chodzi o sprawę publicznego znieważenia przez nazwanie agentami rosyjskimi kierownictwa SKW podczas posiedzenia Sejmu we wrześniu 2025 r. Marszałek poinformował, że skierował wniosek do Biura Legislacyjnego oraz do Biura Ekspertyz i Oceny Skutków Regulacji.

„
*Inicjatywa w sprawie Rady Pokoju
leży po stronie prezydenta
Karola Nawrockiego*

Radosław Sikorski, wicepremier, szef MSZ

Wiceminister rolnictwa: Każdy pies będzie zaczipowany

Adam Kielar
Warszawa

W tym roku zostanie przeprowadzony audyt wszystkich schronisk w całym kraju - zapowiedział w czwartek główny lekarz weterynarii Paweł Meyer. Ma dotyczyć m.in. nadzoru nad placówkami.

W czwartek (29 stycznia) w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi w Warszawie przedstawiono wyniki kontroli przeprowadzonych w schroniskach dla zwierząt. W konferencji uczestniczą: główny lekarz weterynarii Paweł Meyer oraz wiceministrowie: Jacek Czerniak (MRiRW) i Tomasz Szymański (MSWiA).

Jak podkreślił Meyer, wykonano 368 kontroli, dwie jeszcze są realizowane, a w 40 miejscach stwierdzono nieprawidłowości.



Jacek Czerniak i Paweł Meyer podsumowali kontrole przeprowadzone w schroniskach dla zwierząt

Zapowiedział także audyt wszystkich schronisk w Polsce.

– W tym celu w bieżącym roku zostanie przeprowadzony audyt wszystkich schronisk, całego nadzoru nad schroniskami we wszystkich województwach w całym kraju i będzie on obejmował wymagania w tym zakresie, jak również pozwoli nam ocenić system nadzoru i proce-

dury nadzoru dotyczące tego zagadnienia – powiedział.

Zamknięte schronisko w Sobolewie

W ostatnim czasie szerokim echem w mediach odbiła się sprawa schroniska dla zwierząt w Bytomiu (woj. śląskie). Dochodzenie w sprawie znęcania się nad zwierzętami w tej pla-

cówce prowadzi myślowicka policja pod nadzorem tamtejszej prokuratury.

W sobotę, po ponownej kontroli, zamknięte zostało schronisko dla zwierząt w Sobolewie na Mazowszu. O tej placówce zrobiło się głośno, gdy pojawiły się tam znane osoby, w tym wokalistka Doda.

Policja w schroniskach

Podczas konferencji prasowej dotyczącej kontroli przeprowadzonych w schroniskach dla zwierząt wiceszef MSWiA Tomasz Szymański przekazał w czwartek, że w 125 interwencjach policji w schroniskach dla zwierząt przeprowadzonych od początku br. wzięło udział blisko 490 funkcjonariuszy.

Zaapelował do organizacji społecznych i osób prywatnych, które wiedzą o nieprawidłowo-

ściach w schroniskach, by zgłaszały te informacje zarówno głównemu lekarzowi weterynarii, jak i Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji.

– Dobrostan zwierząt oraz funkcjonowanie ich w należytych warunkach są dla nas priorytetem. Mówimy stanowczo „nie” patoschroniskom – podkreślił.

Szymański poinformował również, że w ramach Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego będą analizowane wystąpienia pokontrolne. – Przeanalizujemy zalecenia i wystąpimy do jednostek samorządu terytorialnego, (...) żeby wdrożyć jak najlepsze rozwiązania – zadeklarował.

Każdy pies będzie zaczipowany

Wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi Jacek Czerniak za-

powiedział wprowadzenie jednolitego systemu, w którym każdy pies będzie zaczipowany.

– Każdy pies będzie zaczipowany i zarejestrowany – podkreślił. Dodał, że w systemie znajdą się podstawowe informacje dotyczące właściciela zwierzęcia.

– Jeżeli właściciel psa nagle podejmie decyzję, żeby tego psa gdzieś zostawić – oby nigdy tak się nie działo – to system niezwłocznie sprawdzi, do kogo należał. W ten sposób ograniczymy w jakimś zakresie bezdomność zwierząt – powiedział.

Zapowiedział, że w przypadku psów system będzie obligatoryjny, zaś w przypadku kotów – fakultatywny. – Obowiązkowo rejestrowane będą też zwierzęta znajdujące się w schroniskach – dodał. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

Morskie wiatraki pod lupą

W tym roku na Bałtyku zacznie działać pierwsza polska morska farma wiatrowa – Baltic Power. To ważny krok w rozwoju krajowej energetyki i projekt, który budzi duże zainteresowanie. Wraz z nim pojawia się wiele obiegowych opinii. Sprawdzamy, które z nich mają potwierdzenie w faktach, a które są tylko mitami – oraz co morska energetyka wiatrowa oznacza dla gospodarki, środowiska i odbiorców energii.

Czy morska energetyka wiatrowa jest stabilna i efektywna?

Zanim wyznaczyć się lokalizację morskich farm wiatrowych, prowadzone są wielomiesięczne badania wietrzności. Pozwalają sprawdzić, jak zmieniają się warunki w różnych porach roku i czy dana lokalizacja jest stabilna oraz opłacalna. Dlatego opinie niestabilności morskiej energetyki trudno uznać za uzasadnioną. W rzeczywistości warunki na morzu są bardziej przewidywalne niż na lądzie, a nowoczesne turbiny mogą być nawet dwa razy bardziej wydajne niż lądowe. Nie ma też ryzyka, żeby turbiny „kradły sobie wiatr”. Takie kwestie są eliminowane już na etapie

projektu, m.in. dzięki odpowiednim odległościom. Stabilny i mocny wiatr na morzu umożliwia produkcję dużej ilości energii przez większość roku. Dlatego Baltic Power nie zastąpi w całości dotychczasowych źródeł energii, ale jest ważnym elementem miksu energetycznego.

Z punktu widzenia fizyki, nie ma też możliwości, aby energia, która pochodzi z farm wiatrowych – morskich i lądowych – była słabsza niż ta z elektrowni węglowych. Elektrycy dostarczane do gniazdek odbiorców są identyczne, niezależnie od miejsca wytworzenia.

Koszty prądu z morskich elektrowni wiatrowych

Często podnoszony argument o wysokich kosztach morskiej energetyki wymaga rozróżnienia dwóch perspektyw. Pierwsza to cena energii dla odbiorcy. Gdyby Baltic Power już dziś dostarczała prąd do sieci, jego cena byłaby o około 10 proc. niższa niż ta notowana na rynku SPOT. Drugi poziom to bilans dla całej gospodarki – nowe miejsca pracy, rozwój krajowego przemysłu, napływ kapitału oraz uniknięte emisje, które zmniejszają koszty związane z opłatami klima-

tycznymi. Przykładem jest fabryka gondoli turbin Vestas w Szczecinie.

Skąd naprawdę pochodzą turbiny Baltic Power?

Wokół inwestycji pojawił się także mit o wykorzystywaniu „używanych turbin z Niemiec”. W rzeczywistości takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Turbiny są projektowane od podstaw pod konkretne warunki lokalizacji i nie mogą być przenoszone z jednej farmy na drugą. W Baltic Power zastosowano nowe turbiny duńskiego producenta Vestas, a ich kluczowe elementy – gondole – produkowane są w Szczecinie. To przykład tego, jak globalna technologia zaczyna być realnie osadzona w polskim przemyśle.

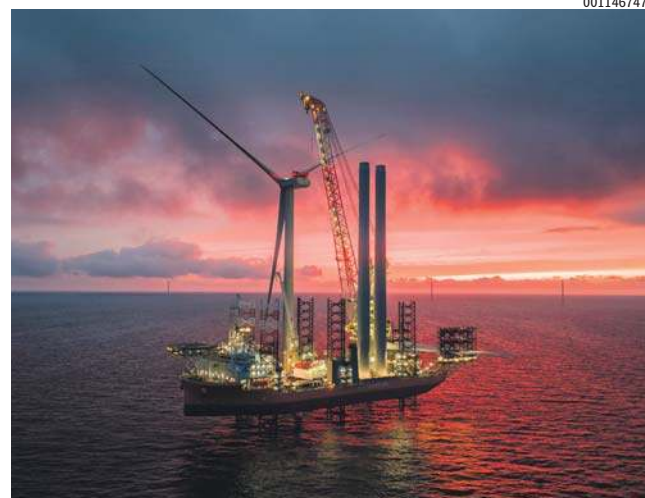
Baltic Power a turystyka, środowisko i lokalne społeczności

Obawy dotyczące wpływu farm wiatrowych na turystykę i środowisko naturalne pojawiają się niemal zawsze. Tymczasem Baltic Power powstaje aż 23 km od brzegu, co oznacza, że turbiny dla wypoczywających na plażach turystów będą ledwo widoczne. Ich pracy nie będzie słychać z plaży. To oznacza, że obecność

farm nie wpłynie na ich doświadczenia, a finalnie na ruch turystyczny w pobliskich miejscowościach. Co więcej, inwestycja nie koliduje też z miejscami uwielbianymi przez windsurferów czy kitesurferów, którzy coraz chętniej wybierają właśnie polskie wybrzeże jako swój kierunek.

Nie tylko turyści są w tej inwestycji brani pod uwagę. Na etapie budowy projekt objęty jest szczegółowymi badaniami środowiskowymi, a prace na morzu monitorują wyspecjalizowane jednostki. Stosowane są rozwiązania m.in. ograniczające hałas pod wodą w trakcie instalacji fundamentów, takie jak kurtyny powietrzne, które chronią życie morskie oraz zapewniają komfort życia mieszkańców. Na farmie będzie również zainstalowany monitoring ruchu ptaków migrujących. Jak to działa? Jeśli radar wykryje stado ptaków zbliżających się do turbin, system na czas ich spodziewanego przelotu wstrzyma pracę turbiny, by ptaki mogły bezpiecznie przelecieć przez teren farmy.

Projekt od początku rozwijany jest też w dialogu z branżą rybacką. Z początkiem 2026 wystartowała druga runda naboru wniosków



o rekompensaty dla rybaków, których działalność została ograniczona w trakcie prac instalacyjnych, wyprzedzając obowiązujące regulacje.

Kto korzystana energii z morza?

Choć morska energetyka wiatrowa to sektor o międzynarodowym charakterze, w Baltic Power znaczący udział mają polskie firmy. Lokalny wkład do projektu wynosi co najmniej 21 proc. w całym cyklu życia farmy – od projektowania i budowy, po 30 lat eksploatacji. W Polsce wyprodukowano elementy konstrukcyjne, gondole, części turbin, kable lądowe, komponenty stacji elektroenergetycznych, a krajowe firmy odpowiadały za budowę lądo-

wej stacji elektroenergetycznej w gm. Choczewo i bazy serwisowej w Łebie. Zapewniały także usługi logistyczne, transportowe, realizowały badania geotechniczne.

Baltic Power nie jest więc jedynie inwestycją energetyczną. To projekt, który realnie wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne Polski, wspiera rozwój nowego przemysłu i sprzyja długofalowej stabilizacji cen energii – niezależnie od narracji krążących dziś w debacie publicznej. Co więcej, Baltic Power to dopiero pierwszy projekt tego typu w naszym kraju. Jego moc – blisko 1,2 GW – to ważny krok, a potencjał polskiej części Bałtyku sięga nawet ponad 30 GW, z czego na 18 GW są już przyznane koncesje.

„Streets of Minneapolis”. Bruce Springsteen zaśpiewał o prywatnej armii Trumpa

oprac. Karolina Wrońska
Minneapolis

Legendarny muzyk Bruce Springsteen opublikował piosenkę, którą napisał na znak protestu przeciwko operacji służb imigracyjnych w Minneapolis, pod tytułem „Streets of Minneapolis”.

76-letni artysta śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa” i kłamstwach władz.

„Napisałem tę piosenkę w sobotę, nagrałem ją wczoraj i wypuszczam ją dla was dzisiaj w odpowiedzi na państwowy terror, który dotknął miasta Minneapolis” – przekazał w mediach społecznościowych Springsteen, który już wcześniej krytykował operacje służb wymierzone w imigrantów.



Bruce Springsteen zareagował na kolejne zabójstwo ICE w Minneapolis protest songiem

W sobotę z rąk agentów federalnych zginął w Minneapolis 37-letni pielęgniarz Alex Pretti. Wcześniej w tym miesiącu zabita została przez agenta służb migracyjnych (ICE) Amerykanka Renee Good.

„Jest zadedykowana mieszkańcom Minneapolis, naszym niewinnym sąsiadom imigrantom ku pamięci Aleksa Prettiego i Renee Good” – przekazał muzyk.

Tekst utworu opisuje operacje służb w mieście. Springsteen śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa” i „paskudnych kłamstwach Millera i Noem”. Stephen Miller, czołowy doradca prezydenta Donalda Trumpa, określił Prettiego jako „zabójcę”, natomiast Noem zarzuciła 37-latkowi „krajowy terroryzm”. PAP

Trump ostrzega Iran: „Czas ucieka” na porozumienie

Kazimierz Sikorski
Waszyngton

Donald Trump ostrzegł Teheran, że „czas ucieka” na negocjacje w sprawie porozumienia o programie nuklearnym Iranu, gdy przybywa siła USA w Zatoce Perskiej.

Donald Trump zaznaczył, że czas na zawarcie porozumienia ucieka.

„Ogromna Armada zmierza w stronę Iranu. Porusza się szybko, z wielką siłą, entuzjazmem i determinacją. To większa flota, dowodzona przez wspianą lotniskowicę Abraham Lincoln, niż ta wysłana do Wenezueli” – napisał Donald Trump na platformie społecznościowej Truth Social.

„Podobnie jak w przypadku Wenezueli (armada) jest gotowa, chętna i zdolna do szybkiego wypełnienia swojej misji, w razie potrzeby z szybkością i przemocą” – dodał.

Iran: „Trzymamy palce na spuście”

W odpowiedzi szef dyplomacji Iranu Abbas Araghchi oświadczył, że wojska Iranu są gotowe „z palcem na spuście”, by „natychmiast i stanowczo odpowiedzieć” na każdą agresję lądową lub morską.

Rzecznik irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej zapewnił natomiast, że Iran przygotował plany operacyjne na wszelkie scenariusze



Stany Zjednoczone zgromadziły w regionie Bliskiego Wschodu wystarczające siły, z lotniskowcem USS Abraham Lincoln na czele, by przeprowadzić uderzenie na Iran

wydarzeń. Teheran utrzymuje, że jego program nuklearny ma charakter pokojowy i zaprzeczał oskarżeniom USA i ich sojuszników, jakoby dążył do rozwoju broni jądrowej.

Najnowsze ostrzeżenie Trumpa jest następstwem jego obietnicy, że Waszyngton zainteresuje się, aby pomóc osobom zaangażowanym w brutalne stłumienie protestów w kraju na początku miesiąca.

Protesty w Iranie pokazały kryzys władz
Demonstracje rozpoczęły się po gwałtownym spadku warto-

ści irańskiej waluty, ale szybko przerodziły się w kryzys legitymizacji dla przywódców duchownych w kraju. „Pomoc jest w drodze” – mówił Trump, po czym zmienił ton i dodał, że dowiedział się z wiarygodnego źródła, że egzekucje demonstrantów zostały wstrzymane.

Rzecznik irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej zapewnił, że Iran przygotował plany operacyjne na wszelkie scenariusze

Amerykańska Agencja Informacyjna Aktywistów Praw Człowieka (HRANA) potwierdziła śmierć 6301 osób, w tym 5925 protestujących, od początku zamieszek pod koniec grudnia. Norweska organizacja Iran Human Rights (IHR), ostrzegła, że ostateczna liczba ofiar może przekroczyć 25 000.

W reakcji na nasilenie gróźb USA wobec Iranu trzecią sesję z rządu rosły ceny. Atak USA może zagrozić przepływowi ropy naftowej z Bliskiego Wschodu, regionu, który odpowiada za ok. 1/3 globalnych dostaw ropy. PAP

Uwielbiany prezenter pogody zginął w katastrofie

Kazimierz Sikorski
USA

Roland Steadham był jednym z dwóch mężczyzn, którzy zginęli, gdy samolot, którym lecieli, uderzył w linię energetyczną i wpadł do rzeki Payette w stanie Idaho.

67-letni Roland Steadham był jedną z dwóch ofiar tragicznego wypadku. Kontakt z samolotem utracono kilkanaście minut po starcie z lotniska Emmett w Idaho.

Biuro szeryfa hrabstwa Gem wydało oświadczenie: „Wstępne informacje wskazują, że mały samolot zahaczył o linię energetyczną i rozbił się na lodzie pokrywającym rzekę”.

Dodano, że na pokładzie znajdowało się dwóch mężczyzn, którzy odnieśli śmiertelne obrażenia.

Ratownicy dotarli na miejsce katastrofy łodzią, bo w Idaho, podobnie jak w innych częściach kraju, panowały mroźne temperatury. Tożsamość drugiej ofiary wypadku pozostaje nieznaną.

Nie ujawniono szczegółów o maszynie, która była zarejestrowana w Northwest Registered Agent LLC. Okoliczności katastrofy badają specjaliści.

Steadhama opisano jako doświadczonego pilota. Nie potwierdzono jeszcze, czy to on pilotował samolot w momencie katastrofy. Prezenter, który pracował dla CBS2, miał na koncie ponad 3000 godzin doświadczenia.

Steadham był meteorologiem przez 35 lat. W czasie swojej kariery zdobył wiele nagród oraz wyszkolił bardzo wielu meteorologów.

Prezydent Kazachstanu o wielkiej aferze finansowej. Chodzi o miliardy dolarów z Rosji

Grzegorz Kuczyński
Astana

Prezydent Kazachstanu Kasym-Żomart Tokajew oświadczył, że za pośrednictwem jednego z kazachstańskich banków wyprowadzono około 14 mld dolarów „z sąsiedniego kraju”.

Organizacja finansowa „przepuściła” przez siebie ponad 7 bilionów tenge (prawie 14 mld dolarów) „z sąsiedniego kraju”, powiedział Tokajew. Z punktu widzenia prawa, ekonomii, a nawet polityki jest to, moim zdaniem, oburzający fakt. Niestety, nadal istnieje wiele podobnych przypadków związanych z oszukiwaniem schematami finansowymi – podkreślił prezydent.

Oświadczenie to zostało ogłoszone w kontekście zastrzeżenia kontroli finansowej we wrze-



Prezydenci Rosji i Kazachstanu w 2025 r.

śniu ubiegłego roku w stosunku do Rosjan, którzy zdalnie wyrobili karty bankowe w Kazachstanie. Niektórych z nich powiadomiono o dochodzeniach prowadzonych w Kazachstanie. Według mediów w przestępstwach mogą być zamieszani pośred-

nicy, którzy pomagali obywatelom Rosji w uzyskaniu indywidualnych numerów identyfikacyjnych (IIN) i otwieraniu rachunków bankowych.

Agencja ds. regulacji i rozwoju rynku finansowego Kazachstanu poinformowała wcześniej, że w 2024 r. ponad 90% właścicieli kart wykorzystywanych do prania dochodów pochodzących z przestępstw stanowiły osoby niebędące rezydentami. W ciągu roku odnotowano 6,2 tys. przypadków wykorzystania tzw. „kart drop” o wartości 24 mld tenge (47 mln dolarów).

Masowe zdalne wypełnianie kart kazachstańskich banków przez Rosjan rozpoczęło się po wprowadzeniu sankcji wobec Rosji. Władze Kazachstanu stopniowo likwidują te schematy. Od 2024 r. zabronione jest zdalne wydawanie

numerów IIN, część wcześniej wydanych numerów została unieważniona, a obsługa bankowa nierezydentów została znacznie zaostrzona.

W 2025 r. organ regulacyjny zaproponował, aby wszyscy cudzoziemcy bez pozwolenia na pobyt byli zobowiązani do comiesięcznej identyfikacji w celu zachowania dostępu do rachunków. Banki muszą również sprawdzać legalność pobytu klientów, źródła dochodów i cele wykorzystania środków. Ponadto zabronione jest zdalne otwieranie rachunków za pośrednictwem pośredników, wprowadza się obowiązkową identyfikację biometryczną i ograniczenie liczby kart. Pod szczególną kontrolą znajdą się przelewy powyżej 1000 USD, a także rachunki klientów poniżej 25. roku życia bez oficjalnych dochodów.

tygodnik Regionów

Piątek, 30.01.2026

HISTORIA

75 lat na oceanach, czyli
opowieść o PŻM

str. 10

KSIAŻKI

Pogoda sprzyja czytaniu.

Mamy dla was kilka

rekomendacji **str. 11**

DRAMAT

Dzieci już się nie obudziły. Czad,
cichy zabójca, znów zaatakował

str. 14



Aconcagua, najwyższy szczyt obu Ameryk, dał mu niezłą lekcję

Łukasz Klein na co dzień pracuje w wojsku jako ratownik pokładowy na śmigłowcu SAR,
ale adrenaliny mu mało. W wolnym czasie zdobywa szczyty świata **str. 12-13**

Siedem i pół dekady pod białoczerwoną banderą. Historia PŻM

Marek Jaszczynski
Szczecin

2 stycznia 2026 roku Polska Żegluga Morska świętowała 75 lat istnienia. To okazja do poznania fascynującej historii firmy ze Szczecina.

PŻM powstała w 1951 r., w wyniku likwidacji dwóch przedwojennych armatorów Gdynia Ameryka Linie Żeglugowe (GAL) oraz Żegluga Polskiej (ŻP) i od początku działalności skupiała się na uprawianiu żegluga trampingowej. Na początku swego istnienia flota PŻM liczyła 11 statków o łącznej nośności 27 000 ton.

- PŻM to nałóg, obsesja, pasja. I dlatego 75-lecie firmy to nie tylko rocznica, to opowieść o ludziach, statkach i decyzjach, które budowały polską obecność na morzach świata. Nic tak nie pokazuje drogi, jaką przeszła firma, jak porównanie pierwszego i jednego z największych jej statków. „Sołdek” 2603 DWT oraz „Zawrat” około 145 000 DWT. Dwadzieścia kilka lat różnicy i statek niemal siedemdziesiąt razy większy - mówi Wojciech Wachniewski, znawca historii Słupska, żegluga i wojen morskich. - O ile pamiętam, 293-metrowy „Zawrat” służył najdłużej z całej japońskiej trójki i jako jedyny z niej nie przekroczył nośności 145 tys. ton. Siostrzana „Czantoria” osiągnęła ponad 146 tys. DWT i to ona do dziś pozostaje największym statkiem handlowym w historii PŻM, a nie żadne obecne „Rysy” czy podobne jednostki. Różnica między „Czantorią” a tymi „Rysami” jest tak duża, że zmieściłby się w niej pierwszy „Manifest Lipcowy” zwodowany 1 kwietnia 1970 roku, z prawie 56 tysiącami ton nośności (a nawet drugi, 61-tysięcznik z Argentyny).

W pierwszych latach działalności PŻM wysyłała swoje statki w relacjach bliskiego i średniego zasięgu, tj. w rejon Bałtyku oraz mórz Północnego i Śródziemnego. Głównymi towarami były eksportowane: węgiel, drewno i nawozy, a importowane: rudy żelaza. Były to w dużej większości przewozy w żegludze trampowej, lecz armator od roku 1951 posiadał trzy regularne linie: Szczecin Sztokholm, Szczecin Londyn Rouen i Szczecin Hamburg Rotterdam Antwerpia.



Masowiec „Władysław Gomułka” wszedł do służby 21 października 1987 roku



Dawna siedziba PŻM przy ulicy Małopolskiej 44 w Szczecinie. Działała do 1992 roku

Ludzie...

- Za potęgą armatora przez wiele lat stał Ryszard Karger (1928-2017) jeden z najsłynniejszych dyrektorów PŻM. Wśród znamienitych kapitanów szczecińskich masowców nie sposób nie wspomnieć Kapitan Żaby oraz kapitana Eugeniusza Wasilewskiego (1907-1984), znanego również jako marynisty-pisarza, przez pewien czas pływającego z nieodłącznym wilczurem Nor-

dem - opowiada pan Wojciech. - Kapitan Kobylńska-Walas budziła sensację i sympatię. Jako pierwszy oficer drobniowca „San”, bliźniaka tragicznej „Nysy”, trafiła przed kamerę Polskiej Kroniki Filmowej (wydanie nr 50 z 1962 roku, dostępne dziś w sieci). Opieprzała nie gorzej niż kole-dzy z czterema paskami na rękawach i potrafiła ruszyć masowcem na pomoc innym w potrzebie. Była prawdziwą



„Sołdek” wypływa ze Szczecina. To prototyp serii dwudziestu małych masowców typu B-30

Sea Commandante jedyną taką w polskiej flocie.

...i statki

- „Sołdek”, nasza narodowa duma, powstał jeszcze nie dla PŻM, lecz dla GAL-u (Gdynia Ameryka Linie Żeglugowe), formalnie jako własność starej Żegluga Polskiej SA. Statki typu B-30 okazały się konstrukcjami diablo twardymi, choć sam „Sołdek” miał swoje przejścia: najpierw rozleciała się jego ma-

szyna (podobno z powodu błędów konstrukcyjnych), a potem jednostka niemal zatonęła w sztormie na Bałtyku wskutek zapchania wylotów pomp - mówi Wojciech Wachniewski. - „Pstrowski” również przeżył groźne chwile podczas zimowego sztormu na Bałtyku, co w 1967 roku opisał na łamach „Morza” kpt. W. A. Zaczek (1921-1998) znany później z Latającego Holendra (program telewizyjny o tematyce żeglarskiej, przeznaczony głównie dla młodzieży - przyp. red.).

„Brygada Makowskiego” była pierwszym statkiem PŻM o zbiorowym, niegeograficznym patronie nazwanym na cześć całej brygady stoczniowej ze Stoczni Gdańskiej, kierowanej przez Aleksandra Makowskiego. Nazwa pozostała w liczbie pojedynczej; dopiero „Czwartacy” z masowca typu B-447 otrzymali zbiorowego patrona w liczbie mnogiej.

Były też nazwy czysto propagandowe, jak „Jedność Robotnicza”, i takie, których geneza dziś rodzi pytania. Patron „Wieczorka” nie był stachanowcem, lecz pierwszym polskim dyrektorem stoczni w Szczecinie. Gdy na „Sołdku” rozsypała się maszyna, do prototypu wstawiono podobno parowy silnik z „Wieczorki” z powodów oszczędnościowych.

Statków typu B-30 zbudowano w Gdańsku niemal trzydzieści, z czego ponad dwadzieścia trafiło do Związku Radzieckiego. Pierwszy z nich miał jeszcze pływać pod polską banderą jako „1 Maj”, lecz ostatecznie otrzymał nazwę „Pierwomajsk”. Z czasem wiele B-30 figurowało w rocznikach flot Weyera jako jednostki pomocnicze sowieckiej marynarki wojennej.

- Miałem też swój skromny udział w wyborze nazw statków PŻM. W latach 90. wysłałem propozycje nazw zbiorowych „Szare Szeregi”, „Orlęta Lwowskie”, które zostały przyjęte i dziś zdobią burty jednostek z Azji. Wśród dużych masowców z Danii znalazły się też „Armia Krajowa” i „Solidarność” nazwy godne, choć pełna nazwa związku zawodowego zapewne nie zmieściłaby się na burcie - opowiada pan Wojciech.

Na koniec warto podkreślić, że nazwy statków handlowych to temat śmiertelnie poważny. Historia zna przypadki politycznych wybryków, jak zastąpienie Stefana Okrzei towarzyszem Bierutem na motorowcu typu B-54 statek w 1956 roku zatarł się na pochylni i nie chciał spłynąć na wodę.

- Ostatnim podobnym błędem było nazwanie gazowca imieniem Prezydenta RP. To patron godny okrętu wojennego, nie zbiornikowca - uważa Wojciech Wachniewski.

©P

KSIAŻKI

Upał

Daniel Odija

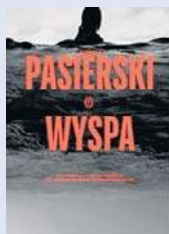


Wydawnictwo Marpress. Od wydawcy: „Upał wdiera się do

mieszkań, spala oddechy i topi granicę między snem a jawą. W tej spiekocie każde słowo i każdy gest stają się zapowiedzią czegoś nieodwracalnego. W mieście zaczyna się coś dziwnego – ludzie opuszczają swoje codzienne życie i idą w jednym kierunku, jakby wezwani przez niewidzialny głos. Każdy z nich ma jakąś historię. Poeta, który widzi niezwykłość w codzienności. Strażak, który po zapachu rozpoznaje rodzaj nadchodzącego pożaru. Samotna, która zamiast pójść na randkę, staje się częścią tłumu”. Gęsta od znaczeń i symboli, drgająca niepokojem proza z posmakami poezji. Bardzo polecam. **MARA**

Wyspa

Jędrzej Pasierski



Wydawnictwo Literackie. Od wydawcy: „Spokój Wielkiej Wyspy

we Wrocławiu burzy zbrodnia. Skrzypaczka Róża Marczyńska zostaje znaleziona martwa we własnym domu. Jedyną osobą, która wtedy znajdowała się na miejscu, jest syn ofiary, Kostek. Psycholog dziecięcy Szczepan Turski zostaje poproszony o rozmowę z nastolatkiem i zbadanie go w związku z falą przemocy wśród młodych. Czy wybitnie inteligentny chłopiec mógł popełnić morderstwo? Z czasem wychodzą na jaw niewygodne fakty, między innymi emocjonalne uzależnienie Róży od kogoś, kogo nazywała Panem O.”. Zgrabna intryga, są zaskoczenia i mylne tropy. **MARA**

Martwe kwiaty

Marta Reich

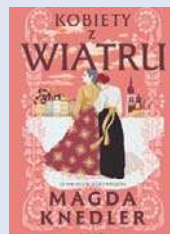


Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Cykl: „Tajemnice zbrodni”. Od wydawcy:

„Luty 1980. Dwóch pracowników warszawskich zakładów komunalnych w dryfującym po Jeziorze Czerniakowskim pakunku znajdują garnek z odciętą ludzką głową. Makabryczne znalezisko zostaje powiązane ze zgłoszeniem zaginięcia Zofii Czajkowskiej, atrakcyjnej 41-letniej pracownicy Telewizji Polskiej. Kilkadziesiąt godzin później w przechowalni na Dworcu Centralnym zostaje odkryty bagaż z rozczłonkowanym ciałem Zofii. Na zamkniętej walizce morderca położył trzy kwiaty, teraz już zwiędłe: tulipan, żonkil i frezję”. Oparte na prawdziwym wydarzeniu. Kryminał z dużą dawką psychologii. Polecam. **MARA**

Kobiety z wiatru

Magda Knedler



Wydawnictwo Zwierciadło. Cykl: „Ścieżki nadziei”. (tom 3). Od wydawcy:

„Opieka nad trójczkami pochłania energię Praksedy Koehler, nie mniej pisze kolejną książkę. Jej mąż zostaje opiekunem prawnym swojej kuzynki. Nie spodziewa się, ile ta opieka będzie jego i Praksedę kosztować. Księżna Aniela von Mirbach korzysta ze swojego statusu towarzyskiego. Frida Bachman nauczyła się nie oczekiwać za wiele od życia. Małżeństwo z Albertem okazuje się trudne i okupione pasmem cierpień. Niemniej i dla niej los szykuje wielkie zmiany”. Historia o trzech kobietach z XIX w. O ich codzienności i zmaganiach. Ciepła, kobieca literatura. Brawa za staranność wydania całego cyklu. **MARA**

Oczywiście, że cię...

Lee Kkoch-nim



Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Od wydawcy: „W pobliżu zbiornika

wodnego znalezione zostają białe damskie tenisówki, a chłopak, który towarzyszył ich właścicielce, znika w tajemniczych okolicznościach. Bliscy chłopaka i jego znajomi są przekonani, że dziewczyna musiała mu coś zrobić. Z każdą kolejną stroną czytelnik zaczyna poznawać mroczną tajemnicę, która łączy Hae-ju i zaginionego Hae-roka – parę zakochanych nastolatków. Autorka zagłębia się w serca młodych ludzi i stawia ważne pytania: jak naprawdę wygląda pierwsza miłość?”. Historia ukazuje kryjące się za miłością samotność, ból, obsesję, zazdrość i manipulacje. Połączenie kryminału z wątkiem dark romansu. **MARA**

Kuria

Artur Nowak



Wydawnictwo Prószyński i S-ka. Od wydawcy: „Podróż po diecezjach,

gdzie biskupi nie mieszkają – oni rezydują. Gdzie zakon nie służy Bogu, tylko dyscyplinie, wpływom i mamoni. Tu są doradcy medialni, włoscy sekretarze i kaplice lepiej wyposażone niż szpitale. Są kardynałowie i arcybiskupi, którzy suną po murach, a nie chodzą pośród ludzi. I są też ci, którzy zbudowali sobie prywatne wersje Watykanu – z ogromnymi ogrodami, imponującymi bibliotekami, kosztującymi miliony kapłanami i sztabem wysoko wykwalifikowanej służby, która ma zadbać o piękne i luksusowe życie, jakiego zwykli księża mogą tylko pozazdrościć”. **MARA**

REKLAMA

0011460132

Katowice stolicą architektury i designu. Jubileuszowa edycja 4 Design Days przyciągnęła ponad 5 tysięcy uczestników

Ponad 5 tysięcy uczestników, blisko 250 prelegentów, 42 debaty i sesje tematyczne oraz dwa dni intensywnych rozmów o przyszłości architektury, miast i jakości przestrzeni – tak wyglądała jubileuszowa, dziesiąta edycja 4 Design Days, która odbyła się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.

Wydarzenie od lat gromadzi architektów, projektantów, urbanistów, przedstawicieli samorządów, inwestorów, deweloperów, administrację publiczną oraz środowiska biznesowe. Tegoroczna edycja po raz kolejny potwierdziła, że 4 Design Days to dziś jedna z najważniejszych w Polsce platform debaty o przestrzeni, mieście i odpowiedzialnym projektowaniu.

Program jubileuszowej odsłony skoncentrowany był wokół wyzwań, z którymi mierzy się współczesna architektura: odporności na kryzysy klimatyczne i energetyczne, projektowania regeneracyjnego, adaptacji



istniejącej zabudowy, wpływu przestrzeni na relacje społeczne, a także roli nowych technologii – od danych po sztuczną inteligencję – w procesach projektowych i inwestycyjnych.

– *Architektura nie może być dziś wyłącznie estetyczną odpowiedzią na potrzeby rynku. Musi stać się narzędziem budowania jakości życia i odporności miast* – podkreślał podczas jednej z sesji David Sim, jeden z gości specjalnych wydarzenia i autor książki Soft City.

Wśród międzynarodowych prelegentów znaleźli się również m.in. Jonas Norsted z norweskiej pracowni Atelier Oslo, Jeanette Frisk – współzałożycielka kopenhaskiego arki_lab, specjalizująca się w projektowaniu partycypacyjnym oraz Roger Riewe – współtwórca uznanego biura Riegler Riewe Architekten. Towarzystwo im szerokie grono polskich architektów, urbanistów i ekspertów, których dorobek realnie kształtuje współczesną przestrzeń.

Integralną częścią programu było także wydarze-



nie towarzyszące Property Forum: Pomysł na Miasto, poświęcone rynkowi nieruchomości oraz wyzwaniom stojącym przed polskimi miastami. Dyskusje dotyczyły m.in. rewitalizacji terenów poprzemysłowych, współpracy samorządów z sektorem prywatnym, długofalowego planowania przestrzennego oraz odpowiedzialności inwestycyjnej.

– *Miasta potrzebują dziś nie doraźnych decyzji, lecz spójnej wizji rozwoju, która łączy interes publiczny, ekonomiczny i jakość przestrzeni* –

mówiła podczas jednej z debat Jeanette Frisk.

Jednym z najważniejszych momentów jubileuszowej edycji była Gala Property Design Awards, podczas której nagrodzono najlepsze realizacje architektoniczne i wnętrzarskie w Polsce. Jury doceniło projekty biurowe, mieszkaniowe, hotele, obiekty publiczne oraz przestrzenie komercyjne, podkreślając znaczenie jakości, odpowiedzialności środowiskowej i społecznej w projektowaniu. Z okazji 10-lecia przyznano nagrody specjalne dekady.

Tytuł Projektu Miałotwórczego Dekady otrzymała Strefa Kultury w Katowicach, Budynkiem Dekady został Varso Tower w Warszawie, a Rewitalizacją Dekady – Hala Koszky. Architektem Dekady został Przemysław Łukasik, a Designem Dekady – Oskar Zięta. Specjalne wyróżnienie przyznano Davidowi Simowi.

Drugiego dnia wydarzenia odbył się finał prestiżowego konkursu Dobry Design, promującego marki i projektantów, którzy łączą estetykę z funkcjonalnością, trwałością produktów oraz troską o zrównoważony rozwój. Konkurs od lat wskazuje kierunki, które wyznaczają standardy współczesnego polskiego wzornictwa.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days po raz kolejny pokazała, że Katowice stały się jednym z kluczowych miejsc w Polsce dla rozmowy o architekturze, designie i mieście. To nie wydarzenie o chwilowych trendach, lecz o długofalowych kierunkach, które realnie wpływają na to, jak projektujemy przestrzeń, w której żyjemy, pracujemy i funkcjonujemy na co dzień.

400 metrów, które nauczyły go pokory. Łukasz Klein o wyprawie na Aconcaguę

Marzena Góra
Szczecinek

Na co dzień pracuje w wojsku jako ratownik pokładowy na śmigłowcu SAR, a dodatkowo jako ratownik medyczny. Po godzinach biega i realizuje pasję do wspinaczki wysokogórskiej. Po zdobyciu Mont Blanc i Kazbeku, przyszedł czas na większe wyzwanie - Aconcaguę, najwyższy szczyt obu Ameryk. Atak szczytowy, przeprowadzony 14 stycznia, okazał się nie tylko próbą sił fizycznych, ale też testem charakteru.

- „W górach musisz wykonać pewien wysiłek bez zapłaty. Jest to mistyka, szukanie czegoś wyjątkowego. Do tego trzeba mieć wyobraźnię i filozofię życiową. Nie każdego na to stać, nie każdemu się chce. Bo w górach nie ma granic, tam się szuka wolności. A samo przebywanie w górach łagodzi, eliminuje agresję. Są elementy rywalizacji, ale rywalizacji z wyznaczonym celem, a nie z przeciwnikiem”. Ten cytat Krzysztofa Wielickiego w krótkiej formie opowiada to, co przeżyłem przez te trzy tygodnie na Aconcagui - mówi Łukasz Klein.

Za nim czternaście miesięcy przygotowań, setki godzin treningów i trzy tygodnie w surowym, wysokogórskim klimacie. Wyprawa na Aconcaguę okazała się dla Łukasza najtrudniejszym doświadczeniem w jego dotychczasowej przygodzie ze wspinaczką. I jednocześnie jednym z najważniejszych. Mało brakowało, a nie doszłaby ona do skutku.

- Tydzień przed wylotem pogłębiła mi się kontuzja pleców



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

do tego stopnia, że nie mogłem chodzić. Położyłem się na ziemi i nie mogłem wstać. Do tego problemy z nadciśnieniem tętniczym. Myślałem, że ten projekt się nie uda, że nie wylecę z Polski. Bardzo dużo osób próbowało mi pomóc. Stosowaliśmy rehabilitację, kriokomórę, masażery. Na szczęście udało im się postawić mnie na nogi. Ale do ostatniego dnia nie miałem pewności, czy uda mi się wylecieć do Argentyny - wspomina nasz rozmówca.

- Mówiąc szczerze, to była najtrudniejsza wyprawa mojego życia - przyznaje bez wahania. - Fizycznie, psychicznie, emocjonalnie. Wszystko zostało wystawione na próbę.

Pomyśl na wyprawę nie narodził się z dnia na dzień, ale był

konsekwencją drogi, którą Szczecinecczanin podąża od kilku lat - od Mont Blanc, przez Kazbek, aż po marzenie o wysokościach zaczynających się od szóstki z przodu. Aconcagua miała być sprawdzianem nie tylko formy, ale przede wszystkim głowy.

Przygotowania do wyprawy trwały czternaście miesięcy i wymagały ogromnej dyscypliny. Za Łukaszem setki godzin treningów kondycyjnych, budowania wytrzymałości tlenowej, ćwiczeń z obciążeniem. Do tego starty w półmaratonach - w jednym sezonie udało się przebiec całą ich koronę. Niejednokrotnie trening zaczynał się zaraz po 24-godzinnych dyżurze w karetce.

- Wracałem po dobie z karetki

i szedłem od razu na trening. Bywało ciężko, ale wiedziałem, po co to robię. Bez formy nie miałbym tam czego szukać. Do stałem też ogromne wsparcie od wielu osób. Bardzo dużo pomogła mi ekipa Fit4You. W tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować Ani Guzik-Sobolewskiej i Marcinowi Sobolewskiemu za stworzenie mi bardzo dobrych warunków do przygotowań. Nawet dokupowali sprzęt, abym miał na czym trenować. To nie była tylko rozpiska treningowa, to było realne wsparcie - wspomina Łukasz.

Na wyprawę wyruszył z Mirkiem, z którym wcześniej wspinał się w Gruzji. W górach, zwłaszcza podczas kilkutygodniowej ekspedycji, relacje międzyludzkie są kluczowe.

- Jeśli jedziesz na trzy tygodnie w takie warunki, to musisz mieć obok siebie kogoś, z kim naprawdę dobrze się rozumiesz. Widziałem jego kryzysy, on widział moje. Wspólnie przechodziliśmy przez długie podejścia, żmudną aklimatyzację, noclegi w namiotach przy temperaturach sięgających minus 20 stopni, topienie śniegu na wodę i nieustanne zmęczenie. Im wyżej wchodzisz, tym wszystko staje się trudniejsze.

Najtrudniejszy moment przyszedł niespodziewanie. Informacja o śmierci jednego z uczestników innej wyprawy, na podobnej wysokości. A chwilę później - obrzęk płuc u kolegi z zespołu i pilna ewakuacja śmigłowcem.

- Kiedy dowiedzieliśmy się

o śmierci tego mężczyzny na 6500 metrach, to był taki kryzysowy moment. Zapaliła mi się czerwona lampka, czy warto ryzykować na tej wysokości? Ale zaraz przyszła myśl „Łukasz, jesteś tu, trzeba działać myśleć, że wszystko będzie dobrze”. A za chwilę tego samego dnia kolega z naszej ekipy dostał obrzęk płuc. Tamten dzień naprawdę dał bardzo dużo do myślenia. Mimo to trzeba było wstać, otrząsnąć się i działać dalej. Ale nie było łatwo. Pomogło mi ogromne wsparcie od bliskich mi osób, które każdego dnia, jeśli tylko był zasięg, pisali do mnie. To wsparcie było naprawdę nieocenione, pomagało i motywowało mnie każdego dnia. Bez tego nie dałbym rady. Z mojej perspektywy to jest tak, że górę zdobywa głowa. Bo możesz być świetnie przygotowany, możesz mieć naprawdę najlepszy sprzęt, ale jeśli głowa nie daje rady, to nogi cię nie poniosą - kontynuuje swoją relację Łukasz.

Na wysokości 6500 metrów przyszedł kolejny kryzys. Nie ze strony organizmu, ale samej góry. Pojawiły się niespodziewane, bardzo duże opady śniegu - największe od kilkunastu lat. Pojawiło się realne zagrożenie lawinowe. Do zdobycia szczytu brakowało „tylko” i „aż” 400 metrów, ale oznaczało to jeszcze kilka godzin ekstremalnie trudnej wspinaczki i niepewne zejście.

- Nawet jeśli byśmy weszli tym trawersem, to byłby problem z zejściem. Była łązka w oku. Czternaście miesięcy wyrzeczeń i jesteś tak blisko. Ale wiedziałem, że zejście mogłoby być niemożliwe. Najprawdopodobniej może bym



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE



już nie wrócił, bo naprawdę było bardzo duże ryzyko, że ta lawina zejdzie. A jak się jest tak blisko, to niestety odzywa się ego, żeby iść dalej, a wygrać ze swoim ego, to jest jedna z najtrudniejszych rzeczy, jaką trzeba zrobić. To była bardzo trudna decyzja, bo co by się nie działo, ja nigdy się nie poddaję i zawsze chcę do końca. Ale na szczęście mam na tyle poukładane w głowie, że wie-

działem, iż nie warto ryzykować - wspomina nasz rozmówca.

Decyzja o odwołaniu, choć trudna, ale za to odpowiedzialna, okazała się najważniejszą lekcją tej wyprawy. Łukasz Klein nie nazywa jej porażką. Po raz pierwszy znalazł się na wysokości 6500 metrów, zobaczył tę „szóstkę” z przodu i po raz kolejny przekroczył własne granice.

Podczas wspinaczki w wypakowanym po brzegi plecaku nie zabrakło jednego, bardzo ważnego dla Łukasza akcentu - szczecińskiej flagi, którą zabiera na każdą ze swoich wypraw.

- Zawsze będę niósł ze sobą flagę Szczecinka, bo ona też dodaje mi energii i motywacji. Mogę powiedzieć, że ta flaga w jakiś sposób mnie niosła. Każdego dnia na każdej z wy-

praw miałem ją w plecaku i za każdym razem, kiedy przekroczyłem kolejną swoją barierę cieszyło mnie to, że ta szczecińska flaga idzie ze mną coraz wyżej. Większość osób niesie flagę Polski, a ja bardzo utożsamiam się z naszym miastem, więc ta nasza flaga była bardziej osobista - mówi Łukasz.

I dodaje, że zdecydowanie nie powiedział jeszcze ostat-

niego słowa, jeżeli chodzi o wyprawy wysokogórskie. Kolejne plany i pomysły na następne cele już powoli kiełkują w głowie. Siedem tysięcy metrów, a może nawet zdobycie ośmiotysięcznika. Jedno jest pewne - flaga Szczecinka jeszcze nie raz powędruje w górę.

- Ludzie myślą, że moje życie było trudne. Ale myślę, że była to wspaniała podróż. Im

jesteś starszy, tym bardziej zdajesz sobie sprawę, że mniej ważne jest to, co się wydarzyło, ale to, jak sobie z tym poradziłeś. Góry nauczyły mnie pokory, ale też dały siłę. Pokazały, że warto realizować marzenia, bo życie jest jedno. Flaga Szczecinka jeszcze nie raz wyruszy ze mną na wyprawę. Góry wzywają i muszę iść. Ośmiotysięcznik czeka - dodaje Łukasz.

REKLAMA

0011470386



Czas na zdrowie



Zakwaterowanie



**3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego**



Konsultacja lekarska



**4 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)**



**90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl

„Dzieci zasnęły na zawsze w swoich łóżeczkach”. Śledztwo po tragedii w Chełmnie

Maciej Czerniak

Cichy zabójca przyszedł w nocy. Zabrał życie Zuzannie, Mikołajowi, Oliwii i Nikoli. Właścicielka domu, w którym mieszkała rodzina, trafiła do aresztu. Krótko przed publikacją tekstu dowiedzieliśmy się, że zarzuty postawiono także kominarzowi

Stare Planty w Chełmnie to urokliwa uliczka biegnąca na skarpie opadającej ku dolinie Wisły. Wtorek, 20 stycznia. Parkiem przechadzają się nieliczni mieszkańcy. Kamienice przytulone do starych murów miasta, zwrócone frontem ku dolinie. Na progu tej z nr 1 kilkanaście zapalonych zniczy. To właściwie nie kamienica, tylko niski, dwukondygnacyjny dom, ścianą złączony z sąsiadującym, starszym. Dwa wejścia do budynku zaplombowane, na taśmach: „Policja, nie zrywać”.

Sąsiedzi nie chcą rozmawiać. Jeden mówi wprost: - Jestem zmęczony tą sytuacją. Nie mam nic więcej do dodania. Dajcie już nam spokój.

Śmiertelne stężenie

W czwartek, 15 stycznia, wieczorem media obiega alarmująca wiadomość, że po godz. 17 w budynku przy Starych Plantach znaleziono cztery ciała. Dzieci leżały w łóżkach. Prawdopodobnie zmarły wieczorem, może w nocy - to ustala jeszcze prokuratura.

Zuzannę, jej najmłodszego synka, liczącego 2 lata Mikołaja, 7-letnią Oliwię i 11-letnią Nikolę znajdują strażacy, którzy przyjechali na interwencję. Wcześniej policję zaalarmowała siostra Zuzanny. Nie mogła się z nią skontaktować w ostatnich dniach. Był czwartek, a jak się okazało, dziewczynki nie chodziły do szkoły już od poniedziałku. Informacja z Wojewódzkiego Centrum Powiadomienia Ratunkowego najpierw trafia do policji, a kiedy mundurowy nikt nie otworzył drzwi, wzywają straż pożarną.

Konieczne jest siłowe wejście do mieszkania. Obawiają się najgorszego.

Badanie, przeprowadzone przez strażaków interweniujących w budynku przy Starych Plantach, wskazuje, że przy-



Urny matki i dzieci spoczęły we wspólnej mogile na cmentarzu w Górnych Wymiarach

czyną śmierci całej rodziny musiało być wysokie stężenie tlenku węgla. Czad zabija. Wskaźnik ukazuje wartość sięgającą 900 ppm, a to już dwukrotne przekroczenie śmiertelnego stężenia tego gazu. Na miejscu pojawia się prokurator. Pracę rozpoczynają technicy kryminalistyki.

Ciała zostają zabezpieczone do badań sekcyjnych. Te, przeprowadzone w poniedziałek, 20 stycznia, potwierdzają wstępne przypuszczenia - cała rodzina zmarła na skutek zatrucia czadem z pieca gazowego.

Dzień po tym, kiedy ujawniono okoliczności tragedii, głos zabiera widocznie wstrząśnięty burmistrz Chełmna, Mariusz Kędzierski: - W związku z wczorajszym zdarzeniem na Starych Plantach składam wielkie kondolencje dla rodziny dzieci, matki, którzy zostali wczoraj znalezieni zakażeni - te słowa burmistrz wypowiada drżącym głosem. - Chciałbym państwa namówić do tego, abyście zaopatrzyli się w czujki czadu. Takie urządzenie kosztuje od 30 do 150 zł, a może uratować życie. Pomyślimy o tym, by przynajmniej w miejskich mieszkaniach pojawiały się takie czujki, ale to jest taki pomysł ad hoc, chyba poważnie trzeba podjąć decyzję, by ogłosić program, kupić to, żeby było bezpiecznie.

Kilka dni po tej tragedii Piotr Całbecki, marszałek woj. kujawsko-pomorskiego ogłasza, że samorząd przeznaczy 2 mln złotych na takie czujki dla mieszk-

kańców regionu. Trzeba tylko dopracować szczegóły.

Jadę do Szkoły Podstawowej nr 1 w Chełmnie. Oliwia chodziła do pierwszej klasy, Nikola do piątej. - To były spokojne dziewczynki, lubiane przez kolegów i koleżanki. Ich śmierć to irracjonalna, niewyobrażalna tragedia - mówi Agnieszka Cabaj, dyrektorka SP nr 1.

Uczniowie obu klas zostali objęci opieką psychologiczną. - Tu bardzo ważna jest rola wychowawców i rola rodziców, którym składam ogromne podziękowania za współpracę. My, dorośli, inaczej to przeżywamy i dzieci inaczej - podkreśla dyrektorka. - Pomoc psychologiczna musi być długofalowa, bo w pierwszym okresie dzieci mogą nie okazywać takiej żałoby, przeżywania straty koleżanek. To może nastąpić, uwidocznić się dopiero w późniejszym okresie ich rozwoju.

„Serca pękły na kawałki”

Tak napisano w poście na stronie szkoły. Poniżej informacja, że na parterze budynku wystawiono skrzyneczkę, w której można umieszczać kartki z zapiskami wspomnień dotyczących Nikolki i Oliwki. Są też fotografie uczennic - z pasowania Nikoli, z wyjazdu szkolnego, wśród koleżanek i kolegów oraz Oliwii z opaską misiem, w niebieskim szkolnym birecie, z mikrofonem.

- To jest niewyobrażalne. Boże, ciężko sobie uzmysłwić to, co się stało. Płacze, kiedy

wyobrażę sobie, że te dzieciaczki zasnęły na zawsze już w swoich łóżeczkach - emocji nie może ukryć starsza kobieta, którą spotykam na skraju rynku w centrum Chełmna. Stoi przed bramą kościoła archidiecezjalnego Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Przy kościelnej furcie wiszą cztery nekrologi rodziny ze Starych Plantów. Ostatnie pożegnanie, msza żałobna odbywa się dzień później w kościele parafialnym w Górnych Wymiarach. W kondukcje pogrzebowym niesione są cztery urny. Trzy białe - Mikołaja, Oliwii i Nikoli. W mosiężnej spoczywają prochy Zuzanny. W ostatniej posłudze uczestniczy wiele osób. Bliscy. Obcy, którymi wstrząsnęła tragiczna śmierć matki i dzieci. Wśród żałobników - koleżanki i koledzy ze szkoły.

Rozwój śledztwa

Niemal tydzień po rodzinnej tragedii uwagę nie tylko mieszkańców Chełmna przykuwa nowy, szokujący wątek sprawy. Policja zatrzymuje Joannę M., współwłaścicielkę domu, w którym mieszkanie wynajmowała Zuzanna. - Został przedstawiony zarzut podżegania do podrobienia dokumentów, potwierdzających czynności przeglądu i kontroli pieca gazowego. Kobieta chciała użyć sfalszowanego dokumentu jako autentycznego - powiedział prok. Izabela Oliver, rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Toruniu.

Kobieta miała nakłaniać diagnostę przewodu kominowego do wystawienia stosownego dokumentu już po tym, kiedy wydarzyła się tragedia.

M. trafia do aresztu na miesiąc. W tym czasie Prokuratura Rejonowa w Chełmnie, która bezpośrednio nadzoruje postępowanie, gromadzi kolejne dowody w sprawie. Podejrzanej grozi od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności.

Neooficjalnie dowiaduję się, że w kręgu podejrzanych mogą się znaleźć kolejne osoby. Odnosi się do tego prok. Mateusz Wiśniewski, pełniący obowiązki szefa PR w Chełmnie: - Nie o wszystkim możemy informować z uwagi na próby mataczenia, które już miały miejsce w tym postępowaniu. Nie możemy uprzedzać świadków o treści zeznań, jakie były składane.

Prokurator dodaje: - Każdy właściciel nieruchomości jest zobowiązany do przeprowadzenia rocznego przeglądu systemu kominowego. Jeżeli, co ustaliliśmy w toku śledztwa, miała miejsce próba uzyskania dokumentu, to po prostu może wskazywać, że takie przeglądy w ogóle nie były wykonywane.

Pytam, czy to prawda, że zarzutów może być więcej? Mogą dotyczyć sprowadzenia niebezpieczeństwa na inne osoby?

- Prokurator nigdy nie jest w stanie wykluczyć ewentualności zmiany zarzutów. Na razie nic takiego nie miało miejsca - odpowiada prok. Wiśniewski.

W budynku mieszkali jeszcze trzy rodziny najemców. Musiały opuścić lokum z powodu potencjalnego zagrożenia zatrucia tlenkiem węgla. Dwie znalazły schronienie u swoich bliskich, a jedna - matka z trojgiem dzieci - trafiła do schroniska nad Jeziorem Starogrodzkim.

Istotny będzie wynik eksperymentu procesowego; biegły musi przeprowadzić badanie systemu wentylacji w budynku w konkretnych warunkach atmosferycznych.

- Miasto czeka na decyzję organów budowlanych, czy będzie możliwość zasiedlenia tych rodzin - mówi Jolanta Padzik, prezes Chełmińskiej Społecznej Inicjatywy Mieszkanio-wej, skupiającej wszystkie lokale komunalne w mieście. - Jeżeli decyzja o powrocie będzie pozytywna, to te osoby odzyskają dostęp do swoich mieszkań. Jeżeli nie, to zostanie podjęta decyzja odnośnie tego, czy zabezpieczać tych ludzi mieszkaniowo, czy nie.

Mariusz Szymański, powiatowy inspektor budowlany: - Nie mieliśmy sygnałów, by coś działo się źle, jeżeli chodzi o ten konkretny budynek. Po badaniu wrócimy jednak do dokumentów dotyczących tej nieruchomości i sprawdzimy jej historię - zapewnia.

Z ostatniej chwili

W czwartek, 22 stycznia, nadchodzi kolejna informacja - zostaje zatrzymana jeszcze jedna osoba. Chodzi o kominarza, który miał wykonywać przeglądy w domu przy Starych Plantach. Usłyszał zarzut poświadczania nieprawdy. Chodzi o przegląd kominowy, który miał być przeprowadzony w marcu 2025 r., ale istniał tylko na papierze. - Zustalenia wynika, że mężczyzna nie wykonał badania przewodów w każdym z mieszkań budynku i m.in. nie sprawdził drożności kominów na dachu - mówi prok. Wiśniewski. - Budynek zatem nie miał ważnego przeglądu technicznego instalacji.

Kominarz został objęty dozorem policji, ma zakaz opuszczania kraju i m.in. zakaz wykonywania zawodu do czasu, aż sąd wyda w jego sprawie stosowną decyzję procesową.

Współpraca: Daniel Dreyer i Katarzyna Kucharczyk

DZIĘKI WSPARCIU ORLEN „OSTOJA” BĘDZIE MOGŁA URATOWAĆ WIĘCEJ DZIKICH ZWIERZĄT

Już w marcu podopieczni Pomorskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt „Ostoja” będą mogli nabierać sił w komfortowych warunkach. Inwestycja w woliery z basenem dla ptaków wodnych jest realizowana dzięki wsparciu Fundacji ORLEN dla Pomorza w ramach programu „Bałtycki Grant Bioróżnorodności”.

Pomorski Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt „Ostoja” od 13 lat ratuje życie dzikich zwierząt. Przez te lata pracownicy ośrodka uratowali ponad 23 tys. ssaków i ptaków. Wielu udało się pomóc i umożliwić powrót do środowiska naturalnego, co nie byłoby możliwe, gdyby nie wsparcie z zewnątrz.

- Wierzymy, że każda kropla zaangażowania może stać się falą pozytywnych zmian. Dlatego wspieramy naukowców, społeczników i pasjonatów, którzy wiedzą jak pomagać przyrodzie. W PORDZ „Ostoja” pracuje wiele osób zaangażowanych w rozpowszechnianie wiedzy na temat życia i pomocy dzikim zwierzętom. To bezpośrednio przekłada się na ograniczanie liczby kryzysowych sytuacji na styku człowiek - dzikie zwierzę. Cieszymy się, że możemy mieć w tym swój udział - podkreśla Anna Ocoś, prezes Fundacji ORLEN dla Pomorza.

Milowy krok w trosce o dzikość

W marcu 2025 r. w ramach „Bałtyckiego Grantu Bioróżnorodności” Fundacja przekazała 460 tys. zł na rzecz Ośrodka „Ostoja”.

- Pomorze to obszar strategicznej działalności biznesowej ORLEN, ale także region w którym budujemy trwałe partnerstwa ze społecznościami lokalnymi. Dbamy o Bałtyk, bo wiemy jak ważne jest świadome korzystanie z jego zasobów. Działania na rzecz bioróżnorodności to wyraz naszej odpowiedzialności - zarówno wobec społeczności lokalnych, jak i środowiska naturalnego. Chcemy być dobrym sąsiadem, dlatego wspólnie z PORDZ „Ostoja” wspieramy ptaki wodne, dla których Morze Bałtyckie stanowi naturalne środowisko. Powstające dzięki grantowi nowe woliery umożliwią im bezpieczny powrót do zdrowia i natury - mówi Jacek Mazurczak, dyrektor Biura Relacji z Otoczeniem ORLEN.



FOT. PIOTR PAWLINA

Ośrodek „Ostoja” dzięki „Bałtyckiemu Grantowi Bioróżnorodności” uratuje więcej dzikich ssaków i ptaków

Dofinansowanie przeznaczono nie tylko na postawienie nowych woliery, ale także zakup specjalistycznego samochodu do transportu rannych dzikich zwierząt, szkolenia dla personelu i edukację w formie spacerów ekologicznych.

- Dzięki tym środkom czynimy milowy krok w rozwoju naszej fundacji. Samochód całkowicie spełnił nasze oczekiwania. Jest dostosowany do przewozu dzikich zwierząt, w pełni zorganizowany w niezbędny sprzęt, pojemniki, transportery. Dzięki temu jakość naszej pracy i komfort przewozu zwierząt wzrosły o 100, a nawet 200 proc. Kolejną fantastyczną rzeczą jaka powstaje dzięki środkom od Fundacji ORLEN dla Pomorza są w pełni profesjonalne woliery dla ptaków wodnych - wyjaśnia Beata Rydelek, prezes zarządu Pomorskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt „Ostoja” w Pomieczyźnie.

Woliery będą odpowiednich dla ptaków wymiarów, zapewnią wymagane zacienienie i co najważniejsze dla ptaków wodnych, dostęp do wody.

- De facto będzie to jedna duża woliery z basenami, która będzie mogła być dzielona w zależności od potrzeb. Dzięki temu będziemy mogli przyjmować więcej wodnych pacjentów różnych gatunków. Będzie to dla nas niesamowity rozwój w rehabilitacji ptaków. Najbardziej skorzystają z tej woliery mewy. W sezonie zdarzają się dni, kiedy trafia ich do nas nawet 100. Woliery będą dla ptaków wodnych, ale po wstawieniu żerdzi czy odpowiednim zaaranżowaniu będą mogły przebywać w niej również inne gatunki. To naprawdę spełnienie naszych marzeń - mówi Małgorzata Stachurska, kierownik ośrodka „Ostoja”.

Prace przy budowie woliery trwają. Już w marcu będą mo-

gli korzystać z niej pierwsi podopieczni.

Podnoszenie umiejętności i edukacja ekologiczna

Dzięki wsparciu z Fundacji ORLEN dla Pomorza pracownicy ośrodka przeszli szkolenia. W efekcie mogą obsługiwać aparaturę RTG czy USG i mogą przeprowadzić szybszą diagnostykę, ograniczając stres pacjentom.

Projekt „W trosce o dzikość!” zakłada również edukację mieszkańców terenów nadmorskich. Do Ośrodka w 2024 r. przyjęto 434 ptaki wodne, dla których naturalnym domem jest Morze Bałtyckie i plaże. Zdecydowana większość poszkodowanych zwierząt trafia tu wskutek działalności człowieka. To dlatego tak ważna jest edukacja ekologiczna.

- Chcemy uczyć postępowania z ptakami wodnymi i innymi dzikimi zwierzętami, ży-

jącymi w pobliżu człowieka. Do Ośrodka często trafiają młode zwierzęta, które nie wymagają interwencji. Taka niepotrzebna „pomoc” szkazuje je na stres, życie w niewoli, a nawet śmierć. Ogromnym problemem jest także złe i niepotrzebne dokarmianie ptaków wodnych - mówi Beata Rydelek.

Szpital dla dzikich zwierząt

Jak mówią pracownicy Pomorskiego Ośrodka Rehabilitacji Dzikich Zwierząt „Ostoja”, placówka na co dzień jest prawdziwym szpitalem dla dzikich zwierząt. Pracuje tu dziesięć osób, w tym pięciu techników. Ośrodek może przyjmować, leczyc i rehabilitować potrzebujące pomocy ptaki oraz niewielkie ssaki jak jeże, zające, wiewiórki, kuny, łasice.

- Przyjeżdżają do nas zwierzęta z całego województwa

pomorskiego. Opiekujemy się każdym przywiezionym osobnikiem. Nigdy nie odmówiliśmy przyjęcia żadnego zwierzęcia, żadnego ptaka, wiewiórki, zajączka, jeża. Czasem jest bardzo ciężko. W sezonie mamy pod dzienną opieką, w trakcie rehabilitacji nawet do trzystu osobników. Niesamowitą pomoc w pracy niosą nam wolontariusze. Bardzo chętnie do nas przyjeżdżają i bardzo ciężko pracują - mówi Beata Rydelek.

Jak dodaje, niedługo zostanie ogłoszony kolejny nabór wolontariuszy na sezon letni. Informacje ukażą się na stronie ośrodka i social mediach.

- Można nas w ten sposób wspierać pracą. To jest naprawdę bardzo potrzebne w czasie sezonu, ale również można nas wspierać w innych formach. Mogą być to np. darowizny rzeczowe. Można nas wspierać finansowo, wpłacając darowizny lub zorganizować jakąś akcję w pracy. Naprawdę nasi pomagacze mają fantastyczne pomysły dla wsparcia naszej działalności - dodaje prezes „Ostoi”.

Miliony wsparcia dla przyrody

„Bałtycki Grant Bioróżnorodności”, z którego ośrodek „Ostoja” pozyskał finansowanie, to program grantowy prowadzony przez Fundację ORLEN dla Pomorza. Na wsparcie projektów przeznaczono blisko 4 mln zł. Wsparcie uzyskały projekty kładące nacisk na ochronę bioróżnorodności Morza Bałtyckiego, promocję zrównoważonego rozwoju poprzez wspieranie inicjatyw, które minimalizują negatywny wpływ działalności człowieka na środowisko morskie i podniesienie świadomości społecznej na temat znaczenia bioróżnorodności Morza Bałtyckiego. Środki wsparły również inicjatywy w zakresie ochrony środowiska, monitoring i badania naukowe, które przyczyniają się do lepszego zrozumienia ekosystemów lokalnych, identyfikacji zagrożeń oraz opracowywania strategii ich ochrony.

Dino podbiło Polskę. Pracowników już niekoniecznie

Agnieszka Domka-Rybka

„Dinusie” wylewają żale na robotę u najbogatszego Polaka, ale „gdzie my na prowincji znajdziemy inną?” Związkowcy idą na wojnę z tajemniczym miliarderem

Nie ma wątpliwości, że otwierając w ostatnich latach rekordową liczbę sklepów sieć Dino zalicza aktualnie wizerunkową klępkę, z jaką nie miała do czynienia od początku istnienia, czyli od 1999 roku. Wtedy powstał pierwszy Supermarket Dino - w wielkopolskim Krotoszynie. Dziś pod tą marką działa ponad trzy tysiące sklepów w całym kraju. W 2017 roku spółka zadebiutowała na Giełdzie Papierów Wartościowych. Będzie otwierać swoje stacje paliw. A tu taki dym...

Sucho dane pokazują imponującą skalę biznesu - tylko w 2025 roku otwarto 245 nowych sklepów. Oczywiście, do tego dochodzą centra dystrybucyjne, których jest 11.

Ani Biedronka, ani Lidl (najwięksi konkurenci Dino) nie rozwijają się dziś w takim tempie.

Sklepy pod szyldem Dino mają swoje lokalizacje przede wszystkim w mniejszych miejscowościach lub na obrzeżach miast, ale od 20 stycznia zakupy mogą w nich robić np. również mieszkańcy Warszawy.

Obecność Dino w Wilanowie nie podoba się. Mieszkańcy stali się nawet obiektem licznych żartów przez to, jak części z nich nie przypadł do gustu pomysł, by w tej warszawskiej dzielnicy powstał „wiejski sklep”. Najgłośniejsze były skargi mieszkańców, że budynek wygląda jak „kurnik” i kojarzy się z prowincjonalną zabudową.

W sieci zawrzało. „Za mało prestiżowy na Wilanów?”; „Sklepowy parking niegodny Maserati, Lamborghini, Ferrari, Bugatti, Porsche?”; „Boli, że to polski sklep? - żartowali internauci.

Właściciel Dino. Ktoś go widział?

W regionie Kujaw i Pomorza jest kilkadziesiąt sklepów Dino. Spotkamy je np. zarówno w niewielkim Rojewie w powiecie inowrocławskim, jak i w Bydgoszczy czy turystycznym Tleniu w Borach Tucholskich - wciąż ich przybywa.

W 2026 roku mają otworzyć się kolejne w: Grudziądzu, Ino-

wrocławiu, Solcu Kujawskim i aż dwa w Świeciu.

Kto stoi za handlowym kolosem z ambicjami?

Sieć stworzył najbardziej tajemniczy biznesmen w naszym kraju, z Krotoszyna - Tomasz Biernacki; rocznik 1973.

Co o nim wiemy? Założyciel Dino w 2025 roku po raz kolejny zajął 1. miejsce na liście „100 Najbogatszych Polaków” tygodnika „Wprost”, notując rekordowy majątek wyceniany na - bagatela! - 28 mld zł.

Jest to czwarty z rzędu rok, w którym ów cichy milioner, który słynie z unikania mediów i publicznych wystąpień, utrzymał pozycję lidera, powiększając swój kapitał i wyprzedzając owianych sławą w rankingach krejusów - Michała Sołowowa (23 mld zł) oraz Jerzego Staraka (18,8 mld zł).

I tu hit: 28 mld złotych Biernackiego to rekord w historii rankingu „Wprost”!

Źródło bogactwa miliarda z Krotoszyna? Sztuczna inteligencja podpowiada, że to większość udziałów w Dino, 51 proc., a pozostałe należą do udziałowców instytucjonalnych.

W pewnym momencie krążyły plotki, że wśród udziałowców jest ks. Tadeusz Rydzik, ale w strukturze akcjonariatu nie pojawia się ani jego nazwisko, ani związane z nim Radio Maryja czy Fundacja Lege Veritatis.

Całkiem niedawno właściciel Dino ogłosił, że wchodzi w nowy biznes, czyli własne sieci stacji paliw. Będą powstawać przy istniejących supermarketach, żeby wykorzystać ich potencjał i logistykę. Spółka ma już zarejestrowany znak towarowy Dino Oil.

Pieniądz robi pieniądz.

Niestety, blask sukcesu przyćmiły doniesienia związkowców z OPZZ Konfederacja Pracy w Kauflandzie, Biedronce, Dino, ALDI i Rossmann - o warunkach pracy i płacy w tym supermarkecie.

Oprocentowana pożyczka zamiast socjału?

Mleko rozlało się jakiś czas przed Świętami Bożego Narodzenia, kiedy to związkowcy z OPZZ zaalarmowali, że pracowników nie czeka w grudniu nic miłego poza trzema pracującymi niedzielami: „Zero Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych, mimo że jest obowiązkowy. A obok tego gigantyczne inwestycje, kolejne



Jak powiedział nam jeden z pracowników Dino, najmniej atmosferą w sklepach tej sieci przejmują się klienci, na których brak sieć nie może narzekać. Kolejki są jak zawsze

markety i rekordowe zyski Dino Polska. Tylko jedno się nie zmienia: pracownik wciąż traktowany jest jak koszt, nie jak fundament tego biznesu”.

Napięcie rośnie. OPZZ informowało, m.in. na swoim facebookowym profilu, że zatrudnieni zgłaszają jej niskie temperatury w sklepach (mniej niż 15 stopni C), zbyt małą liczbę osób na zmianach (trzy) i to, że marnie zarabiają (ok. płacy minimalnej).

Związkowcy zażądali: 900 zł podwyżki do wynagrodzenia zasadniczego, ZFŚS i zwiększenia zatrudnienia o 30 procent.

Głośnie była np. sprawa, gdy pracownikom przed gwiazdką zamiast socjału z ZFŚS zaproponowano pożyczki na kwoty do 8 tys. zł - oprocentowanej!

Gorąca dyskusja rozpoczęła się także po tym, jak związkowcy przekazali, że Dino potrąca pracownikom z wypłaty koszty naprawy sprzętu, typu uszkodzone mopy, i za zniszczoną odzież roboczą.

To nie koniec. W internecie pojawiły się zdjęcia posiłków regeneracyjnych (zup), które mają otrzymywać pracownicy magazynów. Wątpliwości wzbudziły jakoś jedzenia oraz brak wskazania informacji o alergenach.

Miało dojść do rozmów na temat warunków pracy w Dino, ale OPZZ Konfederacja Pracy zakomunikowała, że zarząd się na nich nie pojawił i po zignorowaniu zaproszenia złożyła zawiadomienia do PIP o łamaniu praw pracowniczych oraz doniesienia do prokuratury w sprawie możliwości na-

ruszenia przepisów ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych, natomiast o wyznaczenie mediatora zwróciła się do Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej.

Związkowcy grożą strajkiem. Tymczasem na forach pracownicy wylewają swoje żale.

„Nie pamiętam, aby jakikolwiek większy pracodawca tak unikał rozmów ze związkami, to jest chyba pierwszy taki przypadek. Cisza, cisza cisza, ani słowa, ani komentarza ze strony pracodawcy, coś mi tu nie pasuje”.

„Dino wykorzystuje swoją uprzywilejowaną przewagę w mniejszych miejscowościach, gdzie poza sklepem i gminą nie ma innej pracy”.

„Mamy 12 stopni przy kasie w ten mróz. Farelki dodatkowe były, jak była inspekcja pracy, a potem je wyłączono”.

„Te kasy naprzeciwko drzwi to porażka, po zmianie człowiek jest sztywny z zimna, co za architekt to wymyślił?”

„Trzy trzy osoby na zmianie w markecie to stanowczo za mało”.

„Zabraniają nam brania dwóch tygodni urlopu w wakacje, więc jak rodzice spędzą czas z dziećmi? Nie wolno przynosić L4 przez Wielkanocą, majówką, 1 i 11 listopada. A wypłata? Nawet 4 tys. zł na rękę nie wyciągamy. W pomieszczeniach socjalnych zimno, a za wszystko, co się psuje, potrącają z pensji. Dosłownie za wszystko!”

„Jedyna rzecz, której boi się zarząd to, jakby wszyscy pracownicy np. o 8.00 odeszli od swych stanowisk i ogłosili

strajk w całej Polsce. Druga wersja - wszyscy się zwalniają tego samego dnia i nie ma chętnych na ich miejsce, wtedy zarząd zacznie rozmawiać o podwyżkach”.

„Zimno, niskie pensje, mało pracowników a wymagania ogromne, ponad ludzkie siły, najlepiej harować po 12 godzin dziennie. To, co się dzieje w tych sklepach, przechodzi ludzkie pojęcie, tylko nikt o tym nie mówi głośno, co wyprawia się od strony zaplecza”.

„Kupuję w tych sklepach i zawsze jest tam zimno, podziwiam że kobiety tam pracują”.

Jednak są również takie głosy.

„Pracuję w Dino i fakt, są pewne niedociągnięcia i brak socjału, ale mam wrażenie, że ten hałas to praca konkurencji, by zamknąć te sklepy, gdzie zawsze są świeże produkty i w miarę tanie. Wszyscy stracimy pracę, a na prowincji gdzie my znajdziemy lepszą pracę i czy w ogóle”.

„To mi wygląda na nagonkę, jak byłem w Biedronce, widziałem, że panie też chodzą jak zombie, ich zmęczenie widać na kilometr. We wszystkich sieciach handlowych jest za mało pracowników na zmianach”.

„Nagonka? To dlaczego skoro pracuję do 22.30, muszę zostać do 23.00, bo podłogę trzeba umyć. I tak codziennie, pół godziny pracy gratis”.

„Idź do Biedry za parę złotych więcej i ciągnij 6 - 8 palet na zmianie plus rób nocy. Wtedy docenisz Dino”.

„To prosta praca, ale ciężka. Nie ma dużo filozofii. To han-

del i żywność, więc towary wymagają specjalnego traktowania. Reszta to szczegóły. Zasady są restrykcyjne, ale ja się tym nie przejmuję. Robię swoje, mam prawo usiąść i coś zjeść w ramach kultury i współpracy z innymi Dinusiami. Jak komuś nie pasuje, to goodbye”.

PIP prowadzi kontrole w Dino, ale też w Biedronce

Poprosiliśmy Dino o komentarz do tego artykułu, wysyłając pytania na kontakt dla prasy podany na stronie www, jednak - do tej pory - go nie otrzymaliśmy.

Co do kontroli PIP w sklepach tej sieci, niektóre media podają ogólnikowo, że Inspekcja wydała pierwsze zalecenia i nakazy. Jednak my poczekamy na pełny raport Głównego Inspektoratu Pracy, który ma zostać opublikowany po zakończeniu kontroli. Wtedy wrócimy do tematu.

Nam, jak dotychczas, PIP nie odpowiedziała, ale to nie pierwszy raz, gdy pytamy o kontrole w Dino.

Ostatnio tak odpowiedział nam Mateusz Rzemek, rzecznik PIP, czytamy m.in.: „Do Państwowej Inspekcji Pracy wpłynęło w 2025 r. 139 skarg na Dino Polska SA (sklepy Dino). Spośród nich rozpatrzone 137 (dwie sprawy są w toku). W 21 przypadkach potwierdzono zasadność zgłaszanych zarzutów, 85 skarg było niezasadnych, zaś w 31 przypadkach niemożliwe było potwierdzenie zasadności lub bezzasadności za pomocą dostępnych inspektorowi środków dowodowych lub przedmiot skarg leżał poza zakresem kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy. Spośród zgłoszonych skarg jedna (uznana za bezzasadną) dotyczyła nieutworzenia zakładowego funduszu świadczeń socjalnych. Warunków pracy dotyczyły 22 zgłoszenia, z których jedynie 9 uznano za zasadne”.

Warto przy okazji dodać, że kontrole PIP trwają obecnie nie tylko w Dino, ale również np. w Biedronce, gdzie dotyczą zasad planowania i zmieniania grafików w okresie przedświątecznym, przy wydłużonym czasie pracy sklepów. Jak pisaaliśmy, 22 grudnia klienci mogli robić zakupy od 6:00 aż do 1:00 w nocy, natomiast we wtorek, 23 grudnia, od 5:00 do 23:30.

Również w tym przypadku poczekamy na wyniki kontroli. ©

PULS
#201



Na psa los...

Arlena Sokalska

JAK ZOSTAĆ KRÓLEM WSZECHŚWIATA



Do Rady Pokoju wymyślonej przez Donalda Trumpa przyłączyło się już kilkanaście państw, Białe Białe ujawnił aktualną listę – od Albanii i Arabii Saudyjskiej po Węgry, Wietnam i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Nie, Belgii na tej liście już nie ma. I nigdy nie było, po prostu Białe Białe pomylił Belgię z Białorusią, która przystała do rady. Oj tam, oj tam, Belgia czy Białoruś, kto w Ameryce przejmowałby się takimi drobiazgami.

Nie wiadomo, kto z wielce szanownych członków Rady Pokoju zapłacił ten miliard dolarów, który ma gwarantować stałe członkostwo w tym ciele, a kto tylko się zapisał. Zapewne, jak już się ktoś zapisze, może spodziewać się nacisków, by jednak zapłacił. Bo bez tego cała idea rady się rozpada, bo za coś trzeba przecież funkcjonować.

A czym ma być Rada Pokoju? Zastąpić skostniały i właściwie działający bez ładu i składu ONZ, który nie jest w stanie działać ani przyjmować nawet żadnych rezolucji, bo przecież Rosja wszystko blokuje. Jak twierdzą złośliwi, Rada Pokoju ma uczynić z Donalda Trumpa króla wszechświata, po tym, jak już przestanie być prezydentem. Stanami Zjednoczonymi miałby kierować nowy prezydent – według pomysłu Trumpa – oczywiście republikanin. A kto kierowałby nowym prezydentem? Tak, zgadliście – szef Rady Pokoju, czyli Donald Trump.

Inni twierdzą, że poprzez działania agentów ICE, którzy zabijają Amerykanów, Trump zamierza doprowadzić Stany Zjednoczone do wrzenia, a może nawet do czegoś w rodzaju wojny domowej. O to nietrudno, wszak broni tam mają dostatek. A to z kolei doprowadziłoby do wprowadzenia stanu wyjątkowego, kiedy to można nie organizować wyborów. I kto rządziłby dalej? Oczywiście Donald Trump, na dodatek mający za sobą całą Radę Pokoju. Scenariusze fantastyczne? Zdecydowanie, ale to, co dzieje się w ostatnich latach sprawia, że z uwagą należy rozpatrywać nawet takie political fiction.

Ale większą obawę budzi sztuczna inteligencja w służbie polityki. Nie tak dawno grupa naukowców połączonych sił z Berkeley, Harvardu, Oksfordu, Cambridge i Yale (na czele grupy stoi laureatka Pokojowej Nagrody Nobla i aktywistka na rzecz wolności słowa Maria Ressa) ostrzegła, że roje agentów AI (sztucznej inteligencji) naśladujących ludzi, mogą zmienić opinię publiczną w sposób zagrażający demokracji. Artykuł opublikowany w prestiżowym „Science” pokazuje przykłady, jak to działa. Roje botów zalewają media społecznościowe tonami nieprawdziwych treści, bierze udział w dyskusjach, a nawet cytuje nieprawdziwe artykuły. - To po prostu przerażające, jak łatwo jest stworzyć kod i mieć małą armię botów, które potrafią poruszać się po platformach społecznościowych i korzystać z poczty elektronicznej oraz używać tych narzędzi – mówi Daniel Thilo Schroeder, naukowiec z instytutu badawczego Sintef w Oslo, który symulował roje w warunkach laboratoryjnych.

Bajka dla grzecznych dzieci? A gdzie, tam! To nasza codzienność. Niedawno agencja badawcza Smartscope, na zlecenie stowarzyszenia Praktyków Transformacji Cyfrowej Praktycy.eu przeprowadziła badania, z których wynika, że aż 45 procent respondentów przyznaje, że widzi nieprawdziwe treści w serwisach, takich jak Facebook, Instagram czy TikTok, z czego co piąty – stale. Ale większość badanych przyznaje, że bardzo często nie jest w stanie odróżnić fałszu od prawdy.

W tej sytuacji wizja jakiejś Rady Pokoju i jakiegoś „króla wszechświata” jest znacznie mniej niepokojąca, niż wizja wyborów np. w jakimś kraju średniej wielkości w centrum Europy, przed którymi roje botów zewnętrznych (Rosja) i wewnętrznych prowadziłyby kampanie oparte na kłamstwie i dezinformacji.

Adam Bula

GORĄCZKA ZŁOTA ZMIATA PORZĄDEK ŚWIATA



Nadchodzi moment, gdy świat zmusi nas, byśmy się przestali zajmować dupelami w stylu kłótni pogrobowców Hołowni albo kwestii, kto pójdzie, a kto nie do prezydenta. Trwa największa w historii gorączka złota, która na naszych oczach zmienia światowy porządek. Na naszych oczach, choć uparcie na to nie patrzymy.

Złoto drożeje od kilkunastu miesięcy, w styczniu robiąc już pionową kreskę na wykresach. Nie ma sensu podawać jego aktualnej ceny, bo z dnia na dzień rośnie ona o kilka procent. To są szalone liczby i szalone rzeczy dzieją się w świecie finansów – a ten zawsze wyprzedza to, co zobaczymy w realnej gospodarce. I wtedy na pewno tego nie przeoczymy.

Technicznie to, że za uncję złota płacimy ponad 5500 dolarów, a dwa lata temu kosztowała ona 2 tys., tłumaczy się tym, że banki centralne pozbywają się obligacji, zwłaszcza amerykańskich i lokują je w kruszcu (bo srebro odpaliło podobnie, drożąc w rok z ok. 30 dolarów za uncję do poziomu 117 dolarów). Z amerykańskich obligacji odpłynęło już pół biliona dolarów wycofywanych tylko przez inne kraje – i to ta kasa poszła w złoto i srebro. A to było jeszcze, zanim Trump wywołał awanturę o Grenlandię, na co kraje Europy zagroziły, że wyjdą z amerykańskich obligacji „po całości”. Bo Ameryka, której gigantyczne zadłużenie (35 bilionów dolarów) finansowane jest przez resztę świata, dokłada od roku przecież sporo, żeby ich papiery przestały być uważane za bezpieczną lokatę. Więc równoległe z drożącym złotem widzimy osłabienie dolara do wszystkich innych walut, zwłaszcza do euro. Ale i w Polsce za 1 \$ już tylko 3,5 PLN.

Takie rzeczy działy się na światowych rynkach od zawsze, ale niemal nigdy w tak gigantycznej skali, która może oznaczać realną zmianę paradygmatu. Mówiąc po ludzku: musimy przypomnieć sobie, co to jest pieniądz fiducyjny i zrozumieć, że właśnie nie bardzo wiadomo, co z nim będzie dalej.

No dobra, nie będę udawał mądrzejszego, mając wujka Googla pod palcem; pieniądz fiducyjny to środek płatniczy, nieposiadający pokrycia w do-

brach materialnych (np. złoto). Era pieniądza mającego jakieś pokrycie w czymkolwiek namacalnym skończyła się w 1971 r., gdy Nixon uwolnił dolara z parytetu złota (pokrycia przynajmniej części jego wartości w realnie posiadanych sztabkach). Dzisiaj 100 złotych to paperek trochę ładniejszy od opakowania batonów, którego wartość opiera się na umowie, że on jest wart 100 zł. Dolar ma tak samo. I dopóki wierzymy prezesowi naszego banku centralnego, że on też będzie uważał jutro, że ten paperek jest wart 100 złotych, to system się kręci.

Wiele wskazuje na to, że świat przestaje wierzyć Amerykanom, że ich 100 dolarów będzie za chwilę dalej warte 100 dolarów, więc się go pozbywa. I dlatego dziś 100 dolarów jest warte o 13% mniej niż rok temu (o tyle dolar potaniał wobec innych głównych walut). Co... tym bardziej zachęca wszystkich do jego sprzedaży, co... osłabia dolara jeszcze bardziej, jeszcze bardziej nakręcając popyt na realny kruszec. Tylko że skala tego zjawiska właśnie przebija sufit.

Na razie Donald Trump oficjalnie ze słabego dolara się cieszy, bo na krótką metę mu to pasuje. Zwłaszcza na amerykańskiej giełdzie, która w jego propagandzie jest głównym odniesieniem, czy coś idzie dobrze czy źle. A główny indeks S&P500 (500 największych firm notowanych na giełdzie USA) pobija rekordy, pokonując barierę 7 tys. punktów. Tyle że jeśli nałożyć na to zmianę wartości dolara, to indeks będzie... tysiąc punktów niżej. No ale tego nie usłyszysz ichniejszy Kowalski.

Aha, a jeszcze nie dodaliśmy najważniejszego. Świat opiera się na kolorowych papierkach, co do których umawiamy się, ile są warte. Ale to było dawno. Bankierzy wymyślili, że na każdy taki paperek, który mają w skarbcu, mogą w księgach dodać sobie 30 papierków, których nie mają, ale które nam pożyczą na procent. Dziś sumę tych „pieniędzy”, które są tylko dłużnym zapisem i nie mają pokrycia nawet w papierze, szacuje się na 500 bilionów dolarów.

Chodzi o to, że wielki kryzys z 2008 r. zaczął się od małego wycinka tego wirtualnego szaleństwa. Amerykańskie banki produkowały papiery „wartościowe”, mające mieć pokrycie w wartości amerykańskich nieruchomości, tylko tyle ich nie produkowały, że to pokrycie całkowicie zniknęło (polecam genialny film „Big short”).

Dzisiaj wiele wskazuje na to, że nadchodzi kolejny wielki reset, tym razem dotyczący całego systemu światowych finansów. W każdym razie wszyscy, którzy wiedzą więcej, jak szaleni kupują złoto.

Sytuacja jest - nie tylko wokół Polski, ale w wymiarze globalnym - bardzo dynamiczna i ta niepewność strategiczna, która towarzyszy nam od wielu, wielu miesięcy, wywołana wojną w Ukrainie, (...) także innymi dramatycznymi zdarzeniami, wymaga bardzo poważnej geopolitycznej refleksji i bardzo adekwatnego myślenia o polskiej dyplomacji

FOTOkomentarz tygodnia



MINNEAPOLIS, 28 STYCZNIA

Legendarny muzyk Bruce Springsteen opublikował piosenkę, którą napisał na znak protestu przeciwko operacji służb imigracyjnych w Minneapolis, pod tytułem „Streets of Minneapolis”. 76-letni artysta śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa” i kłamstwach władz. „Wypuszczam ją dla was dzisiaj w odpowiedzi na państwowy terror, który dotknął miasta Minneapolis” - napisał. W sobotę z rąk agentów federalnych zginął w Minneapolis 37-letni pielęgniarz Alex Pretti. Wcześniej w styczniu zabita została przez agenta służb migracyjnych (ICE) Amerykanka Renee Good.

FOT. PAP/EPA.



AUSTRALIA, 28 STYCZNIA **Australian Open już bez Igi Świątek. Polka przegrała z Jeleną Rybakiną. Nasza tenisistka była wyraźnie sfrustrowana porażką. Na konferencji prasowej narzekła, że podczas turnieju, podobnie jak inne zawodniczki, nie ma praktycznie żadnej prywatności**

FOT. HU JINGCHEN/XINHUA NEWS/EAST NEWS



FOT. CIVILPROTECTIONMALTA

MALTA, CIRKEWWA, 28 STYCZNIA **Ratownicy znaleźli w środe ciała 13-letniej Polki, porwanej przez morze, gdy była na spacerze z ojcem i bratem. Ojciec uratował syna, córki nie zdołał wyciągnąć**



FOT. PAP/EPA.

SYCYLIA, NISCEMI 26 STYCZNIA **Cyklon Harry, który pustoszył Sycylię i Kalabrię miał poważne skutki. W Niscemi osunęła się ziemia, mieszkańcy zostali ewakuowani, bo budynki mogą runąć**

Najpierw był Bytom, potem Sobolewo, teraz Ostrowite (gmina Gołub-Dobrzyń). Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Bytomiu sprawuje opiekę nad stu pięćdziesięcioma psami i setką kotów. Jest prywatne, wcześniej przez lata działało jako placówka publiczna.

Kilka dni temu pod schroniskiem pojawiła się Dorota Rabczewska, wcześniej do Bytomia zjechała celebrytka Laluna, znana chociażby z programu „Królowe życia”. Wtedy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wolontariusze chcieli wtargnąć do placówki siłą i zabrać zwierzęta. Wezwano policję.

Doda też podgrzewała atmosferę. - Moi fani to również mieszkańcy Bytomia. Zawsze pomagam swoim fanom, bo oni też mi pomagają. Zwierzęta są dla mnie numer jeden. Pani Ania, która jest kierowniczką, nie ma ani pół emocji na twarzy - mówiła.

Dalej było o tym, że mieszkańcy miasta muszą zareagować, że taka osoba nie może prowadzić schroniska. - To powinno być miejsce, w którym zwierzęta nie wegetują, nie cierpią, nie są narzędziem do interesów, tylko gdzie mogą znaleźć ukojenie i adopcję. A ja wysyłam ciuuchy tydzień temu, a ona ich jeszcze nie ubrała. Teraz na szybko je ubiera - tłumaczyła Rabczewska.

Wcześniej spotkała się z prezydentem Mariuszem Wołoszem oraz wspomnianą już wcześniej kierowniczką schroniska. Wołosz zapewnił, że umowa z operatorem została rozwiązana 15 stycznia, że teraz najważniejsze jest to, aby zaopiekować się zwierzętami.

W międzyczasie Doda pokazywała na zdjęciach psiaki: zaniedbane, chude, pokaleczone. Miały pochodzić z bytomskiego schroniska.

- Proszę się rzec stanowiska. Jesteś okropna, w piekle spłoniesz. Mi się chce płakać - mówiła piosenkarka w kierunku kierowniczkę schroniska.

Ta zdecydowanie odpięła zarzut. Podkreślała, że takich psów nigdy u niej nie było.

- Mam na wszystko dokumenty. Spotkamy się w sądzie - rzuciła w stronę Dody.

I dodała, że od kontroli i wydawania ocen są odpowiednie instytucje.

Ale według raportu, który przygotowało dwoje bytomskich radnych - Beata Adamczyk-Nowak z Koalicji Obywatelskiej i Maciej Bartków z Prawa i Sprawiedliwości - w bytomskim schronisku dochodziło do nieprawidłowości.

- Pojawiły się informacje o eutanazji zwierząt w celach zarobkowych, przemocy i zaniedbaniach w opiece. Zwierzętazymane były we własnych odchodach - twierdzi Maciej Bartków. Z notatki, którą pod koniec grudnia podczas wizyty w schro-

PRAWDZIWY HORROR? A MOŻE SMUTNA SCHRONISKOWA RZECZYWISTOŚĆ?

Schroniska dla zwierząt to miejsca, w którym jedni zostawiają serce i czas. Dbają, doglądają i tak po ludzki przytulają. Dla innych to sposób na zarabianie pieniędzy. Umożliwia im to system, bo ten preferuje oszczędzanie, a na zwierzętach oszczędzać się nie da. Trzeba im zapewnić kojce, jedzenie, pomoc weterynaryjną, po prostu - godne życie

Dorota Kowalska

nisku sporządzili pracownicy Wydziału Inżynierii Środowiska Urzędu Miejskiego w Bytomiu, wynika, że zaobserwowali przypadki biegunki u psów w wielu kojcach, skrajnie niezadowalający stan sanitarny kwarantanny, rażący brak czystości w szczeniakarni, widoczne urazy u zwierząt.

Ale Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach poinformował, że przeprowadzane w ostatnich latach kontrole wykazywały jedynie uchybienia infrastrukturalne.

„Warunki bytowania zwierząt są zgodne z obowiązującym prawem. To nie ulega żadnej wątpliwości. Niezgodne z naszymi ustaleniami są stwierdzenia, które pojawiają się w mediach społecznościowych, że była to mordownia, że dochodziło do znęcania się nad zwierzętami, że psy stamtąd znikają itd. Liczne kontrole nigdy tego nie wykazały” - podkreślił Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach.

Właściciel z zarzutami

Kilka dni później przyszedł czas na Sobolewo. W sobotę, 26 stycznia, o zamknięciu Schroniska dla Zwierząt „Happy Dog” poinformowali premier Donald Tusk i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Powód? Nieusunięcie uchybień przez właściciela placówki. W azylu przebywało wówczas około sto osiemdziesiąt psów i kilka kotów.

Grunty, na którym znajduje się schronisko, należy do gminy. Dzierżawca, czyli prowadzący placówkę Marian D., został jakiś czas temu oskarżony o znęcanie



się nad zwierzętami. Proces trwa wiele lat i wciąż się nie zakończył. Mężczyźnie zarzuca się m.in. stosowanie przemocy wobec zwierząt, trzymanie ich w za ciasnych kojcach oraz niedokarmianie.

Mieszkańcy i aktywiści od dawna apelowali do wójta Sobolewa Macieja Błachnio o rozwiązanie umowy z Marianem D. Bezskutecznie.

W sobotę sforsowali płot i zaczęli spontanicznie zabierać psy. Część z nich trafiła do prywatnych domów. W sieci pojawiły się pytania, dlaczego zwierzęta były wydawane bez żadnych procedur. Niektórzy obawiali się, że trafiły w ręce osób, które nie będą umiały poradzić sobie z czworonogami.

I tu do akcji wkroczył poseł Łukasz Litewka, od początku zaangażowany w to, co działo się wokół schroniska w Sobolewie.

„Nikt nie był w stanie zapanować nad tłumem, ale to tłum ludzi, którzy kochają zwierzęta. One przeszły piekło, nigdzie nie będzie im gorzej. Weszliśmy do obozu i zobaczyliśmy maszynkę do mielenia mięsa, pałki do bicia zwierząt, na których była krew. Guzy, rany, ropy. Ludzie wchodziłi do klatek, przytulali psy, błagali o smycz - wynosili je, bo nie wyobrażali sobie, by te zwierzęta zostały tam jeszcze nawet jedną noc” - napisał na platformie X. „Nie wińcie ich, winicie tych, którzy przez lata nie otworzyli drzwi schroniska. Bo to miejsce nigdy schroniskiem nie było, było mordownią” - dodał, publikując przy okazji zdjęcie jednej z kobiet, która błagała go o smycz, by móc wyprowadzić z klatki przerażonego psa.

Jak poinformował potem wojewoda mazowiecki Mariusz Frankowski, sto czterdzieści sześć psów, które zostały, przekazano do schroniska w Wołtyszkach prowadzonego przez Instytut Ochrony Zwierząt.

A miejsc, które budzą wątpliwości, przybywa. Bo podobne sceny miały miejsce w ostatni weekend w prywatnym schronisku Zielone Pole w Ostrowitem (gmina Gołub-Dobrzyń). W wyniku kontroli zleconych przez MSWiA stwierdzono tu uchybienia. Obiekt znalazł się pod szczególnym nadzorem wojewody, na miejsce przyjechali wolontariusze oraz celebryci, w tym Doda.

Na reakcję polityków nie trzeba było długo czekać. Tym bardziej że wszystko dzieje się w środku zimy, wyjątkowo mroźnej i śnieżnej. I tak, kilka dni po medialnym szumie wokół zwierzaków, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji zwróciło się do wojewódów o przekazanie informacji na temat liczby schronisk w ich regionach.

Podsekretarz stanu w MSWiA Wiesław Leśniakiewicz zaapelował też o zwrócenie uwagi podczas kontaktu z właścicielami schronisk na potrzebę odpowiedniego zabezpieczenia zwierząt.

Trochę faktów

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt. W 2022 roku przebywało w nich ponad 84 tysiące psów i 34 tys. kotów.

W Aleksandrowie Łódzkim radzą sobie ze zwierzakami świetnie: każdy psiak w ich gminie musi zostać zaszczepiony, to obowiązek. Bo bez identyfikacji nie ma odpowiedzialności. Dopóki pies jest niczyj, można go porzucić bez żadnych konsekwencji. Od lat bezpłatnie sterylizują i kastrują zwierzęta. Rozmawiają z ludźmi, tłumacząc, dlaczego to się opłaca.

- Rocznie korzysta z tej możliwości wielu właścicieli psów i kotów, w każdym razie około sześciuset zwierząt w ciągu roku jest sterylizowanych i kastrowanych. Jak na gminę z 35 tysiącami mieszkańców to całkiem dobry wynik - mówi Katarzyna Rezler, działaczka prozwierzęca, pedomocnik burmistrza Aleksandrowa Łódzkiego ds. zwierząt i realizacji programu przeciwdziałania bezdomności. A tak na marginesie, mają bardzo mało bezdomnych zwierząt w swojej gminie.

Tak, oczywiście słyszała o schroniskach w Bytomiu i Sobolewie. Jak takim sytuacjom przeciwdziałać?

- Przede wszystkim trzeba określić minimalną stawkę dzienną, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota. To mogłoby być na przykład 12 złotych plus koszty weterynaryjne, które oczywiście pokrywa gmina jako właściciel zwierzę-

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt

FOT. MARGARZATA GENCA

cia. Zwierzę powinno być czipowane przy przyjęciu do schroniska, a jego wizerunek publikowany. Każde schronisko powinno prowadzić rejestr zwierząt, które do niego trafiły w ciągu na przykład ostatniego miesiąca. Wtedy właścicielom łatwiej byłoby znaleźć swojego psa, co dzisiaj wcale nie jest takie proste – tłumaczy Katarzyna Rezler.

Bo problem jest systemowy. Bytom czy Sobolowo nie są wyjątkami – zwierzęta cierpią także w innych schroniskach. Chodzą oczywiście o pieniądze.

– Gmina ma ustawowy obowiązek opieki nad bezdomnymi zwierzętami, ale bardzo często ogranicza swoją rolę do zlecenia tego zadania w drodze przetargu. W praktyce wygrywa najtańsza oferta, a kryterium ceny dominuje nad jakością opieki, zapleczem weterynaryjnym czy doświadczeniem kadry – wyjaśnia Katarzyna Rezler.

Wiadomo – system premiuje oszczędzanie, a nie dobro zwierząt. I nie jest to często winną konkretnych ludzi, ale obowiązującego modelu. Gmina znajduje schronisko, które oferuje najlepszą dla niej ofertę, czyli najtańszą.

– Widzimy stawki rzędu 8, 10 czy 15 zł dziennie za psa, często z deklaracją, że obejmują również opiekę weterynaryjną. To są stawki całkowicie nierynkowe. Za takie pieniądze nie da się zapewnić diagnostyki, leczenia, dobrej karmy, ogrzewania czy pracy ludzi. Leczenie bywa wtedy symboliczne albo odkładane w czasie – opowiada Katarzyna Rezler.

Ale bywa jeszcze gorzej. Zdarza się, że gmina płaci jednorazowo 1200, 2000 czy 2500 zł za konkretnego zwierzę. W tej kwocie ma się zmieścić dożywotnia opieka nad zwierzęciem: wyżywienie, leczenie, praca opiekunów, utrzymanie infrastruktury. Ci, którzy mają zwierzęta, doskonale wiedzą, że to niewykonalne, nie da się za takie pieniądze utrzymać zwierzę. Więc dobrze, gdy zwierzę żyje krótko albo najzwyczajniej w świecie znika.

Kontrolę schronisk problemu nie rozwiązują.

– Bardzo często są zapowiadane i koncentrują się na infrastrukturze i dokumentach. Sprawdza się zgodność papierów, a nie to, czy pies jest faktycznie leczony, czy eutanazja była zasadna, czy dokumentacja jest kompletna. Papier przyjmie wszystko, zwierzę głosu nie ma – tłumaczy Katarzyna Rezler.

I dodaje, że kiedy w schroniskach dzieje się źle, odpowiedzialność za nieprawidłowości powinny ponosić schronisko i gmina. Schronisko jest niejako wykonawcą zlecenia, ale gmina opiekunem prawnym zwierzęcia. Jeżeli wie, a powinna wiedzieć, że w schronisku dzieje się źle i nic z tym nie robi, ponosi



Pikieta przed schroniskiem w Sobolewie. To jeden z przypadków, gdy piekło zwierząt nagłośniła Doda

współodpowiedzialność za taki stan rzeczy.

Psów i kotów jest za dużo

Niby coraz bardziej rozumiemy zwierzęta. Większość Polaków wierzy, że te odczuwają ból tak jak ludzie. Stajemy się też coraz bardziej wrażliwi na krzywdę wyrządzaną psom i coraz chętniej im pomagamy. Ponad 36 procent badanych, którzy wzięli udział w ankiecie „Jak Polacy traktują zwierzęta?”, przeprowadzonej w 2019 roku, zadeklarowało, że gdy widzi psa przywiązanego do łańcucha, próbuje rozmawiać z jego właścicielem. Niemal tyle samo osób – blisko 35 procent – powiedziałam lokalną organizację pomocową o blakającym się po ulicy czworonogu. Aż 87 procent ankietowanych na pytanie „Czy pomagasz zwierzętom?” odpowiedziało twierdząco, a 10 procent zadeklarowało, że jest wolontariuszem w schronisku dla zwierząt.

To deklaracje. Wszyscy kochają zwierzęta w internecie. Rzeczywistość jest jednak zupełnie inna.

– Prawda jest taka, że traktujemy zwierzęta gorzej niż rzeczy. Zwierzę można kupić, sprzedać, oddać, zostawić w spadku, zabić, zjeść. Wszystko można ze zwierzęciem zrobić. Gdyby zwierzęta mówiły, byłoby to tyle dobrze, że usłyszeliśmy prawdę, że my tej prawdy nie przyjmujemy, my jej nie akceptujemy. Uważam, że jesteśmy hipokrytami do potęgi, a one nie są – mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt.

I pyta, dlaczego walczyliśmy o zdjęcie łańcuchów z psich szyi. Te psy mają przecież przeprowadzacz obowiązkowo. Dlaczego? – Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt – im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy poubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała reszta instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze – odpowiada.

– Uważam, że trzy czwarte ludzi, jeśli nie więcej, którzy mają zwierzęta, nie powinni ich mieć. W Polsce, niestety, jest za dużo zwierząt. Stąd wynika cały szereg problemów, dotyczących między innymi również psów i kotów, bo ciągle mamy jakieś debaty: łańcuchowe, nie łańcuchowe. Tego by nie było, gdyby zwierząt było mniej. Wtedy mieliby te zwierzęta ci, którzy powinni je mieć. I to nie chodzi o to, żeby ktoś robił łaskę, zabierając zwierzę ze schroniska, tylko chodzi o to, żeby to był swego rodzaju zaszczyt, że można mieć psa – uważa Dorota Sumińska.

Schronisk wciąż przybywa, bezdomność wśród zwierząt rośnie. Mamy coraz więcej psów i kotów, których nikt nie chce.

– Trzeba radykalnie zmniejszyć populację zwierząt. Jest to możliwe wyłącznie przez obowiązkową kastrację psów i kotów nieprzeznaczonych do reprodukcji. Dopóki się tego nie zrobi, dopóty będzie coraz gorzej, bo zwierząt będzie coraz więcej – ocenia Sumińska.

I tłumaczy, że Fundacja Karuna stworzyła program „Ka-

strujemy bezdomność”. Niestety, nie ma woli politycznej, żeby taką kastrację przeprowadzić obowiązkowo. Dlaczego?

– Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt – im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy poubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała reszta instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze – odpowiada.

Więc obowiązkowa kastracja i sterylizacja, czipowanie zwierząt, minimalna stawka dzienna, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota, publikowanie wizerunków zwierzątek, które trafiają do schronisk, wreszcie rzetelne kontrole tych placówek – to pierwszy krok do tego, aby porzuconym zwierzętom żyło się choć trochę lepiej.

Najważniejszy jest człowiek

Schronisko w Korabiewicach, gmina Puszczka Mariańska, godzinę drogi od Warszawy. Zwierząt mają tu teraz około trzysta pięćdziesiąt, w tym około sto dziewięćdziesiąt piesków, trzydzieści trzy koci. Mają dwadzieścia sześć koni, prawie trzydzieści kóz, krowy, świnię, drób. Schronisko należy do Fundacji Międzynarodowy Ruch na rzecz Zwierząt Viva.

– Fundacja Viva przejęła je w 2012 roku. Wcześniej schroni-

sko było w opłakanym stanie, działało tu potworne rzeczy: znęcano się nad zwierzętami, nie karmiono ich, nie wydawano do adopcji, nie było żadnej opieki weterynaryjnej. Zwierzęta przechodziły gehennę. Nam udało się do schronisko wykupić i od 2012 roku prowadzimy je najlepiej jak potrafimy – mówi Karolina Wiewiórkowska, kierowniczka placówki.

Podpisali umowy z kilkoma gminami. Ale pieniądze, które dostają od gmin, mają pokrywać wyłącznie koszty odłowienia i przetrzymywania zwierzęcia w schronisku. To nie są duże kwoty. Tak naprawdę często dokładają do utrzymania, a przede wszystkim do opieki weterynaryjnej, więc nawet tu, jak tłumaczy, nie wychodzą na zero.

– Pomagają nam przede wszystkim darczyńcy, którzy są z nami od wielu, wielu lat. Chętnie reagują na nasze apele, wspierają w kryzysowych sytuacjach, ale też w codziennym utrzymaniu schroniska – opowiada Wiewiórkowska.

Sami też nie siedzą z założonymi rękami. Organizują dni otwarte, przeróżne imprezy i tak najbliższa odbędzie się 8 lutego – 14. urodziny schroniska, 9 kwietnia – trzecia edycja gry terenowej (to trochę taki bieg przełajowy z miejscami, w których odpowiada się na pytania, wykonuje wyznaczone zadania). Wygrywa ta ekipa, która zdobędzie najwięcej punktów. Fajna rodzinna zabawa. Można przyjechać na cały dzień i się nie nudzić. 7 czerwca będzie Dzień Dziecka – stawiają wtedy na najmłodszych, przygotowują dla nich mnóstwo atrakcji.

– Potem we wrześniu mamy „Jesień życia w schronisku”. Wtedy skupiamy się na starszych pieskach, pokazujemy je gościom, a 18 października czwartą edycję „Biegu po karmę”. To ogromna impreza, bierze w niej udział coraz więcej biegaczy. I na koniec, w grudniu, robimy kiermasz świąteczny – można na nim zjeść bigos, kupić jakieś drobiazgi – tłumaczy.

Podczas każdej imprezy oprowadzają gości po schronisku, przedstawiają im zwierzęta, opowiadają o nich i o tym, jak funkcjonują.

– Jeżeli chociaż jedna osoba zakocha się w jakimś psiaku i będzie chciała wziąć go do domu, to dla nas wielka radość – mówi Wiewiórkowska. To się zresztą często zdarza, a przy okazji zbierają datki na schronisko, edukują, tłumaczą, jak dbać o zwierzęta, jak zapobiegać bezdomności. U nich każdy pies ma imię, każdego znają od pyska po ogon. Psy są porządnie przebadane, zaopiekowane.

– Najważniejszy jest zespół, bez niego nie ma dobrego schroniska – tłumaczy Karolina Wiewiórkowska. – Na umowach o pracę bądź na umowach zlecenie pracuje u nas ponad dwadzieścia osób. To fenomenalni, empatyczni, oddani zwierzętom ludzie, żadne przypadkowe osoby. Chcą tutaj być i wiedzą, po co tutaj są. Schronisko to smutne miejsce, prawda? Więc oni chcą nieść tym zwierzętom jak najlepszą opiekę, uczynić ich życie lepszym – dodaje.

Pomagają im wolontariusze: prawie dwieście osób. Przyjeżdżają bardzo regularnie: wyprowadzają psy, a przede wszystkim promują zwierzęta do adopcji. Wykonują kawał dobrej roboty, na którą oni, pracownicy, nie mają czasu. Wszyscy tworzą zgrany team, wszyscy kochają zwierzęta.

I tak na koniec

Szum wokół schronisk ma swoje dobre i złe strony. Zwraca uwagę na problem, ale i przeszkadza.

– Emocje są zrozumiałe, ale hejt, próby samosądu często szkodzi zwierzętom. Paraliżują adopcje, zamykają schroniska na wolontariuszy, tworzą chaos. Potrzebujemy kontroli obywatelskiej opartej na wiedzy i dokumentach – mówi Katarzyna Rezler.

Tak naprawdę najważniejszy jest człowiek. Na zmiany systemowe przyjdzie nam pewnie jeszcze poczekać, jeśli w ogóle do nich dojdzie. Więc, póki co, dobrze by było, aby zwierzętami w schroniskach zajmowali się tylko ci, którzy naprawdę tego chcą, rozumieją, że pies czy kot to żywa istota, która odczuwa ból, strach, smutek, potrafi się cieszyć, przywiązać, na swój psi czy koci sposób kochać. I jest całkowicie od nas zależna.

PAP

Współpraca: Ireneusz Stajer

SZCZERA SPOWIEDŹ NORBIEGO: WYGRAŁEM ŻYCIE, ALE NAJPIERW PRZEGRAŁEM SIEBIE

– To nie do wiary, jak można kłamać: że matka w szpitalu, ojciec nie żyje, byle tylko pojechać grać. Hazard bazuje na oszustwie. Na kłamstwie. Na niestworzonych historiach – mówi Norbi, wokalista i prezenter telewizyjny, który historię swojego uzależnienia właśnie opisał w książce

Anita Czapryn

Kiedy ludzie słyszą „Norbi”, od razu odpowiadają: „Kobiety są gorące. Aha, aha”. Jak dziś patrzysz na to, że cały kraj śpiewał Twój refren? Śpiewa do tej pory! Wciąż gramy koncerty, i to sporo. W ubiegłym roku zagraliśmy ich 80. Kiedyś było powyżej 100, ale te 80 koncertów to też jest świetny wynik. Dziś na moje koncerty przychodzą 18-19-letnie dzieciaki i śpiewają te stare kawałki, bo pewnie mamusia z tatą mówili im: „Słuchaj, w latach 90. to był bardzo popularny kolesz”. Od dwóch czy trzech sezonów obserwujemy taką tendencję, że ten target się powiększył. Nie dość, że przychodzą nasi ludzie, 35 i 40 plus, to również młodzi. Ciekawe zjawisko.

Tylko że wtedy, w latach 90., gdy cały kraj śpiewał, że „kobiety są gorące”, to Twoje prywatne życie zaczynało się sypać. Co wtedy czułeś? Nic nie czułem. Zagłuszały mnie alkohol, imprezy, bardzo duża liczba występów i cały ten show-biznes. Żyłem w swojej bańce. Bardzo późno wyciągnąłem wnioski.

Dziś wracasz z książką „Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie”. To Twoja spowiedź, bez filtra. Rzeczywiście jest tak, że aby wygrać własne życie, trzeba coś przegrać? Zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę? Tak uważam, bo tak było w moim przypadku. Chociaż pewnie są ludzie, którzy przegrywają, podnoszą się, znowu upadają. U mnie było tak, że uderzenie o głębię nie było ostateczne. Nawet jak przegrywałem w kasynie

duże pieniądze, to one po chwili wracały; cały czas też dzwonił telefon, cały czas miałem kontrakty; grałem koncerty, zapraszali mnie na eventy i diabli wiedzą, co jeszcze. To jest jeszcze gorsza sytuacja niż naprawdę upaść raz, a kompletnie, leżąc i kwiczeć. Bo tu niby leżysz, niby jest „ojej, ojej”, a po miesiącu znowu jest super. Na terapii, na którą chodziłem później przez dwa lata, usłyszałem: „U ciebie to właśnie było najgorsze, że zawsze był dopływ gotówki”. Dopływ gotówki jest cały czas. A ja poruszałem się jak ten chomiczek w kołowrotku. Albo jak ten Syzyf szedłem pod tę górę, spadałem i znowu się wspinałem.

Jak pamiętasz ten moment, w którym powiedziałeś sobie: „Koniec z hazardem”? Opisałem to w książce. Moja żona Marzenka zobaczyła, że z naszego konta zniknęło 100 tysięcy złotych. Akurat wróciłem z koncertu. Zapytała: „Stary, gdzie jest 100 tysięcy? Sto koła nagle wyparowało?!” To była konkretna rozmowa. Teraz mówię o tym spokojnie, bez żadnych emocji, ale w tamtym momencie działo się jak na wojennym filmie, jakbym stanął przed plutonem egzekucyjnym. Żarty się skończyły. Marzenka powiedziała: „Zapraszam na terapię”. „No, dobrze” – odpowiedziałem. Ale jej to nie wystarczyło. „Ale co dobrze? Masz telefon, szukaj, dzwoń, umawiaj się”. Zabrała wszystkie moje dokumenty. Poblokowała konta. Nie poszedłem na prywatną terapię, tylko najpierw musiałem stanąć w kolejce z innymi

do psychiatry i powiedzieć, co jest grane. Dopiero wtedy skierował mnie na terapię, Marzenkę również, bo była współuzależniona. I tak przez dwa lata śmigałem. Ludzie, widząc mnie w ogólnej przychodni dla uzależnionych, bo nie jest wydzielone, czy to dla alkoholików, narkomanów, seksoholików czy hazardzistów, śmiali się: „Norbas jest alkoholikiem”. Bo ludziom taka przychodnia kojarzyła się głównie z tym problemem, który w Polsce zdarza się najczęściej.

Zakaz grania, odcięcie od pieniędzy – jak to wtedy odbierałeś? Jako drogę do wolności czy przeciwnie, że nałożono Ci kajdany? Po pierwsze zdecydowałem, że to jest moja pokuta za te wszystkie lata. Po drugie, ucieszyłem się, że nie mam żadnych pieniędzy. Nareszcie. Poczułem się wolnym człowiekiem.

Od tamtej pory Twoja noga w kasynie już nie powstała? Nie. W ogóle nie ma takiej możliwości. Minęło już parę ładnych lat. Odbudowałem się i dziś wszystko pięknie się toczy, wspaniale mi się układa.

Ile pieniędzy przepuściłeś w kasynie?

UMIAŁEM GRAĆ NA SKRZYPCACH, BYŁEM NAWET NIEZŁY, JAK MÓWIONO, ALE NA SCENIE CZUŁEM SIĘ TAK, JAKBY MI KTOŚ WSADZIŁ DO ŚRODKA KOŁEK

Nie da się tego do końca precyzyjnie obliczyć. Przyjmuję, że rocznie w kasynie wygrywałem 500 tysięcy złotych. Następnie, w trakcie tego samego roku, przegrywałem to, co wygrałem, i dorzucałem jeszcze swoje 500 tysięcy. Obrót roczny wynosił więc półtora miliona, a przegrana to 500 tysięcy rocznie. No to policz. Jeśli tak na dobre zacząłem grać na początku lat 2000, z różnymi przerwami, a przestałem gdzieś w 2017, to przez te kilkanaście lat poszło parę ładnych milionów.

Siedem milionów złotych. Daleko mi do Michała Wiśniewskiego, który twierdzi, że w kasynie przegrał 40 milionów. Ale dziś to nieważne. Już nie ma znaczenia, czy miałem milion, czy 100 tysięcy, czy 10 tysięcy. Jeżeli w tym się jest, a miałem i takie momenty, że wygrywałem co miesiąc przez pół roku. Co poszedłem do kasyna, to wygrałem. W mojej chorej wtedy głowie pojawiły się wtedy takie myśli: „Po co mi te koncerty, te eventy, ten show-biznes? Przecież ja będę żył z hazardu”. Po czym mijало parę miesięcy, wygrywałem 500 tysięcy złotych, a za trzy, cztery dni przegrywałem wszystko i jeszcze dokładałem swoje. Tak to działało.

Show-biznes w tamtym czasie sprzedawał chodzenie do kasyna jako coś eleganckiego. Traktowałeś to jak do-palacz, styl życia? Pierwszy raz poszedłem do kasyna w 1999 roku. Kręciliśmy wtedy program w Gdańsku, dla telewizji. Ale ten mój złoty wiek kasynowy – jak to brzmi, swoją drogą – to są lata 2000. Wtedy już do kasyna chodzili różni ludzie, też nie bardzo bogaci, i uwierz mi, chodzili i zupełni biedacy. Tylko że w moim przypadku była jeszcze trzecia strona tego medalu: jak przegrywaś w kasynie, to musisz cały czas pracować. Musisz dawać te koncerty, musisz o to zabiegać. Oczywiście, telefony wciąż dzwoniły, ale to był taki czas, że grałem wszędzie i za każdą stawkę, bo cały czas potrzebowałem dopływu gotówki, potrzebowałem hajsu. To było błędne koło.

W książce pojawia się zdanie, że grałeś w kasynie „żeby nie bolało”. Co Cię miało nie boleć: dzieciństwo, samotność, lęki, poczucie, że jesteś niewystarczający?

To jest tak: masz tych koncertów mnóstwo, więc wygląda na to, że ludzie cię lubią, chcą cię słuchać. Ale jest też grupa ludzi, która cię nie lubi, pokazuje ci fucka. Czyli z tej swojej bańki nagle wychodzisz gdzieś w Polsce i dowiadujesz się, że nie wszyscy cię kochają. Mnie to osobiście bardzo wtedy dotykało. Przecież jestem takim fajnym gościem, takim wesołym kolesiem.

Norbi, swój chłopak – mówili. Tak, właśnie. Ale jednak, jak widzisz, nie do końca. Hip-hopowcy mieli mnie za szmarciarza. Teraz patrzę na to z perspektywy czasu i to jest dość śmieszne, ale dwadzieścia parę lat temu zupełnie inaczej to wyglądało. Więc czułem się trochę jak alkoholik, który topi smutki w butelce. W kasynie nie tyle topiłem smutki, co kasyno było moją odskocznią. Oczywiście tam też podawali alkohol, więc chlało się na umór i jeszcze do tego grałem. I wszyscy mnie kochali. Każdy mnie akceptował, bo miałem pieniądze. Klepali mnie po plecach, kłaniali się w pas. Ale ja też byłem miły do krupierów. Nie było tak, że oto przychodzi Norbi, on ma hajs, to bądźcie dla niego mili. Sam też nie udawałem kogoś, kim nie byłem; potrafiłem rozśmieszyć towarzystwo, sprawić, że było wesoło. Nawet kiedy przegrywałem, to zawsze z klasą. Co za sformułowanie, swoją drogą, w takiej sytuacji.

W książce ujawniasz, że już w dzieciństwie pociągał Cię hazard. Skąd się u Ciebie wzięło ten gen hazardzisty?

W rodzinie takich klimatów nie było. Ani matka, ani ojciec, ani kuzyni, nikt nie był zamieszany w ten proceder; tylko ja, i to od małego. Grałem na monety z chłopakami, wszystkie oszczędności ze Szkolnej Kasy Oszczędności przewalałem w Krynicy Morskiej. W Olsztynie bywałem w salonach gier. Zawsze mnie to tego ciągnęło. Dlaczego? Diabli wiedzą.

Wygrana daje chwilową euforię, wyrzut hormonów szczęścia i to uzależnia. W Tobie wyzawało się poczucie, że jesteś szczęściarzem?

Kiedy wygrywałem, to, tak jak mówisz, była euforia, był ten substytut szczęścia, ale kiedy przegrywałem, to chciałem się odegrać. Ileż to razy obiecywałem sobie w trakcie tych lat, że idę ostatni raz, tylko się odegram. Minał miesiąc, dwa, czasami nawet przez pół roku nie zaglądałem do kasyna. Ale uzbierało się trochę grosza i... Jest takie ładne słowo: „delikatnie”. Używają go ci, co biorą narkotyki, i ci, co piją alkohol. Mówią: „Dziś delikatnie, tylko jednego drinka”, a kończą na 25 drinkach. Tak samo było tutaj: mówiłem sobie, że zagram delikatnie za 1000 złotych. Kończyło się na przegraniu 50 tysięcy czy 120 tysięcy.

7 milionów zostawić w kasynie to brzmi szokująco, ale też, jak mówią, pieniądze rzecz nabyta. Jaka jest prawdziwa zapłata za chodzenie do kasyna?

Prawdziwa zapłata jest straszna. Zaczniemy od zdrowia, bo to jest coś, co każdy ceni, choć, jak się okazuje, różnie z tym bywa. W moim wypadku była to nerwica. Nabawiłem się jej już wcześniej, na początku kariery. Trzy lata po moim wielkim sukcesie schudłam do 50 kg i nie wiedziałem, co jest grane. Neurolog w Olsztynie postawił diagnozę: nerwica wegetatywna somatyczna. Czyli kumulacja stresu z dzieciństwa, kiedy bardzo przeżywałem swoje występy ze skrzypcami i to, że pokazuję mnie palcami. Wyobraź sobie, siedłem przez olsztyńskie Zatorze ze skrzypcami, kryjąc się, bo to był obciach. No, ale mimo wszystko chciałem grać na tych skrzypcach. Tylko że to się wiązało z publicznymi występami, życiem na świeczniku i z tremą. Umialem grać na skrzypcach, byłem nawet niezły, jak mówiono, ale na scenie czułem się tak, jakby mi ktoś wsadził do środka kołek. Trema mnie kompletnie rozwalala. I to się kumulowało. Kiedy już zacząłem występować jako Norbi, miałem jedną pio-



Norbi: Kiedyś potrzebowałem dawać koncerty, żeby mieć pieniądze na hazard. Teraz moja adrenalina jest to, aby mieć zapelniony kalendarz koncertami i artystycznie być lepszym

senkę, która stała się hicio-rem, a musiałem zagrać godzinny koncert. Czasem bywało, że te „Kobiety są gorące” śpiewałem pięć razy. No, ale to były inne czasy. Odblokowałem się po drugiej czy trzeciej płycie, kiedy tych piosenek było już więcej. Natomiast to wszystko tak mnie sieknęło, że pojawiła się nerwica. Dostałem leki, po roku z 55 kg przybrałem do 85 kg i można powiedzieć, że było okej. Ale nigdy już nie było okej. Były nawroty, pojawiały się objawy takie jak przy padaczkę. Jadę samochodem i nagle skacze

pod sufit. Tych objawów jest zresztą cała masa: a to są lęki, a to skacze mi ciśnienie. Żeby była jasność, ja to wszystko mam do tej pory, mimo że nie gram w kasynie, że od 10 lat nie piję alkoholu. Najgorszemu wrogowi nie życzę tych stanów, których doświadczam. Na szczęście nie są tak silne jak kiedyś, pojawiają się głównie przy zmęczeniu. Wiesz, nadal jestem wesołym człowiekiem, optymistycznie patrzę na świat, uważam, że jestem pod szczęśliwą gwiazdą urodzony, a odkąd jestem w show-biznesie, nigdy nie

miałem kryzysu ekonomicznego w tym sensie, że cały czas miałem robotę, cały czas telefon dzwonił i cały czas coś się działo. A przy muzyce popowej rzadko się to zdarza, zwłaszcza że mnie pogrzebali już po pierwszej płycie, w pierwszym roku kariery. Tymczasem w tym roku minie 29 lat, od kiedy gramy non stop koncerty i to jest to, z czego żyję. Przegrywałem w kasynie, ale, jak to mówimy w branży, job był cały czas. To dlatego ciężko jest się ludziom wokół zorientować, że mają do czynienia z hazard-

zistą. No, bo wiesz, jest samochód jeden, drugi, jest mieszkanie w Warszawie, mieszkanie w Olsztynie, wakacje we Francji czy Hiszpanii, miejsca może nie prestiżowe, ale też i nie takie, na które stać by było zwykłego Kowalskiego. Na pozór więc wszystko się zgadza. Oprócz pieniędzy (śmiech).

Zdrowie to jedno, ale co z innymi wartościami, jak rodzina, jak miłość?

Pierwszy rozwód nastąpił szybko, tylko że ja teraz patrzę na to w ten sposób, że kiedy się pierwszy raz ożeniłem, miałem 21 lat. Z córką, mimo hazardu, miałem dobry kontakt, potem się trochę popsuło, ale dziś relacje znów mamy dobre.

Tylko jak wygląda małżeństwo i miłość w takim domu, gdzie jedna osoba jest hazardzistą?

Jeżeli grasz w kasynie, to bazujesz na kłamstwie, na oszustwie. Dla hazardu zrobisz wszystko. Wymyślisz niestworzone rzeczy. Po koncercie, zamiast wracać do domu, wymyślałem, dlaczego nie wracam od razu: bo w samochodzie pękły mi przewody od oleju i muszę zostać. A tak naprawdę wszystko jest okej, a ja tym samochodem jadę do Wrocławia czy Warszawy, żeby zagrać. Albo opowiadałem, że matka w szpitalu, że ojciec nie żyje. To były kłamstwa, które szły w mocno już skrajne opcje. Naprawdę, to nie do wiary, jak można kłamać.

W książce wypowiada się Twoja żona, ale też terapeuta, krupierka z kasyna. Której z tych osób najbardziej się obawiałeś, że oceni Cię najbardziej surowo?

No, Marzenki mojej. Mojej żony. Długi czas ukrywałem przed nią, że jestem hazardzistą, ona nie wiedziała, co się dzieje. Mówiła czasem: „Norbas, ja czuję, że u ciebie jest jakaś tajemnica”. Zapewniałem ją, że nie, mówiłem, że co ty, Marzenko. Nie mogła wyznać, co jest grane. Ale jak już zaczęła, to wybuch był potężny. Tylko widzisz, miłość to nie jest jakiś sloganik, który pisze się na okładce książki, bo to ładnie wygląda, że miłość wygrała. Tak, miłość wygrała, bo gdybym nie kochał tej dziewczyny i gdyby nie było tej miłości między nami, to teraz pewnie byśmy już ze sobą nie rozmawiali. Pewnie bym się już stoczył totalnie, albo bym grał w kasynie dalej. Ona mnie uratowała, ta dziewczyna. A mówi, że nic nie zrobiła. Wiadomo, gdybym ja też nie chciał, to nic by z tego nie było. Żaden terapeuta najlepszy nie pomoże, nie ma bata, jeżeli ty sam nie będziesz

chciał. Ale ja wtedy, dzięki Marzence, powiedziałem sobie: „Norbas, to jest twoja prawdziwa ostatnia szansa”. No i wykorzystałem ją.

Twoi znajomi, członkowie zespołu, nie wiedzieli o Twoim uzależnieniu od hazardu?

Koledzy, koleżanki z zespołu – oni wiedzieli. No ale powiedz, co mogli zrobić? Mieli powiedzieć: „Norbas, nie graj”? Oczywiście, były rozmowy, ale nie działały. Mówiłem swoje i robiłem swoje. Nałóg to jest rzecz straszna. Uwierzyć, jestem dumny, że to po tylu latach się skończyło. Lepiej późno niż wcale – to przysłowie w moim przypadku ma sens i nie jest żadnym banałem.

Czy sam podczas terapii przeżywałeś jakiś bunt, czułeś ból odstawienia?

Śluchaj, ja jestem dziwolągiem. Ale też każdy jest inny. We mnie ani przez sekundę nie było żadnego buntu. Uważałem, że wspaniale, że tak się stało, że to wyszło na jaw, że mleko się rozlało. Przez wiele lat grania czułem na klatce piersiowej ciężki głaz i kiedy to się wydało, to poczucie ze mnie zeszło, ten głaz spadł. To uratowało mi życie. Jakies parę miesięcy przed końcem terapii pojechaliliśmy do Holandii, do siostry Marzenki, do miejscowości Roermond. To bardzo znana miejscowość z miasteczkiem outletowym. Marzenka z siostrą poszły na zakupy, umówiliśmy się, że spotkamy się za godzinę. Miałem czas, żeby samemu pochodzić po mieście. Poszedłem do jednego z food court, bo bardzo lubię frytki z majonezem i z cebulą, kupiłem, odchodzę i nagle przed moimi oczami pojawia się ogromny budynek, wielkości Galerii Mokotów, z ogromnym napisem: Kasyno. W Holandii nie miałem żadnych zakazów, zakazy miałem tylko w Polsce, a tu mogłem wejść i zrobić swoje. Ale słuchaj. Wziąłem frytki, odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Byłem z siebie bardzo dumny. Żadnych emocji. Zobaczyłam napis i poszedłem w drugą stronę.

Ze swojej depresji też swego czasu uczyniłeś tabu. Nikt się nie domyślał, że cierpisz, bo byłeś postrzegany jako człowiek zabawny i wesoły.

A w głębi duszy byłem roztrzęsiony. Próbowałem kiedyś mówić o tym w różnych programach, na przykład u Kuby Wojewódzkiego, ale zawsze były z tego heheszki, no bo wesoły gość, ma super życie.

Kasyna kiedyś wydawały się takim ekscytującym życiem.

Jak wygląda Twoja obecna codzienność? Chyba nie ma nudy? Rozmawiamy przez kamerę, bo właśnie jesteś w Tajlandii.

I jutro lecę do Malezji. Kiedyś potrzebowałem dawać koncerty, żeby mieć pieniądze na hazard. Teraz moją adrenaliną jest to, aby mieć zapelniony kalendarz koncertami i artystycznie być lepszym od konkurencji. Lubię koncerty, jaram się nimi. A z drugiej strony, nie biorę już wszystkiego, jak leci, tylko sobie wybieram. I to jest też dla mnie fajna sprawa. Jak i to, że polecimy na fajne wakacje. To są rzeczy, na które kiedyś nie zwracałem uwagi, bo bardzo skupiałem się na tym, żeby grać jak najwięcej koncertów za nieważne jakie stawki. Teraz patrzę na to wszystko z zupełnie innego pułapu.

Dlaczego postanowiłeś opowiedzieć o swoim uzależnieniu od hazardu w książce?

O hazardzie zacząłem napomknąć kilka lat temu; pierwszy raz opowiedziałem o tym w podcaście u Mateusza Jędrasiasa, wtedy zrobiłem coming out. Potem u Wojewódzkiego i u Kędziora, u Żurnalisty. Dostałem fajny feedback od ludzi, którzy pisali do mnie z prośbą, czy mogę im pomóc, co mogę im poradzić. Co ja mogłem w paru zdaniach na Instagramie poradzić? Ale przynajmniej nie zostawiałem ich bez odpowiedzi. Dużo ludzi się do mnie zgłosiło w tym temacie. Wtedy pomyślałem, że fajnie byłoby opowiedzieć o tym szerzej, skoro jest taki odbiór i zgłaszają się do mnie ludzie, którzy mają z tym problem. A ja akurat jestem wiarygodny w tym temacie, bo spędziłem w kasynie masę czasu. Ucieszyłem się, że książkę zdecydowało się wydać wydawnictwo Luna. Nie patrzę za bardzo na apanażę; zależy mi, żeby tę książkę czytali. Ja opowiadałam, ale świetnie spisała to Sylwia Borowska. Tak mówią też ci, którzy tę książkę już czytali, i ja w to wierzę.

KSIĄŻKA



Sylwia Borowska, Norbi, „Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie”

Wydawnictwo Luna,
Warszawa 2026

Donald Trump jeszcze czymś pana zaskakuje?
Dobre pytanie (śmiech). A mówiąc bardzo krótko i syntetycznie: tak, potrafi mnie jeszcze zaskoczyć.

Ostatnio ocenił Afganistan i sojuszników z NATO. Polscy weterani czują się oburzeni. Pana zdaniem słusznie?
Tak, moim zdaniem, słusznie. O ile dobrze pamiętam, polski kontyngent w Afganistanie liczył 33 tys. żołnierzy, 44 z nich zginęło. I pierwszy raz w historii NATO miał zastosowanie punkt 5 Traktatu Północnoatlantyckiego. Więc tego typu lekkawąca wypowiedź, nie tylko o polskich żołnierzach, bo tych żołnierzy było z różnych krajów w Afganistanie wielu: z Wielkiej Brytanii, Danii, Niemiec, Francji, była najdelikatniej mówiąc, nie na miejscu. Zresztą Keir Starmer dość stanowczo zareagował, Emmanuel Macron również. Czytałem wypowiedź ambasadora amerykańskiego w Polsce, który łagodzi tę wypowiedź Trumpa. Ona niczemu nie służy i ta retoryka, którą stosuje Trump, brak dyscypliny myślowej, ale i emocjonalnej tworzy niepotrzebne zgrzyty, które chociażby w kontekście wojny w Ukrainie działają tylko i wyłącznie na korzyść Rosji.

Polscy weterani domagają się bardziej stanowczej odpowiedzi Karola Nawrockiego, mówiąc, że zachowuje się jak podwładny Trumpa. Pana zdaniem reakcja Nawrockiego na wypowiedź prezydenta USA była zbyt łagodna?

Wiemy, jaką Trump i jego administracja przyjęli strategię – stosują klasyczną, unilateralną politykę, w której najważniejsze jest hasło: America First. Zresztą strategia bezpieczeństwa narodowego USA pokazuje wyraźnie, że interesy amerykańskie są dla Trumpa i jego ludzi priorytetem. Natomiast sojusznicy, nawet ci, których się poklepuje po plecach i opowiada, że są cudowni, wspierali i wydają pięć procent PKB na zbrojenia, w określonej sytuacji nie tyle nie stają się sojusznikami, co mają drugorzędne znaczenie. Natomiast Polska jest krajem, który ma swój ograniczony potencjał i współpraca ze Stanami jest konieczna. To nie znaczy jednak, że prezydent Polski musi reagować tak a nie inaczej, bo Trump, podobnie jak wielu tego typu przywódców, ceni tych, którzy są asertywni, którzy potrafią stanowczo mu się przeciwstawić, co pokazała sytuacja z Grenlandią. W tym wypadku stanowczo zareagowali zarówno przywódcy europejscy, jak i część Republikanów, choćby znany i wpływowy kongresmen Ted Cruz. Ci ludzie uznali, że grenlandzka awantura Trumpa jest kompletnym nonsensem i rozbijają jedność NATO, bo gdyby

rzeczywiście amerykańscy żołnierze wylądowali na Grenlandii, byłby to koniec tego paktu. To, jak mówię, jest absolutnie katastrofalne z perspektywy również bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Więc myślę, że prezydent Nawrocki mógł zareagować bardziej stanowczo, aczkolwiek dyplomatycznie. Chociaż Trump wymyka się dyplomatycznym konwenansom i konwencjom. Politycy, w tym także polscy, nie tyle muszą się do tego przyzwyczaić, co powinni umieć z Trumpem postępować.

Nie ma pan wrażenia, że Donald Trump powoli staje się problemem dla przywódców konserwatywnych, często populiistycznych partii, zwłaszcza w Europie i dla samych Republikanów, którzy bardzo często są zmuszeni tłumaczyć czy łagodzić jego wypowiedzi?

Tak, spójrzmy na akcję w Caracas, kiedy to Marco Rubio musiał tłumaczyć z trumpowego na amerykański. Sekretarz stanu jest doświadczonym politykiem i widać różnicę zarówno w sposobie komunikacji, ale też myślenia strategicznego między nim a Trumpem. Trump jest mieszanką showmana, inwestora na rynku nieruchomości, a czasami takiego dobrego wuja na weselu, co też wprawia w osłupienie zarówno europejskich przywódców, jak i amerykańskich. Natomiast nie należy tego sprowadzać tylko do personalnych kwestii, trzeba na to spojrzeć systemowo i strukturalnie. Na zapleczu Trumpa działa więcej ludzi, nazwijmy to łebskich czy myślących, i oni przestawili wajchę, zmienili zupełnie optykę. Widzimy to wyraźnie, jeżeli chodzi o kwestie chociażby powrotu do doktryny Monroe, mówiącej o tym, że półkula zachodnia jest miejscem, w której Amerykanie dzielą i rządzą, co pokazała interwencja w Wenezueli i porwanie prezydenta Maduro. Druga sprawa to kwestia Rosji i wojny w Ukrainie, gdzie widzimy z jednej strony starania Trumpa o to, aby ten konflikt łagodzić, ale z drugiej strony Trump wysyła na negocjacje z Putinem Steve'a Witkoffa, swojego kolegę od golfa, który nie zna języka rosyjskiego, nie zna Rosji i jest koncertowo ogrywany przez absolwentów jeszcze posowieckiej szkoły dyplomacji. Amerykanie, nie chcąc powiedzieć, że wycofują się z Europy, ale ich uwaga jest skoncentrowana na rejonie Pacyfiku.

Nie od dzisiaj zresztą!

Zgoda, to nie jest żadna nowość, to się dzieje mniej więcej od czasów prezydenta Obamy. Tylko że administracje zarówno Obamy, jak i Bidena robiły to zupełnie inaczej, w innym stylu, szanując przynajmniej na poziomie deklaracji

DR TOMASZ SŁUPIK: POLITYKA TRUMPA JEST BARDZO CHAOTYCZNA, BRAKUJE W NIEJ ELEMENTARNEJ SPÓJNOŚCI

– Styl Trumpa charakteryzują nadmiarowo emocjonalne wypowiedzi, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Myślę, że jednak i Pentagon, i tzw. amerykański big state kontrolują, przynajmniej w ograniczonym zakresie, chaos, który wprowadza do polityki amerykańskiej i zagranicznej Donald Trump – mówi dr Tomasz Słupik, politolog z Uniwersytetu Śląskiego

Dorota Kowalska

sojuszników z NATO. Natomiast Trump porusza się z gracją słonia w składzie porcelany, co, tak jak mówiłem, często budzi osłupienie i zdziwienie. I to nie tylko w przypadku sojuszników europejskich. Podobnie rzecz ma się z Koreą Południową, gdzie pojawiły się głosy, że Amerykanie mogą również stamtąd wycofać część swojego personelu. Więc obecna jest narracja, że tak naprawdę Korea Południowa ma już na tyle rozwinięte zarówno przemysł zbrojeniowy, jak i armię, że spokojnie poradzi sobie z Koreą Północną. Kiedy patrzę na politykę Trumpa, ona jest bardzo chaotyczna, brakuje w niej elementarnej spójności. Wiemy, że Chiny też coraz bardziej się rozpychają, są coraz bardziej asertywne, co pokazała kwestia ceł, które próbował Trump na nie nałożyć. Z kolei Tajwan jest dla Amerykanów strategiczny, ponieważ powstaje tam 80 proc. mikroprocesorów, które są zarówno kluczowe dla przemysłu zbrojeniowego, jak i teraz dla AI. Więc tutaj Trump też jest zakładnikiem gigantycznych korporacji

amerykańskich, które wspierały go finansowo nie tylko w kampanii. A jest jeszcze Bliski Wschód, kolejny teatr, w którym działa Trump. Nie chcę powiedzieć, działa bez ładu i składu, ale nie widać tu jakiejś spójnej koncepcji. I to, co on odtrąbił jako sukces a propos Gazy, czy to, co mówi o Syrii czy o Iranie – to jest polityka, chciałoby się powiedzieć, od Sasa do Lasa.

Co w tej sytuacji powinna zrobić Europa?

Europa ma proste zadanie – musi się zbroić. W tej chwili to niemożliwe, ale stworzyć namiastkę armii europejskiej, w każdym razie koordynować działania w ramach NATO. To się już dzieje. W Niemczech właśnie ruszyły największe w tym roku ćwiczenia NATO, w których uczestniczą siły europejskie. Widzimy wyraźnie, że wzrastają wydatki na zbrojenia, zarówno w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, ale też i w krajach skandynawskich jest pełna mobilizacja. Rosyjski wywiad zdaje sobie z tego sprawę. Jeżeli porównamy po-

tencjały tylko i wyłącznie europejskich armii i Rosji, w tej chwili właściwie wykrawionej konfliktem w Ukrainie, to ta konfrontacja wypada miazdząco dla Putina. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że cztery lata wojny w Ukrainie przyniosą opłakane skutki dla Rosji nie tylko w sferze ekonomii, ale też w sferze społecznej – to ta sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Więc Putin, wbrew wszystkiemu, wbrew logice brnie w wojnę, która, moim zdaniem, w dłuższej perspektywie w najlepszym wypadku doprowadzi do głębokiego kryzysu tego państwa, a w najgorszym mogą się dziać najróżniejsze rzeczy, łącznie z tym, że znacznie mu to państwo pękać czy to na Kaukazie, czy w innych republikach.

Na razie krwawi Kijów. Wiadomo, że ludzie tam nie mają prądu, nie mają tam często wody, ogrzewania. Sytuacja Ukrainy jest zła po prostu.
Tak, to prawda. Tylko z drugiej strony oglądałem ostatnio na Twitterze Jarosława Wołoskiego, to politolog, dziennikarz, publicysta oraz cywilny analitik zajmujący się wojskiem i obronnością. On pokazał, o ile przesunęły się pozycje rosyjskie od 24 lutego 2022 roku. Ktoś skrzętnie z instytutu brytyjskiego, który zajmuje się analizą wojny w Ukrainie, policzył też, że jeżeli armia Putina

w takim tempie próbowałaby podpiąć Ukrainę, to zajęłoby jej to 100 lat. Ukraińcy też sobie z tego zdają sprawę, wywiad ukraiński jest bardzo sprawny. Kyryło Budanow to absolutny arcy mistrz, autor wielu udanych akcji dywersyjnych i nie-dywersyjnych. Więc Ukraina zdaje sobie sprawę, w jakiej sytuacji jest Rosja. Rosja też doskonale to wie. Oczywiście Ukraina krwawi, bo w tej chwili Putin próbuje złamać opór społeczeństwa ukraińskiego, ale jak widzimy, w Kijowie organizowane są już spotkania oporu. Ludzie wychodzą z tych nie-ogrzewanych bloków i pokazują wyraźnie, że wola oporu w nich istnieje. Wiemy, że wielu młodych ludzi z Ukrainy ucieka, że są dezercje głównie na wschodnim czy południowo-wschodnim odcinku frontu, ale z drugiej strony Ukraińcy nadrabiają właśnie sprytem, wolą walki, niezłomnością. Mają też drony. W samej Ukrainie istnieje przecież przemysł zbrojeniowy, często wspierany przez kraje europejskie. Na pewno, tak jak mówię, postępy armii rosyjskiej przez te cztery lata są, z perspektywy zaangażowanego potencjału rosyjskiego, więcej niż marnie.

Ale końca tej wojny nie widać. Wydaje się, że Trump Ukrainę po prostu odpuścił.
Styl Trumpa charakteryzują nadmiarowo emocjonalne wy-

POSTĘPY ARMII ROSYJSKIEJ PRZEZ
TE CZTERY LATA SĄ, Z PERSPEKTY-
WY ZAANGAŻOWANEGO POTEN-
CJAŁU, WIĘCEJ NIŻ MARNE



FOT. PAPPEA

Dr Słupik: Trump porusza się z gracją słonia w składzie porcelany, co często budzi osłupienie i zdziwienie

powiedzi, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Moim zdaniem, Trump mimo wszystko ma dość ograniczoną orientację i często ulega wpływom różnego rodzaju lobby ludzi, których też bardzo często zmienia. Natomiast myślę, że jednak i Pentagon, i tzw. amerykański big state kontroluje, przynajmniej w ograniczonym zakresie, chaos, który wprowadza do polityki amerykańskiej i zagranicznej Donald Trump. To pokazała właśnie akcja w Caracas. To była koronkowa robota, widać tutaj amerykańską potęgę. Amerykanie wydają prawie bilion dolarów na zbrojenia. To jest tyle, ile wydają razem kolejnych dwadzieścia państw w tym rankingu. Teraz słyszymy amerykańskich wojskowych, którzy mówią o budowie całego kompleksu przemysłowo-zbrojeniowego, więc pieniędzy na zbrojenia

będą wydawali jeszcze więcej. To pokazuje ich siłę, przewagę zbrojeniową. Amerykanie są imperium morskim, a chcąc być hegemonem, muszą kontrolować właściwie wszystkie szlaki morskie, w ogóle kwestie przepływów nie tylko towarów, ale też finansów. Dolar jest walutą rezerwową. Kiedy porównamy znaczenie dolara dla światowego handlu, w ogóle finansów i euro, to zdecydowanie działa to na korzyść dolara, z czego Amerykanie czerpali i czerpią korzyści. Część administracji Trumpa jakoś średnio zdaje sobie z tego sprawę, ale lobby biznesowe to wszystko wie. Kwestia cel w dłuższej perspektywie, jak mówią specjaliści, właściwie okazuje się nieskuteczna, ponieważ to może napędzać chociażby tak skutecznie tłumioną inflację przez Rezerwę Federalną. Zresztą tam była kuriozalna sprawa:

Trump grozi paluszkami szefowi Rezerwy Amerykańskiego Banku Centralnego i generalnie go strofuje, chce, żeby obniżał stopy procentowe, czego ten oczywiście nie zrobił. Ta sytuacja pokazuje wyraźnie, że Trump wielu rzeczy po prostu nie rozumie.

Trump zaczyna mieć powoli kłopoty w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza po działaniu służb antyimigracyjnych. Dokładnie. Widać opór społeczeństwa amerykańskiego. Prędzej czy później dojdzie tam do poważnych starć i demonstracji sprzeciwu. Nowa służba imigracyjna jest w jakimś stopniu wyjęta spod prawa, a część liderów MAGA dowartościowuje tych najbardziej okrutnych funkcjonariuszy służby imigracyjnej, mówiąc, że to bohaterowie, którzy bronią Amerykę przed napływem migran-

tów. W jakimś stopniu utrudnia się, chociażby policji lokalnej czy lokalnym prokuratorom, prowadzenie dochodzenia. To rys państwa autorytarnego. To mi przypomina takie państwo, bo zamazuje się ślady przestępstw, uniemożliwia zarówno policji, jak i organom ścigania zabezpieczenia miejsca zdarzenia, prowadzenie śledztw, w pewnym sensie próbuje się wpływać na sądy, co w takiej klasycznej demokracji jest absolutnie niedopuszczalne. Ten trójkąt władzy jest święty i amerykańska konstytucja z żelazną konsekwencją go realizuje.

A zostając trochę w Polsce, nie ma pan wrażenia, że widzimy próbę dogadania się między prezydentem a rządem, że te stosunki troszkę się ocieplają, przynajmniej w kwestiach bezpieczeństwa?

Mam nadzieję, że tak będzie. Na początku nieźle te stosunki wyglądały, potem pojawiły się nieoficjalne informacje, że Kaczyński zainterweniował, że Nawrocki jest jakby zbyt spolegliwy, zbyt łagodny w relacjach z małym pałacem. Natomiast myślę, że część otoczenia Nawrockiego znakomicie zdaje sobie sprawę, że to jest stąpanie po bardzo cienkim lodzie. Zabawa bezpieczeństwem milionowego narodu w środku Europy, który jest zagrożony, chociażby wojną hybrydową przez Rosję, jest przysłowiową zabawą zapalnikami. Więc myślę, że kontekst zmusza Kancelarię Prezydenta do tego, żeby się z premierem dogadać. Z drugiej strony konstytucja wyraźnie mówi, że politykę zewnętrzną prowadzi rząd oraz minister spraw zagranicznych. Dwutorowość tej polityki jest fatalna i z perspektywy wewnętrznej, ale i zewnętrznej. Polska z różnych powodów jest traktowana – szczególnie w Europie, to tylko zasługa Tuska – jako poważny partner, a Nawrocki jest traktowany jako niepoważny lider. A to, że spotka się z Trumpem, poklepie go po ramieniu, zrobi sobie z nim zdjęcie, to nie jest poważna dyplomacja.

Myśli pan, że to jest koniec Polski 2050?

Tak, po klęsce wyborczej i po tym, jak Hołownia spotkał się z Kaczyńskim i z Bielanem, mówiłem, że to początek końca tej formacji. To, co dzieje się w niej teraz, porównałbym do PZPR-u i słynnego ostatniego zjazdu, kiedy to Rakowski wygłosił swoje sakramentalne wtedy słowa, które przeszły do historii: „Sztandar wyprowadzić”. Działania Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz i Hennig-Kloski niczego tak naprawdę nie zmieniają. Myślę, że ci, którzy są w Polsce 2050 prawdopodobnie w Koalicji Obywatelskiej, a ci z tak zwanych tylnych ław będą musieli szukać swojego szczęścia poza polityką. Natomiast to jest o tyle niebezpieczne, że za zagrożenie stabilności rządu. Jeśli w Polsce 2050 rzeczywiście dojdzie do rozłamu i jakiegoś chaosu, to Tusk, Kosiniak-Kamysz i Czarzasty będą mieli nie lada paszpet. Na razie na to się nie zapowiada. Na 31 stycznia zapowiedziano dokończenie wyborów w Polsce 2050, ale absolutnie niczego to nie zmieni. Ci ludzie działają w bańce, jakby nie rozumieli, że ich czas się skończył, a sondaże są tego najlepszym dowodem.

Ostatnio Jarosław Kaczyński dość ostro odniósł się do Grzegorza Brauna, pojawiły się głosy, że to Amerykanie musieli na Kaczyńskim, żeby odciął się od Brauna. Ale z drugiej strony politycy PiS-u mówią o przyszłej ewentualnej ko-

alicji z Konfederacją Korony Polskiej: czemu nie.

Nie takie rzeczy widziała polska polityka. Odwołam się tylko do słynnej umowy między Kaczyńskim, Lepperem i Giertychem w 2006 roku. Nikt sobie nie wyobrażał, że Lepper może zostać wicemarszałkiem Sejmu, prawda? Wiem, że to może dzisiaj dla niektórych brzmieć co najmniej prowokacyjnie, że Grzegorz Braun zostaje wicemarszałkiem Sejmu, ale z różnych powodów ten scenariusz jest jak najbardziej realny. Chociaż byłbym ostrożny – w Konfederacji konflikt między Bosakiem a Mentzenem cały czas się tli, a efekt Brauna, nie chcę powiedzieć wygasa, ale ten peak sondażowy właściwie się kończy. A z różnych powodów interwencja amerykańska ze względu na antysemicką narrację Brauna jest jak najbardziej zrozumiała. Naciski na Kaczyńskiego będą, ale Kaczyński jest znany ze swojego pragmatyzmu. Więc podsumowując: scenariusz koalicji Konfederacji, Konfederacji Korony Polskiej i PiS-u jest w jakimś stopniu realny, ale do wyborów zostało jeszcze ponad 18 miesięcy, byłbym więc ostrożny z ostatecznymi prognozami. Akurat ekipie rządzącej koniunktura gospodarcza sprzyja: inflacja spada, konsumpcja rośnie, wzrost gospodarczy lokuje nas w pierwszej trójce krajów europejskich. Nawet prywatnie obserwowałem, jak przed świętami Polacy wręcz rzucili się do sklepów, wskazniki ekonomiczne wyraźnie to pokazywały i pokazują. Jeżeli nie stanie się coś naprawdę fundamentalnego, myślę tutaj o kierunku rosyjskim, co odbije się na całej gospodarce światowej i europejskiej, to tak jak mówię, na tę chwilę koniunktura, przynajmniej w najbliższych dwóch latach gospodarczo ekipie rządzącej będzie sprzyjać. A to z perspektywy wyborów jest najważniejsze.

Czyli jeszcze nic nie jest przesądzone? To nie jest tak, że na pewno będzie rządziła prawica?

Wie pani, PiS efektu Nowackiego właściwie nie skonsumował. Sondaże stoją na poziomie 27 proc., a ostantacyjny konflikt między tak zwanymi masłarzami a Morawieckim i Szydło pokazuje, że w PiS-ie też trzeszczy. Jarosław Kaczyński z walką frakcji zupełnie sobie nie radzi i wewnątrz, i komunikacyjnie. A jeszcze o dogmacie Kaczyńskiego, realizowanym przez lata z żelazną konsekwencją, że po prawej stronie jest tylko ściana, możemy zapominąć, bo kiedy policzymy sobie w takim najbardziej ostrożnym szacunku wyniki Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej, to jest jedna piąta wyborców. Więc żaden wynik wyborczy nie jest jeszcze przesądzony.

PRZEMOC W REKAWICZKACH. KARETKA MIAŁA BYĆ RATUNKIEM, A STAŁA SIĘ SCENĄ TRAGEDII OLKA

Miał 19 lat i plany: matura, studia... Błagał ratowników: „Nie chcę do taty!” Usłyszał: „A gdzie jest tata?”. Odpowiedział: „Nie żyje”. Medycy byli niewzruszeni. Chwilę później... Olek był u taty

Aleksandra Pasis

Wolał o tlen, a dostał milczenie i gniew. Tonie był film. Grudziadź pamięta, prawda ma twarz. Śmiech zamiast pomocy, słowa jak nóż - to fragment tekstu piosenki Emasika, która powstała spontanicznie, w czasie marszu pamięci tragicznie zmarłego Olka, który odbył się tydzień temu. Ulicami Grudziądza przeszło kilkaset osób.

Parę dni później przechodzę w miejscu, gdzie doszło do feralnej interwencji: przy przystanku obok I LO. Robię zdjęcia mnóstwa zniczy, które płoną pod murem poświęconym Olkowi. Słyszę, jak obok mnie pasażerowie czekający na autobus żywo dyskutują: - Panie, był pan na marszu? - kobieta pyta starszego mężczyznę. Senior odpowiada: - Nie byłem. Wzburzona grudziadzanka opowiada: - Ja byłam. To milczenie było głośniejsze niż krzyk. Czy pan sobie wyobraża, że ci lekarze, zamiast do tchawicy, intubowali Olka do przewodu pokarmowego?!

Za chwilę słyszę znajome dźwięki „The Sound of Silence”. Kątem oka widzę, że inna pasażerka ogląda w telefonie wideo-relację z marszu opublikowaną przeze mnie na portalu naszej gazety. Wybrałam do niej właśnie ten podkład muzyczny...

Widać, że mimo upływu czasu mieszkańcy Grudziądza pozostają poruszeni tą sprawą.

„To nigdy nie powinno się wydarzyć”

- Tarana wciąż krwawi. To nigdy nie powinno się wydarzyć - powtarza zrozpaczona mama Olka, Małgorzata Shahbazyan.

Choć od śmierci Olka minęły dwa lata, to dopiero teraz cała Polska dowiedziała się o dramacie jej syna. - Nie miałam innego wyjścia - tłumaczy. - Czekam już dwa lata na sprawiedliwość. Winni śmierci mojego syna wciąż nie stanęli przed sądem, dlatego postanowiłam działać i zwróciłam się do mediów.

Nagrania z monitoringu karetki oraz z kamer nasobnych policjantów opublikowała telewizja TVN. To był zapis brutalnego potraktowania cierpiącego z bólu 19-latkę, który potrzebował natychmiastowej pomocy po tym, jak uciekając policjantom, nadział się na metalowy pręt ogrodzenia boiska



Nagrania z karetki, w której Olek prosił o tlen, a dostał pogardę i był szarpany przez medyków, obiegły całą Polskę

I LO przy ul. Sienkiewicza w Grudziądzu.

Policjanci próbowali pomagać rannemu chłopakowi, ale robili to dość chaotycznie. Jeden z nich krzychał: „krwawi w...uj”. Wezwali karetkę. Patrol, który zatrzymał Olka, a powodem miało być popełnienie wykroczenia i wyrzucenie „czegoś” podczas ucieczki. Policjanci byli z Bydgoszczy, nie znali Grudziądza, więc o adres pytali przechodniów. Wreszcie, gdy ambulans dojechał (bez sygnałów, choć wezwanie było pilne), mundurowi, przekazując skutego w kajdankach Olka, stwierdzili, że „pajacuje”.

Przysięgali okazywać pacjentom szacunek

To, co działo się w karetce, którą przyjechało dwóch ratowników i lekarz, trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć. To były sceny, jakich nikt nie mógł się spodziewać: znęcania, męczenia, poniżania.

„Przyjmuję z szacunkiem i wdzięcznością dla moich Miistrzów nadany mi tytuł lekarza i w pełni świadomy związanych z nim obowiązków przyrzekam: (...) służyć życiu i zdrowiu ludziemu; według najlepszej mej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic, takich jak: rasa, religia, narodowość, poglądy polityczne, stan majątkowy i inne, mając na celu wyłącznie ich do-

bro i okazując im należyty szacunek (...).”

Powyższe to tekst przysięgi lekarskiej. Lekarze, którzy stanęli na drodze Olka, bez wątpienia nie wypełnili jej słów.

Na nagraniach zobaczyliśmy chłopaka wielokrotnie błagającego o tlen, mówiącego, że dusi się. Bez reakcji ratowników. Za to szarpano go za ucho, ubranie, szydzono. Jeden z medyków wytarł zakrwawione rękawiczki o ubranie 19-latkę i z ironią w głosie stwierdził: „pobrudziło się”. Załoga karetki nie reagowała na poruszające do szpiku kości słowa Olka: „Nie chcę do taty”. Jeden zapytał „A gdzie jest tata?”. Usłyszał: „Nie żyje”.

Tę gehennę młodego chłopaka mogli przerwać lekarze z SOR-u szpitala w Grudziądzu, którym został przekazany. I oni nie pomogli.

Sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu Olka było wykrwawienie. Wykazała też, że chłopak nie zażył żadnych zakazanych substancji.

Powołani przez prokuraturę biegli wydali druzgocące opinie, wytykające zaniedbania medyków. Aktem oskarżenia objęto trzech lekarzy. Redakcja „Gazety Pomorskiej” informowała o tym jako pierwsza już w sierpniu ub. roku. O narażenie rannego Aleksandra na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu zostali oskarżeni:



W miejscu tragedii przyjaciele Olka wykonali mural. Po marszu pamięci zapłonęło tu mnóstwo zniczy

● Sławomir B. jako lekarz zespołu ratownictwa medycznego odstąpił od zebrania prawidłowego wywiadu, w tym obejrzenia miejsca zdarzenia i obrażeń rannego, a także podczas transportu do szpitala odstąpił od niezbędnych czynności medycznych. Sławomir B. nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, złożył wyjaśnienia, które oceniono jako w większości sprzeczne ze zgromadzonym materiałem dowodowym.

● Maksim D., lekarz SOR-u, który odstąpił od samodzielnej oceny sytuacji rannego oraz od wykonania USG uda.

● Marek O., anestezjolog z SOR-u; dopuścił do nieprawidłowej intubacji rannego (zamiast do tchawicy został intubowany do przewodu pokarmowego).

Maksim D. i Marek O. nie przyznali się do winy i odmówili składania wyjaśnień. Z informacji uzyskanych z Prokuratury Okręgowej w Toruniu wynika, że dowodami przemawiającymi za sprawstwem oskarżonych były m.in. dokumentacja medyczna, zeznania świadków, opinie medyczne, zapisy korespondencji.

Medycy są oskarżeni z art. 160 paragrafy 2 i 3 Kodeksu karnego. Grozi im do pięciu lat pozbawienia wolności.

Agata Kurkowska, dyrektorka szpitala w Grudziądzu, poproszona przez nas w sierpniu ub. r. o zajęcie stanowiska wobec

aktu oskarżenia trzech lekarzy, odpowiedziała jednym zdaniem: „Szpital nie jest stroną postępowania i nie komentuje spraw dotyczących indywidualnych pracowników”.

Proces miał ruszyć w listopadzie 2025 r. Nie rozpoczął się do dziś.

Gdy w styczniu br. cała Polska zobaczyła wstrząsające nagrania z karetki, dyrektorka Kurkowska na drugi dzień współpracę z zespołem ratownictwa medycznego zakończyła. Takich konsekwencji nie wyciągnęła wobec anestezjologa i lekarza SOR-u.

W ludziach zawrzało

Pod adresem medyków wylała się fala krytyki, ale i hejtu. W sieci padały surowe oceny:

Ewa: - Widziałam nagranie z karetki. To zwykły zwyrole, a nie ratownicy.

Piotr: - Cały czas wierzę, że winni poniosą surową karę.

Madzia: - Tu zawinili ludzie, którzy mieli nieść pomoc. Bezdušność, obojętność w tych ratownikach.

Maria: - Bólu po stracie dziecka nic nie ukoł. STOP przemocy! Nie ma zbrodni bez kary! Nie ma zgody na takie traktowanie drugiego człowieka!

Szpital zwołał konferencję prasową, na której nie pojawiła się dyrektorka Kurkowska, a przyszedł prezydent Grudziądza Maciej Glamowski i kilku lekarzy. Wygłosili oświadczenia, których

głównym przesłaniem było to, że na medyków i szpital wylała się hejt. Prezydent Glamowski wyszedł z sali, migając się od pytań dziennikarzy. Wyszli też lekarze.

Szpital i prezydent ratują wizerunek

Do dziś żadnych konsekwencji nie poniosła dyrektorka szpitala Agata Kurkowska za to, że przez dwa lata od tragicznej akcji wciąż zatrudniała medyków, którzy dopuścili się tak karygodnych zachowań, a w przypadku lekarzy - popełnili krytyczne błędy, które wykazali biegli.

Prezydent Grudziądza, by ratować wizerunek, zlecił kontrolę w szpitalu. - Dalsze działania, także dotyczące ewentualnych kwestii personalnych, podjęte zostaną niezwłocznie po jej przeprowadzeniu - wyjaśnia Karol Piernicki, rzecznik prezydenta.

Kontrola ma objąć zakresem przestrzegania obowiązujących procedur i przepisów prawa przy udzielaniu pomocy przez zespoły ratownicze. Wykonują ją dwie urzędniczki z ratusza.

W szpitalu z kolei powołano pełnomocnika ds. praw pacjentów. Została nim Magda Rohde, pielęgniarka. Będzie otrzymywała dodatek do wynagrodzenia. Powstał też zespół do spraw etyki, którego szefem został dyktor ds. leczenia. W jego skład wchodzi jeszcze osiem osób. Członkowie zespołu dodatkowego wynagrodzenia nie będą pobierać.

Pilną kontrolę w zakresie prowadzonej akcji ratunkowej Olka zarządził też wojewoda.

Prokuratura badała też zachowanie policjantów podczas interwencji. Umorzyła postępowanie. Zażalenie na tę decyzję latem ub. roku złożyła mama Olka. 27 stycznia br. Sąd Rejonowy w Toruniu zdecydował, że właściwym do rozpoznania będzie Sąd Rejonowy w Grudziądzu.

W internecie trwa zbiórka na pomoc prawną dla rodziny Olka. Bliscy dążą do tego, aby nie tylko lekarz, ale też ratownicy z karetki usłyszeli zarzuty. Kilka dni temu zatrudnili adwokata.

- Najważniejsze w życiu to być dobrym, potrafić sobie podawać ręce, a nie noże. Myślę, że jak Olek patrzy na nas, to jest szczęśliwy, bo widzi, że sprawiedliwości staje się zadość - mówi Lidka, siostra Olka. ©©

KATARZYNA HERMAN: PODLASIE TO MÓJ POWERBANK, JEST MOIM ŹRÓDŁEM ENERGII

Mówi o sobie: „Kasia z Podlasia” i wyznaje: „tutaj jest mój korzeń”. Rozmawiamy z Katarzyną Herman, aktorką znaną m.in. z ról w takich serialach, jak „1670”, „Ojciec Mateusz”, „Barwy szczęścia”, „M jak Miłość” czy też „Kryminalni”

Magda Ciasnowska

Dorastała pani w Białymstoku, ale od lat mieszka pani w Warszawie. Co czuje pani wracając w rodzinne strony?

Wzruszenie. Zawsze gdy tutaj wracam mam wrażenie, że czas płynie tu inaczej, że jest to wyjątkowa przestrzeń i kolorowi, serdeczni ludzie. Zrozumiałam to dokładnie dopiero wtedy, gdy wyjechałam z Białegostoku na studia. Choć już w liceum, gdy szłam z pielgrzymką do Częstochowy, bardzo wyraźnie poczułam moment, kiedy przekroczyliśmy granicę Podlasia. Skończyły się pierogi, powystawiane stoły i gościnność. Zaczynało się Mazowsze.

Ostatnio regularnie odwiedza pani Białystok. W listopadzie na zaproszenie Podlaskiego Instytutu Kultury wzięła pani udział w Podlaskim Kongresie Kultury. W styczniu zaś białostoczanie mieli okazję oglądać panią na scenie, w towarzystwie Bartłomieja Topy i Karola Dziuby.

Tak, jestem w Białymstoku dosyć często. Mimo że mojej rodziny pozostało tu już niewiele, to wciąż mieszka tu mnóstwo moich znajomych. Spotykamy się i tak jak dzisiaj, odwiedzają mnie na spektaklach. Poza tym im jestem starsza, staję się bardziej takim sentymentalnym Odyseuszem. Bardzo lubię tu wracać. Mam nawet takie marzenie – chciałabym mieć tu kawałek ziemi z drzewem i wrócić tu na stałe. Choć moja rodzina nie jest białostocka od pokoleń, bo rodzice przyjechali tu dopiero na studia, ale jestem stąd. Rodzina mamy jest kresowa, a taty – podlaska, z okolic Szepietowa. Mam wrażenie, że właśnie tutaj jest mój korzeń. Podlasie to taki mój „powerbank” – jest moim prawdziwym źródłem energii.

Dlatego mówi pani o sobie „Kasia z Podlasia”?



– Kiedy przyjeżdżają moi znajomi z Warszawy i proszą, żebym coś im pokazała, mówię: Dobrze, pokażę Białystok, ale musimy też pojechać do Supraśla, do Bohonik, zobaczyć okolice Krynek, Królowy Most... – opowiada Katarzyna Herman

Tak się właśnie czuję. Bo Podlasie to mój region. Białystok jest oczywiście jego stolicą, ale to ten „obwarzonek” wokół niego daje mi pełnię tego miejsca. Kiedy przyjeżdżają moi znajomi z Warszawy i proszą, żebym coś im pokazała, mówię: Dobrze, pokażę Białystok, ale musimy też pojechać do Supraśla, do Bohonik, zobaczyć okolice Krynek, Królowy Most. Grzyby w tamtych rejonach... Tu wszystko jest piękne i oni są tym naprawdę zachwyceni. Kiedyś powiedziałam w wywiadzie: „Jestem z prowincji i dobrze. Tam ludzie mają czulsze serca”. Potem długo musiałam się z tej „prowincji” tłumaczyć”. A ja uważam, że to właśnie jest nasza siła. To, że jesteśmy stąd. Kiedy mówię „Kasia z Podlasia”, czuję się mocno uziemiona. Stoję tu twardo na ziemi. Bo tutaj inaczej czuję się tę ziemię, inaczej pogodę, inaczej śnieg – on tutaj naprawdę mocniej skrzypi. Dziś, kiedy poszłam do Zwierzyńca, znowu to poczułam.

Do Białegostoku wraca pani jak do domu?

Czuję się trochę dziwnie. Był kiedyś taki czeski serial – książniczka Arabella miała magiczny pierścień i gdy go przekręcała, przenosiła się w czasie. I tu właśnie mam takie wrażenie, że teleportuję się do innego świata. Tutaj, na ulicy Parkowej, tuż obok starej Filharmonii (w której rozmawiamy – przyp. red.), mieszkałam przez całe dzieciństwo. Tekstów do szkoły teatralnej uczyłam się na drewnianej scenie w Zwierzyńcu. Potrafiłam wcześniej rano mówić wiersze do pustej widowni. Przez całe ferie zaś chodziłam na znajdujące się w pobliżu lodowisko... To są więc dla mnie bardzo sentymentalne rejony. I będąc tu przenoszę się myślami do tego domu z przeszłości.

Dzisiejszy Białystok różni się od miasta z pani dzieciństwa?

Bardzo! Przede wszystkim wyraźnie rozbudowała się infrastruktura. Kiedyś było to dla mnie miasto, w którym wszędzie można było dotrzeć szybko i bez problemu pieszo. Choć nadal nie jest to bardzo duże miasto, więc mam poczucie, że zachowało dobrą skalę do życia. Czytam i śledzę różne rankingi, z których wynika, że mieszka tu wielu szczęśliwych i zadowolonych z życia ludzi. Uważam, że to świetnie położone miejsce. Oczywiście dziś niektórzy niepokoją się bliskością granicy, ale z drugiej strony są tu parki, natura i zielona otulina. Jednocześnie jest bardzo blisko do stolicy, a droga jest na tyle dobra, że ten dystans realnie się skrócił.

To pani białostockie dzieciństwo było mocno artystyczne.

Wymyślałam sobie mnóstwo różnych zajęć, jak wszystkie moje siostry, a mam ich sześć. Moim zadaniem była nauka i sprzątanie pokoju w sobotę. Poza tym miałam dużą swobodę – mogłam robić, co chciałam. Mieszkałam blisko szkoły muzycznej i ogniska baletowego. A że byłam aktywnym dzieckiem, próbowałam wszystkiego, co się dało. Jako dziewięciolatka sama wymyślałam sobie szkołę baletową w Warszawie. Dostałam się i mieszkałam w internacie, a wieczorami chodziłam do Teatru Wielkiego. I to był moment, w którym scena rzeczywiście mnie „zaraziła”. Później nie było już odwrotu. Wciągnęło mnie to na dobre.

To w którym momencie teatr wygrał z baletem?

On właściwie z niego wyrósł. U mnie wszystko wzięło się z ruchu i z tego, że poczułam energię bycia na scenie. Nigdy nie brałam udziału w konkursach recytatorskich – chociaż przypominam sobie, że raz, na początku podstawówki,

Ciąg dalszy na str. 28

eprasa.pl 4d6174f459

HISTORIA/SPORT

Co się czuje patrząc na świat ze szczytu K2?

W reportażu o chwytliwym tytule „Bunt” Piotr Trybalski, dziennikarz i fotograf, przybliży sylwetki kobiet, które na zawsze zmieniły oblicze himalaizmu. To nie tylko opowieść o determinacji, odwadze i przełamywaniu barier, nie tylko tych skalnych, ale także społecznych i kulturowych.

Tylko dla mężczyzn?

Zagłębiamy się w świat, gdzie góry były nie tylko wyzwaniem natury, ale także areną walki z głęboko zakorzenionymi stereotypami. W czasach, gdy „miejsce kobiet” rzadko widywano na szczycie, te niezwykle Polki nie pytały o pozwolenie.

Wspinały się tam, gdzie chciały - pisze autor - zawsze w górę, na przekór wszelkim uprzedzeniom”. Z jakimi przeszkodami musiały się przy tym mierzyć, by zrealizować swoje marzenia o zdobyciu ośmiotysięczników? Jaką cenę płaciły za swoją bezkompromisową pasję i niezłomną wolę?

Zastępy Polek

W „Buncie” poznajemy losy kilkadziesiątu niezwykłych kobiet, od pierwszych śmiałych przejść taternickich i alpejskich, przez osiągnięcia pokolenia Wandy Rutkiewicz (pierwsza Polka na Evereście, K2, Kancenzondze i Koronie Ziemi), Anna Czerwińska (zdobywczyni 8-tysięczników, w tym Lhotse i Makalu) i Magdalena Gorzkowska (zdobywczyni m.in. Everestu, ale też Makalu i Manaslu).

Wymieńmy kilka nazwisk: Krystyna Palmowska (pierwsza Polka na Broad Peak); Halina Krüger-Syrokomska (pierwsza Europejka na 8-tysięczniku), Dorota Rasińska-Samoćko (jedyna Polka na wszystkich 14 8-tysięcznikach), czy Kinga Baranowska (pierwsza Polka na Evereście, K2, Kancenzondze i Koronie Ziemi), Anna Czerwińska (zdobywczyni 8-tysięczników, w tym Lhotse i Makalu) i Magdalena Gorzkowska (zdobywczyni m.in. Everestu, ale też Makalu i Manaslu).

Wanda góruje

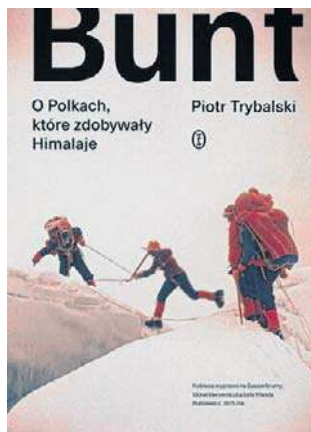
Najbardziej znana z nich to oczywiście Wanda Rutkiewicz. Gdy w 1975 r. nie weszła w skład polskiej wyprawy na Lhotse, postanowiła zorganizować własną pod nazwą „Ladies Expedition”. Pojechała w Karakorum i weszła na Gaszerbrum III (7946 m), który był wówczas najwyższą niezdobytą górą na Ziemi.

Z kolei w 1978 r., niemal prosto z Matterhornu, wyruszyła na Mount Everest. 16 października zdobyła Dach Świata jako trzecia kobieta w historii (po Japonce Junko Tabei i Chince Phantog). Wyprzedziła tym samym całą elitę polskich wspinaczy.

Biografie i historie

Ale „Bunt”, jako się rzekło, to także opowieść o Polsce i świecie, które zmieniały się wraz z ich wspinaczkowymi sukcesami. Autor łączy indywidualne biografie z tłem społecznych, kulturowych i politycznych przemian.

Zatem nie jest to tylko książka o górach. „To rzecz o ludzkim duchu, o pasji, która napędza do działania, o odwadze bycia sobą wbrew oczekiwaniom” - czytamy. **mg**



Piotr Trybalski, „Bunt. O Polkach, które zdobywały Himalaje”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 79,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ANNA LEWANDOWSKA

Potrzebuje uwagi

W niedawnym wywiadzie dla „Twojego Stylu” celebrytka przyznała, że od pewnego czasu jest na terapii, co pozwoliło jej porzucić przekonanie, że problemy kobiet są mniej ważne niż problemy mężczyzn. Zapewniła, że wciąż wspiera męża, ale pamięta też o sobie. - Wczoraj powiedziałam Robertowi: „Zapraszam cię na randkę, na kolację, żebyśmy w końcu spokojnie pogadali”. Spytał, czy na randce będziemy rozmawiać o mnie, bo o różnych sprawach gadamy codziennie. Odpowiedziałam mu, że tak. Od 20 lat wszystko kręci się wokół gry w piłkę. Ostatnio poczułam, że ja też potrzebuję uwagi najbliższych. Po prostu - stwierdziła.

MARCIN HAKIEL

Łączy go kredyt

Kiedy jeszcze tancerz był mężem Katarzyny Cichopek, para zainwestowała w 2007 roku w zakup 500-metrowej willi, która kosztowała aż 3,5 mln zł. Nie obyło się bez kredytu, który został zaciągnięty we frankach szwajcarskich. Gdy kurs waluty gwałtownie poszybował w górę, dom marzeń szybko stał się finansowym obciążeniem. Teraz w rozmowie z Kozackim Hakiel wyjawia, że willa nadal pozostaje nie sprzedana. Jak przyznał, byli małżonkowie planują jej sprzedaż, jednak zanim to nastąpi, muszą najpierw rozstrzygnąć w sądzie sprawę związaną z kredytem frankowym, który do dziś ich łączy. - Ten dom jest wynajmowany, od jakiegoś czasu jesteśmy w sądzie z bankiem, są rozporządzenia, jest szansa, że wygramy - powiedział.

MICHAŁ KOTERSKI

Jest zły na celebrytów

Popularny aktor niegdyś walczył z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu. Dziś prowadzi prywatny ośrodek terapii uzależnień i wsparcia psychicznego „Odwroćni” na Mazurach. Nic więc dziwnego, że niedawno w podcaście Radia Chillizet powiedział, że ma żal do celebrytów reklamujących w telewizji alkohol. Wymienił nawet konkretne nazwiska: Adama Woronowicza, Wojcie-



Julia Wieniawa niedawno spóźniła się na premierę filmu „Chcę więcej”, która odbyła się w Katowicach

cha Manna, Adama Małysz i Krzysztofa Hołowczyca. - Tak, oczywiście, że jestem zły. Dla mnie to jest paradoks sytuacji, kiedy ja słyszę wywiady moich guru, wybitnych, wspaniałych artystów, aktorów, jak oni mówią o przemocy, o wychowaniu pokoleń, a z drugiej strony reklamują browar - stwierdził.

KATARZYNA CICHOPK

Zachwała Turcję

Celebrytka wybrała się z Maciejem Kurzajewskim na narty. W sobotę para uraczyła fanów sesją zdjęciową ze szczytu Er-ciyes Dağı. Zakochani zapoznawali w stylowych kombinezonach: ona w czerwonym, a on w czarnym. Fotografiom towarzyszył wpis: „Narty w Turcji? Zdecydowanie warto! Piękne, długie trasy, świetnie przygotowane stoki i widoki, które naprawdę robią wrażenie. Do tego pyszne jedzenie - lokalna kuchnia po całym dniu na nartach smakuje obłędnie. A Kapadocja to już w ogóle sztos - loty balonem, bajkowe krajobrazy i klimat, którego nie da się porównać z żadnym innym miejscem. To taka wiosienka na torcie całego wyjazdu. Jeśli ktoś szuka czegoś innego niż klasyczne Alpy, Turcja na narty to strzał w dziesiątkę!” - zakończyła.

JULIA WIENIAWA

Kłopoty z autem

Kilka dni temu w Katowicach odbyła się premiera filmu „Chcę więcej” z udziałem młodej aktorki. Nie wszystko jednak poszło zgodnie z planem.

Wieniawa dotarła na miejsce z godzinnym opóźnieniem. Kiedy pojawiła się w kinie, żartowała, że miała „niezaplanowaną wycieczkę krajoznawczą po Katowicach”. Potem w rozmowie Pudelkiem całą sytuację wyjaśnił reżyser. - Spóźnienie było spowodowane problemami z samochodem. Dokładnie kierowca Julii, kiedy podjechał pod hotel, zadzwonił do mnie i przekazał informację, że są problemy z hamulcami. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że Julia nie może wsiąść do samochodu, który może realnie zagrażać jej życiu. Dostałem telefon, że kolejny samochód dojeżdża. Z tego wyszła godzina spóźnienia. Julia nie miała żadnego wpływu na to wydarzenie - powiedział Damian Matyasik.

KLAUDIA EL DURI

Kocha szum fal

Na InstaStories celebrytka trafiło nagranie, na którym obwieściła, że wybrała się na egzotyczne wakacje. - Jak mi tu dobrze. Słuchajcie, siedzę niemalże na plaży, bo nasz domek jest pięć kroków od plaży. Napawam się tym pięknym widokiem i błogim szumem fal, kocham szum fal. Bardzo mnie to wycisza i uspokaja - wyznała El Dursi. I dodała: Nie powinnam być teraz na wakacjach, bo mam tyle obowiązków. Niedługo kolejny wyjazd, lecę kręcić dla was kolejny sezon „Hotelu Paradise”, więc powinnam być w ogniu pakowania i szykowania, no ale wakacji się nie odmawia. To przecież jest dla ładowania baterii, dla zdrowotności.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Przed tobą dzień sprzyjający działaniu i szybkim decyzjom. Horoskop dzienny radzi uważać jednak na słowa, bo ktoś może je źle odebrać.

Ryby (19.02 - 20.03)

Skup się na sprawach domowych. Horoskop na dziś wróży, że konsekwencja pomoże ci bardziej niż pośpiech.

Baran (21.03 - 19.04)

Rozmowy przyniosą ciekawe pomysły. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo jedna informacja może zmienić twoje plany.

Byk (20.04 - 20.05)

Emocje będą silniejsze niż zwykle. Horoskop dzienny radzi nie brać wszystkiego do serca zbyt dosłownie.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Masz szansę zabłyśnąć wśród znajomych. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że pewność siebie przyciągnie dobre okazje...

Rak (22.06 - 22.07)

Drobne obowiązki mogą się dzisiaj mnożyć, ale horoskop dzienny na piątek wróży, że dasz sobie radę. Wieczorem znajdź czas na odpoczynek.

Lew (23.07 - 22.08)

Relacje z ludźmi będą dziś kluczowe. Horoskop dzienny mówi, że szczerą rozmową pomoże uwolnić napięcie.

Panna (23.08 - 22.09)

Intuicja poprowadzi cię we właściwym kierunku. Horoskop na dziś to wskazówka, by zaufać sobie, ale nie zdradzać wszystkich planów.

Waga (23.09 - 22.10)

Poczujesz potrzebę zmiany. Horoskop dzienny na piątek wróży, że krótka podróż lub nowy pomysł doda ci energii.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Skupienie na obranych celach przyniesie efekty. Horoskop dzienny zapowiada, że ktoś doceni twoją pracowitość i odpowiedzialność.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Kreatywność będzie twoją siłą. Horoskop na dziś to wskazówka, by nie bać się nietypowych rozwiązań, nawet jeśli zaskoczą innych.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Przed Tobą dobry dzień na porządkowanie myśli. Horoskop dzienny na piątek mówi, że spokój wewnętrzny pomoże podjąć decyzję.

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie.

ROZWIĄZANIE: LOS TASUJE KARTY, A MY NIMI GRAMY.

Polak dał sygnał do ataku. Real i Napoli mają czego żałować

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

LIGA MISTRZÓW. Gol Roberta Lewandowskiego stanowił przełom w meczu Barcelony z FC Kopenhaga, a wygrana zapewniła Katalończykom bezpośredni awans do fazy pucharowej Ligi Mistrzów.

Spotkanie 8. kolejki fazy ligowej Ligi Mistrzów z FC Kopenhagą było dla Barcelony niezwykle istotne. Drużyna z Lewandowskim w wyjściowym składzie i Wojciechem Szczęsnym na ławce nie mogła pozwolić sobie na porażkę, jeśli chciała zachować komfortową sytuację w tabeli.

A jak zaczęła? Najgorzej jak tylko się dało. Już w 4. minucie Duma Katalonii przegrywała po trafieniu Viktora Bjarkiego Dadasona. Szybko stracony gol wprowadził nerwowość, a na odpowiedź kibice musieli czekać do zmiany stron.

Przełom nastąpił tuż po wznowieniu gry. Lewandowski znakomicie odnalazł się w polu karnym po podaniu Lamine'a Yamala i z najbliższej odległości skierował piłkę do pustej bramki, doprowadzając do wyrównania. Dla kapitana reprezentacji Polski było to już 107. trafienie w Lidze Mistrzów oraz gol strzelony 40. różnemu rywalowi w historii jego występów w tych elitarnych rozgrywkach. Lewandowski mógł wpisać się na listę strzelców wcześniej, lecz w pierwszej połowie przegrał pojedynek z bramkarzem Dominikiem Kotarskim.

- W pierwszej połowie na stronę, na którą graliśmy, wiał bardzo silny wiatr. Pewnie w telewizji nie było tego widać, ale piłka strasznie wariowała. Chciałem uderzyć wyżej, ale obawiałem się, że wiatr znieśnie futbolówkę. Pewnie źle to rozwiąza-



FOT. GRZEGORZ WĄDA

Choć nie był to najbardziej efektowny wieczór Roberta, to wycucie przestrzeni i inteligencja pozostają bezcenne...

łem. Gdybym strzelił bliżej słupka, piłka wpadłaby do bramki. Szkoda tej sytuacji, powinienem ją wykorzystać - tłumaczył Lewandowski po meczu w rozmowie z Canal+ Sport.

Hiszpańskie media tradycyjnie uważnie przyjrzały się występowi Polaka. Kataloński „Sport” przyznał mu notę 6 w 10-stopniowej skali, podkreślając, że choć nie był to jego najbardziej efektowny wieczór, to wycucie przestrzeni i inteligencja w polu karnym pozostają bezcenne. „Mundo Deportivo” zwróciło uwagę na historyczny wymiar jego osiągnięć. Dziennik przypominał, że Lewandowski już wcześniej wyprzedził w klubo-

wych statystykach Cristiano Ronaldo, a teraz zrównał się z Leo Messim pod względem liczby klubów, przeciw którym zdobywał bramki w Lidze Mistrzów.

Srodowy gol pozwolił mu także doskoczyć do Neymara i Patricka Kluiverta w klasyfikacji najlepszych strzelców Barcelony w tych rozgrywkach. „W wieku 37 lat, mając u boku niezwykle utalentowanego Lamine'a Yamala, Lewandowski wciąż śrubuje rekordy zarezerwowane dla legend” - podkreślono.

Barcelona zakończyła fazę ligową na piątym miejscu, zdobywając 16 punktów i zapewniając sobie bezpośredni awans do 1/8 finału. Natomiast Real Ma-

dryt będzie musiał walczyć w dodatkowym dwumeczu. Symbolicznym momentem srodowej multigi był gol na 4:2 dla Benfiki Lizbona, gdy bramkarz Anatolij Trubin w ostatniej akcji zdobył bramkę głową, pokonując Thibaut Courtoisa. To trafienie wywołało euforię na Estádio da Luz i zapewniło drużynie José Mourinho fazę play-off.

Benfica o dalszą grę powalczy z jednym z dwóch europejskich potentatów - żądnym rewanżu Realem lub Interem Piotra Zielińskiego, który wraz ze swoją drużyną pokonał Borussię Dortmund.

Z Ligą Mistrzów na etapie fazy ligowej pożegnali się m.in. mistrzowie Włoch z SSC Napoli, którzy przegrali u siebie z Chelsea 2:3. W rozgrywkach pozostają także Polacy: bramkarz Mateusz Kochalski (Karabach) i wahałowy Nicola Zalewski (Atalanta), choć ich ostatnie występy miały różny przebieg. Pierwszy puścił sześć goli przeciwko Liverpoolowi, a drugi przesiedział mecz na ławce.

Losowanie par barażowych o 1/8 finału w piątek od godziny 11. Spotkania tej fazy zaplanowano na 17/18 i 24/25 lutego. Terminy 1/8 finału to 10/11 i 17/18 marca.

©P

LIGA MISTRZÓW UEFA

Wyniki 8. kolejki: Ajax - Olympiakos 1:2, Monaco - Juventus 0:0, Arsenal - Kajrat 3:2, Athletic - Sporting 2:3, Atletico - Bodo 1:2, Barcelona - Kopenhaga 4:1, Bayer - Villarreal 3:0, Benfica - Real 4:2, Borussia - Inter 0:2, Club Brugge - Marsylia 3:0, Eintracht - Tottenham 0:2, Liverpool - Karabach 6:0, City - Galatasaray 2:0, Napoli - Chelsea 2:3, PSV - Bayern 1:2, Pafos - Slavia 4:1, PSG - Newcastle 1:1, USG - Atalanta 1:0.

Rozstawienie przed losowaniem barażu: Real Madryt/Inter Mediolan-Bodo/Benfica, PSG/Newcastle - Monaco/Karabach, Juventus/Athletic - Club Brugge/Galatasaray, Atalanta/Leverkusen - Borussia Dortmund/Olympiakos.

Zieliński nie zagra w finale debla AO, ale zainkasował w Melbourne 354 500 zł

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Jan Zieliński w podłym nastroju opuścił Melbourne. Polak i Brytyjczyk Luke Johnson odpadli w półfinale debla w Australian Open.

W Melbourne polsko-brytyjski duet wyeliminował cztery przeszkody. Piąta okazała się jednak za silna. Po blisko dwugodzinnej batalii na korcie centralnym - Rod Laver Arenie - Jan Zieliński i Luke Johnson ulegli w półfinale Australijczykom Jasonowi Kublerze i Markowi Polmansowi 2:6, 6:3, 3:6.

- Daliśmy przeciwnikom wejść sobie na głowę. Nie wykorzystaliśmy break pointa, który mógł dać nam powrót. Trochę pechowo ułożył się ten punkt - narzekał polski deblista w rozmowie z Eurosportem.

Z Johnsonem pierwszy raz zagrał w turnieju tej rangi i optymistycznie patrzy na następne miesiące występów w parze z Brytyjczykiem.

- Na pewno nie jest to zły wynik - półfinał wielkoszlemowego turnieju w drugim wspólnym występie - ale dziś boli i będziemy wyjeżdżać, przynajmniej ja będę, bardziej zasmuceni niż szczęśliwi w najbliższych kilku dniach - skwitował.

Za dojście do półfinału Polak i Brytyjczyk otrzymali 190 tysięcy dolarów do podziału, czyli po 95 tysięcy USD na głowę. Zieliński więc zarobił za udział w grze podwójnej mężczyzn turnieju w Melbourne niemal 300 tysięcy złotych plus 54,5 tys. zł za występ w pierwszej rundzie miksta z Tajwanką Hsieh Su-wei, z którą wygrał AO w 2024 roku. W pierwszym tegorocznym szlemie zainkasował więc 354 500 złotych brutto.

W deblu największym wielkoszlemowym sukcesem tenisty z Warszawy pozostaje finał Australian Open 2023, kiedy w parze z Monakijczykiem Hugo Nysem przegrali z Kublerem i jego rodakiem Rinkym Hijiką.

©P



FOT. EPA/PAP

Jan Zieliński (u góry z prawej) i Luke Johnson ulegli w 1/2 finału debla AO Jasonowi Kublerze i Markowi Polmansowi

Prognozy na ekstraklasę, która wraca na boiska. Nie tylko pogodowe

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Długo wydawało się, że mecze 19. kolejki ekstraklasy nie będą zagrożone, ale zimowa aura skłania do rozważenia nie tylko optymistycznego scenariusza na pierwszy piłkarski weekend w Polsce.

Nadchodzące dni zapowiadają się na bardzo mroźne w całym kraju. Kalendarz futbolowy w roku mundialu jest jednak mocno napięty i nie ma możliwości, aby piłkarze

PKO BP Ekstraklasy nie wybudzili się z zimowego snu już teraz.

Prezes Pogoni Szczecin Alex Haditaghi domagał się odwołania wszystkich meczów, ale dyrektor operacyjny spółki Ekstraklasa Marcin Stefański dał jasną wykładnię obowiązujących przepisów. - Jest ogólne zalecenie, że jeżeli temperatura spadnie poniżej -15 stopni, a odczuwalna poniżej -27 stopni, to mecze co do zasady nie powinny być rozgrywane w takich warunkach - powiedział w „PS”.

Prognozowane temperatury w porach weekendowych meczów 19. kolejki PKO BP Ekstraklasy:

piątek:
Lublin: -1 st. C (odczuwalna -6 st. C),
Radom: -8 (odczuwalna -14).

sobota:
Zabrze: -4 (odczuwalna -12),
Łódź: -10 (odczuwalna -19),
Poznań: -10 (odczuwalna -19).

niedziela:
Lublin: -13 (odczuwalna -18),
Płock: -13 (odczuwalna -19),
Warszawa: -13 (odczuwalna -19).

Zakładając, że wszystkie spotkania odbędą się zgodnie

z planem i ewentualne problemy z terminowym rozegraniem zimowych kolejek nie zaburzą rytmu rozgrywek, bukmacherzy - którzy rzadko mylą się przy takich typowaniach - przed startem rundy wiosennej na głównych faworytów do mistrzostwa Polski wskazali broniący tytułu Lech Poznań i wicemistrza z poprzedniego sezonu - Raków Częstochowa.

Według tego grona ekspertów realne szanse na tytuł ma jeszcze białostocka Jagiellonia, nie zaś przewodzące aktualnie

w tabeli Wisła Płock oraz Górnik Zabrze, których notowania na rundę rewanżową są znacznie niższe. Inna sprawa, że przed startem sezonu także (prawie) nikt nie stawiał na „Nafciarzy” i KSG...

W kontekście spadku najmniejszych szans u „buków” ma - wbrew pozorom i oczekiwaniom kibiców jej najgroźniejszych konkurentów - stołeczna Legia, która utknęła na przedostatnim miejscu, lecz Bruk-Betowi Termalicy Nieciecza. A jak będzie na mecze sezonu, przekonamy się 24 maja.

Godzinowy program pierwszej tegorocznej serii spotkań:

piątek, 30 stycznia:
18:00 Zagłębie Lubin - GKS Katowice,
20:30 Radomiak Radom - Arka Gdynia.

sobota, 31 stycznia:
14:45 Górnik Zabrze - Piast Gliwice,
17:30 Widzew Łódź - Jagiellonia Białystok,
20:15 Lech Poznań - Lechia Gdańsk.

niedziela, 1 lutego:
12:15 Motor Lublin - Pogoń Szczecin,
14:45 Wisła Płock - Raków Częstochowa,
17:30 Legia Warszawa - Korona Kielce.

poniedziałek, 2 lutego:
19:00 Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Cracovia.
©P

Arka wzmocniona. Chce wiosną być bardziej powtarzalna

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Arka Gdynia jest już przygotowana do rozpoczęcia rywalizacji z rundzie rewanżowej w PKO Ekstraklasie. W piątek zagra na wyjeździe z Radomiakiem Radom.

Żółto-niebiescy znajdują się poza strefą spadkową i od początku sezonu głównym celem jest pozostanie w krajowej elicie. Oczywiście drużyna z Gdyni po to została wzmocniona zimą, żeby nie drzeć o utrzymanie do końca sezonu, ale zapewnić je sobie szybciej.

W składzie pierwszego zespołu doszło do kilku zmian kadrowych. To ma sprawić, że Arka będzie silniejsza. Czy tak stanie się faktycznie i czy nowi piłkarze będą wzmocnieniem, a nie uzupełnieniem składu pokaże dopiero rywalizacja na boisku w PKO Ekstraklasie.

Z Arki odeszli zawodnicy, którzy nie mieli dużego wpływu na grę zespołu i osiągnięte wyniki. Julien Celestine zaczął rozgrywki w pierwszym składzie, ale po fatalnym meczu z Zagłębiem w Lubinie

przestał pojawiać się w składzie. Od października już nie grał. Jego odejście było zatem zrozumiałe, bo w Arce dbają o budżet. Jeden zawodnik musiał się rozstać z żółto-niebieskimi, żeby można było sprowadzić kogoś innego. Nic do gdyńskiego zespołu nie wniosł Diego Percan. Napastnik z Hiszpanii nie strzelił ani jednego gola i z nim także klub z Gdyni rozwiązał kontrakt za porozumieniem stron. Ponadto decyzją trenera Dawida Szwargi wolną rękę w szukaniu nowych klubów dostali Adam Ratajczyk, Szymon Sobczak i Przemysław Stolec. Tylko ten ostatni znalazł nowego pracodawcę i związał się kontraktem z Olimpią Grudziądz. Ponadto dwóch zawodników zostało przewidzianych do wypożyczenia, aby mogli grać regularnie i się rozwijać. Hide Vitalucci nie strzelił przez najbliższe pół roku grać będzie w pierwszoligowej Polonii Warszawa, a Marcel Predenkiewicz wciąż szuka sobie klubu.

Kto do zespołu Arki trafił w zamian? Nowym napastnikiem został Vladislavs Gutkovskis, który grał już w polskiej PKO Ekstraklasie w barwach Bruk-Betu Termaliki Nieciecza

ARKA GDYNIA							
nr	imie	nazwisko	data urodzenia	wzrost/waga	występv/gole	wartość w euro	kontrakt do
Bramkarze							
1	Jedrzej	Grobelny	28.06.2001	188/80	40/0	150 tys.	30.06.2026
30	Kacper	Kzepisz	16.12.1999	190/83	1/0	50 tys.	30.06.2026
77	Damian	Weslarz	21.03.1996	189/81	55/0	400 tys.	30.06.2026
Obroncy							
3	Serafin	Szota	04.03.1999	186/80	86/2	300 tys.	30.06.2026
4	Dominick	Zator	18.09.1994	188/85	68/1	200 tys.	30.06.2027
23	Kike	Hermosa (Hiszpania)	10.08.1999	190/76	14/0	400 tys.	30.06.2026
29	Michał	Marcjanił	15.12.1994	186/79	105/4	300 tys.	30.06.2026
33	Dawid	Abramowicz	16.05.1991	186/76	148/12	100 tys.	30.06.2026
94	Dawid	Gojny	31.08.1994	179/76	7/0	250 tys.	30.06.2026
Pomocnicy							
2	Marc	Navarro (Hiszpania)	02.07.1995	188/79	18/1	400 tys.	30.06.2026
6	Luis	Perea (Hiszpania)	25.08.1997	192/80	9/1	250 tys.	30.06.2027
7	Oskar	Kubiak	25.09.2006	176/73	0/0	50 tys.	30.06.2028
8	Alassane	Sidibe (Wybrzeże Kości Sł.)	09.06.2002	177/71	15/0	350 tys.	30.06.2027
9	Tornike	Gaprindaszwili (Gruzja)	20.07.1997	171/64	40/2	300 tys.	30.06.2026
10	Aurelien	Ngulamba (Kamerun)	18.01.1999	179/73	45/0	400 tys.	30.06.2027
11	Dawid	Kocyla	23.07.2002	180/66	97/10	350 tys.	30.06.2026
27	Joao	Oliveira (Szwajcaria, Portugalia)	06.01.1996	177/69	29/3	250 tys.	30.06.2026
35	Kamil	Jakubczyk	10.08.2004	182/72	234/23	700 tys.	30.06.2027
37	Sebastian	Kerk (Niemcy)	17.04.1994	182/74	54/4	350 tys.	30.06.2027
Napastnicy							
19	Vladislavs	Gutkovskis (Łotwa)	02.04.1995	187/82	148/35	400 tys.	30.06.2027
21	Patryk	Szys	01.04.1998	177/70	109/23	350 tys.	30.06.2026
31	Nazarij	Rusyn (Ukraina)	25.10.1998	177/68	11/1	800 tys.	30.06.2026
99	Edu	Espiau (Hiszpania)	19.12.1994	185/77	16/5	400 tys.	30.06.2026

Sztabszoleniowy: Dawid Szwarga (trener), Tomasz Włodarek (I asystent), Jakub Frydrych, Rafał Figiel (asystenci trenera), Łukasz Radzimiński (trener przygotowania motorycznego i diagnostyki), Kamil Migdał (trener przygotowania motorycznego), Maciej Borowski (trener bramkarzy), Łukasz Wróbel, Oskar Formella (analitycy), Michał Ostrowski (lekarz, szef działu medycznego), Krystian Czapiewski (koordynator sztabu fizjoterapeutów), Filip Żmijewski, Dawid Machalewski (fizjoterapeuta), Mateusz Gołaszewski (specjalista odnowy biologicznej), Katarzyna Przewódka (dietetyk), Daniel Krokosz (psycholog), Tomasz Plaskaty (kierownik drużyny). **Przybyli:** Vladislavs Gutkovskis (Daejeon Citizen), Serafin Szota (Śląsk Wrocław), Oskar Kubiak (Sokol Kleczew, powrót z wypożyczenia). **Ubyli:** Julien Celestine (Jeju FC), Diego Percan (Cordoba CF), Przemysław Stolec (Olimpia Grudziądz), Hide Vitalucci (Polonia Warszawa, wypożyczenie), Marcel Predenkiewicz, Adam Ratajczyk, Szymon Sobczak (szukają klubów)

oraz Rakowa Częstochowa i powinienem dać znacznie więcej niż Percan. Jeśli chodzi o środek obrony lukę po odejściu Francuza ma wypełnić Serafin Szota, który został pozyskany ze Śląska Wrocław. Trener Szwarga chciałby jeszcze wzmocnić tę formację i wciąż liczy na to, że uda się

wypożyczyć Ariela Mosóra z Rakowa Częstochowa.

Wreszcie trzecim nowym piłkarzem jest Oskar Kubiak i z młodym skrzydłowym kibice Arki wiążą duże nadzieje. Kubiak pokazał w Sokole duże możliwości i w 18 meczach ligowych strzelił 14 goli i zanotował cztery asysty. To oczy-

wiście nie ubiegło uwadze Dawida Szwargi. Ale za przedwczesny powrót - Arka musiała zapłacić. Teraz ma być dla zespołu żółto-niebieskich wartością dodaną.

Styl gry Arki i ustawienie taktyczne specjalnie raczej się nie zmienia. Musi być jednak większa powtarzalność, aby

drużyna regularnie punktowała. Nie tylko w Gdyni, ale także na wyjazdach. Właśnie mecze na boiskach rywali były problemem, bo żółto-niebiescy z delegacji przywieźli zaledwie jeden punkt. To wymaga szybkiej poprawy. Kolejną rzeczą do naprawy była jakość w ofensywie. W rundzie jesiennej Arka zdobyła 15 goli, czyli najmniej ze wszystkich zespołów w PKO Ekstraklasie. Lepiej wyglądały pod tym względem sparingi w Turcji, gdzie w czterech meczach żółto-niebiescy zdobyli 11 goli i teraz kluczowe jest, aby tak samo skutecznie grać w meczach o punkty w krajowej elicie.

- To elementy, które musimy poprawić, żeby być lepszym zespołem w tych aspektach. Konsekwentna, codzienna i systematyczna praca u podstaw może nam pomóc zmienić sytuację. Kolejny krok, to musimy i chcemy prezentować się lepiej w meczach wyjazdowych. Musimy uzyskać powtarzalność w rundzie rewanżowej i wtedy będziemy w stanie wygrywać seryjnie, a nie tylko incydentalnie - mówił w wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego” trener Dawid Szwarga. ©®

Lechia nie szalała na rynku transferowym. Ma być stabilna

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk zaczyna rundę wiosenną w PKO Ekstraklasie. Wiosenną na razie tylko z nazwy, bo za oknami klimat jest zdecydowanie zimowy.

Biało-zieloni na koniec poprzedniego roku uciekli ze strefy spadkowej i teraz chcą już tylko pięć się w górę ligowej tabeli, żeby szybko zapomnieć o rywalizacji o utrzymanie w krajowej elicie.

W rundzie rewanżowej kibice zobaczą gdańską drużynę praktycznie w tym samym składzie, co jesienią. Biało-zieloni nie planowali zresztą dużych ruchów transferowych w trosce o utrzymanie się budżetu.

Dla Lechii najważniejsze było, żeby zachować kluczowych piłkarzy i tuż przed startem rundy rewanżowej to się udało. Tomasz Bobcek, Camilo Mena czy Iwan Żelizko nadal będą w głównej mierze stanowić o boiskowej jakości biało-zielonych. I nie da się ukryć, że to jest wysoka jakość piłkarska. Bobcek to lider klasyfikacji strzelców w PKO Ekstraklasie, Mena jest bardzo szybkim zawodnikiem dającym gole i asysty, a Żelizko nadaje rytm gry drużynie w środku pola,

a do tego dysponuje fantastycznym strzałem z dystansu.

Podopieczni trenera Johna Carvera prezentowali świetną skuteczność w końcówce poprzedniego roku w PKO Ekstraklasie. W dwóch ostatnich meczach ligowych z Bruk-Betem Termaliką Nieciecza i Górnikami Zabrze strzelili po pięć goli, a w czterech ostatnich spotkaniach zdobyli 14 bramek. W sparingach w Turcji tak dobrze nie było, bo w czterech spotkaniach biało-zieloni zdobyli pięć goli, chociaż stwarzali bardzo dużo sytuacji bramkowych. To jest do poprawy, ale w meczach o ligowe punkty powinno być już lepiej w kwestii zdobywania bramek.

- Stworzyliśmy tyle sytuacji w ostatnim sparingu, że mogliśmy wygrać pięć spotkań. Myślę, że mieliśmy ich więcej niż w trzech poprzednich meczach. Jest dobrze pod kątem kreowania sytuacji, ale jest jeszcze wiele rzeczy do poprawy. Przede wszystkim proste rzeczy, czyli podania na pięć, dziesięć, dwadzieścia metrów - mówił trener Carver.

Wracając do transferów, to Lechia zimą nie była aktywna na rynku. Do drużyny dołączyło tylko dwóch młodych zawodników, którzy mają talent

i będą chcieli się pokazać. Zmarzszu jednak nie wskoczą do podstawowego składu i nie będą kluczowymi postaciami w zespole z Gdańska. Najpierw do drużyny dołączył młody skrzydłowy, Igor Bambecki, który został pozyskany z Polonii Nysa. Już podczas zgrupowania w Turcji sprowadzony został młodzieżowy reprezentant Kosowa, Indrit Marvaj, który ostatnio reprezentował barwy włoskiego klubu SSC Bari. Lechia zdecydowała się na środkowego obrońcę, bo musi mieć alternatywę przy urazie barku Maksyma Diaczuka. I to nawet pomimo tego, że zawodnik z Ukrainy do połowy lutego powinien dojść do zdrowia. Przyszedł na tyle późno, że nie zdążył zaprezentować się w żadnym meczu sparingowym. Do tego wrócił z wypożyczenia Karl Wendt, ale nie ma pewności, że zostanie w zespole biało-zielonych. Może być i tak, że młody Szwed uda się na kolejne wypożyczenie.

Kto odszedł zimą z Lechii? W drużynie nie ma już środkowego obrońcy Eliasa Olssona, który był kluczowym piłkarzem zespołu, który wywalczył awans do PKO Ekstraklasy. W elicie nie wywalczył sobie

miejsca w składzie. Elias został wypożyczony do końca sezonu do Wieczystej, a klub z Krakowa zagwarantował sobie w umowie prawo wykupu tego piłkarza. W zespole biało-zielonych nie zagra już Mohamed Awad Alla, którego wypożyczenie - za zgodą klubów i samego piłkarza - z Al-Ain zostało skrócone. Z Lechią rozstał się Bar-

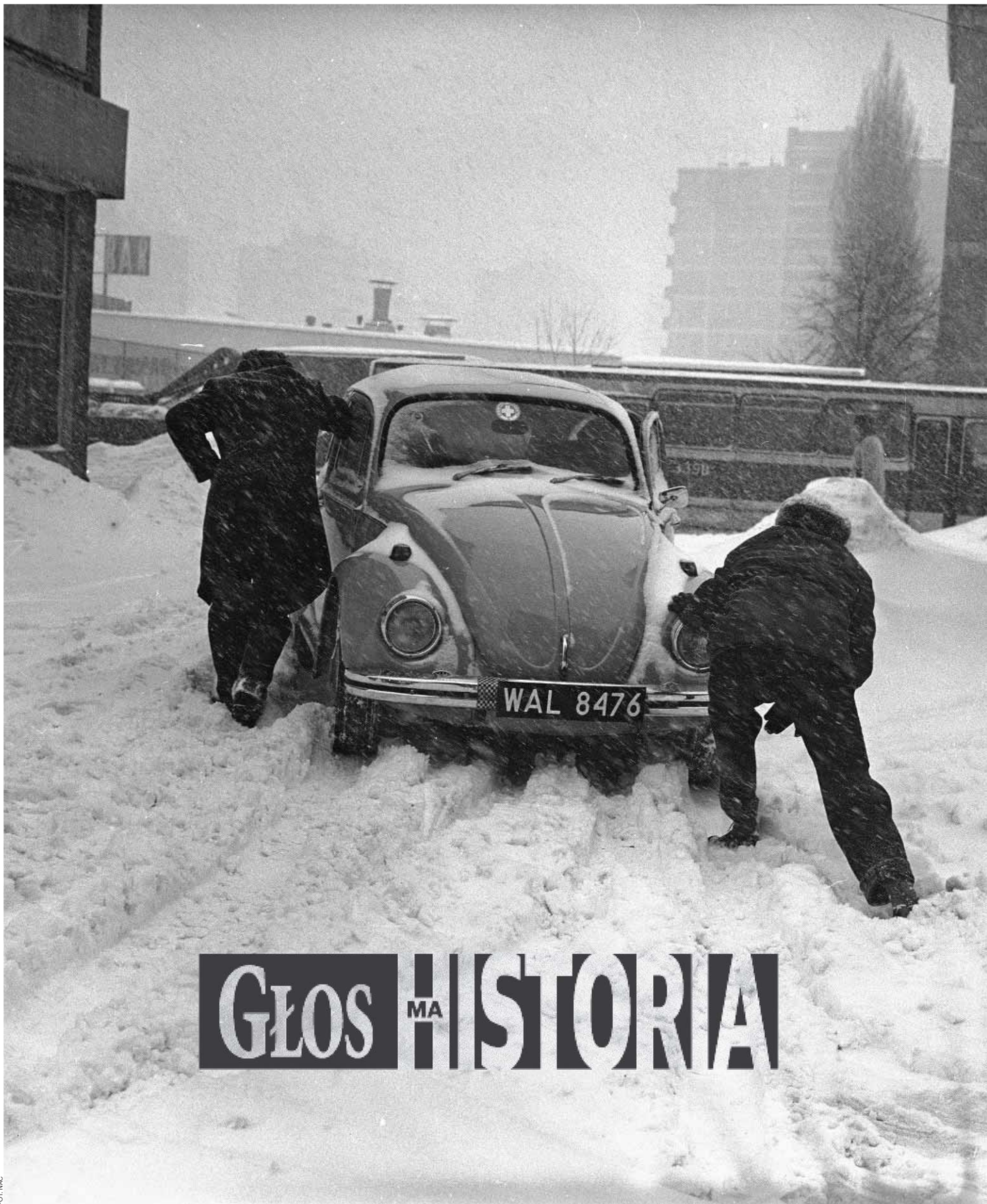
tosz Brzęk, który teraz grać będzie w Olimpii Grudziądz. Z kolei Bartosz Szczepankiewicz, który jesienią zadebiutował w PKO Ekstraklasie trafił na wypożyczenie do Sokola Kleczew, gdzie będzie mógł liczyć na bardziej regularne występy, a dzięki temu się rozwijać.

Lechia nadal będzie chciała być zespołem, który potrafi cie-

szyć widzów swoją grą, kreuje okazje bramkowe i prezentuje skuteczny futbol. Jednocześnie biało-zieloni chcą na tyle poprawić organizację gry pod kątem defensywy, aby już nie tracić tak dużo goli. Dzięki temu biało-zieloni mają więcej meczów wygrywać i bardziej regularnie zdobywać punkty. ©®

LECHIA GDAŃSK							
nr	imie	nazwisko	data urodzenia	wzrost/waga	występv/gole	wartość w euro	kontrakt do
Bramkarze							
1	Szymon	Weirauch	05.03.2004	190/76	36/0	500 tys.	30.06.2029
18	Alex	Paulsen (Nowa Zelandia, RPA)	04.07.2002	184/82	9/0	750 tys.	30.06.2026
29	Bohdan	Sarnawskvi (Ukraina)	29.01.1995	187/75	15/0	200 tys.	30.06.2026
Obroncy							
2	Bartłomiej	Kłudka	14.05.2002	186/72	85/3	450 tys.	30.06.2029
4	Bujar	Pilana (Kosowo)	29.10.2001	187/81	33/1	300 tys.	30.06.2028
15	Maksym	Diażuk (Ukraina)	21.07.2003	187/84	16/1	1,2 mln	30.06.2026
16	Alvis	Jaunzems (Łotwa)	16.06.1999	179/76	66/2	400 tys.	30.06.2027
23	Miłosz	Kalatur	29.06.1999	175/70	29/0	200 tys.	30.06.2026
27	Matusz	Vojtko (Słowacja)	05.10.2000	176/76	16/1	550 tys.	30.06.2028
33	Tomasz	Wojtowicz	19.12.2003	180/73	57/3	350 tys.	30.06.2027
76	Indrit	Mavraj (Kosowo, Szwajcaria)	23.01.2006	195/84	0/0	100 tys.	30.06.2030
80	Matej	Rodin (Chorwacja)	13.02.1996	193/80	109/5	400 tys.	30.06.2026
Pomocnicy							
5	Iwan	Żelizko (Ukraina)	12.02.2001	186/76	40/7	2 mln	30.06.2028
6	Karl	Wendt (Szwecja)	05.07.2005	183/68	13/1	300 tys.	30.06.2028
7	Bohdan	Wjunnyk (Ukraina)	21.05.2002	185/80	48/10	1 mln	30.06.2028
8	Aleksandar	Cirkovic (Serbia)	21.09.2001	180/75	9/1	1,5 mln	30.06.2026
10	Rifat	Kapic (Bośnia i Hercegowina)	03.07.1995	179/74	50/6	800 tys.	30.06.2027
11	Camilo	Mena (Kolumbia)	01.10.2002	175/69	49/7	3 mln	30.06.2028
17	Anton	Carenko (Ukraina)	17.06.2004	162/58	31/2	400 tys.	30.06.2026
49	Igor	Bambecki	06.02.2005	180/67	0/0	50 tys.	30.06.2030
79	Kacper	Sezonienko	23.03.2003	190/80	95/8	700 tys.	30.06.2027
99	Tomasz	Neugebauer	08.05.2003	180/75	48/2	550 tys.	30.06.2027
Napastnicy							
21	Michał	Glogowski	04.08.2005	190/82	17/1	200 tys.	30.06.2028
77	Dorian	Sinkiewicz	31.01.2009	195/2	0/0	50 tys.	30.06.2028
89	Tomasz	Bobcek (Słowacja)	08.09.2001	186/76	33/20	5 mln	30.06.2027
90	Dawid	Kurminowski	24.02.1999	182/73	82/22	300 tys.	30.06.2028

Sztabszoleniowy: John Carver (trener), Radosław Bella (I asystent), Jordan Tait, Łukasz Gajowniczek (asystenci trenera), Mariusz Szymkiewicz (trener przygotowania fizycznego), Łukasz Skowron (trener bramkarzy), Maciej Majdowski (analityk), Radosław Regliński (trener przygotowania motorycznego), Szymon Kaluza (szef działu medycznego), Jakub Cichocki, Michał Serwiński (fizjoterapeuta), Dawid Pajor (kit manager), Łukasz Sikorski (kierownik drużyny). **Przybyli:** Igor Bambecki (Polonia Nysa), Indrit Mavraj (Bari). **Ubyli:** Elias Olsson (Wieczysta Kraków), Mohamed Awad Alla (Al-Ain), Bartosz Szczepankiewicz (Sokol Kleczew)



GŁOS MA HISTORIA

Zimy stulecia w PRL-u. Jej obecny atak przy nich to pestka. To był śniegowy paraliż

Dorota Kowalska
dorota.kowalska@polskapress.pl

Do Polski nieśmiało przychodzi zima, która przyniosła ochłodzenie i znikome opady śniegu. Końcówce roku daleko jednak do największych załamań pogody w Polsce. Najgorzej było w 1979 roku,

20 stopni Celsjusza poniżej zera i śniegu po dachy samochodów. Dziś takie zimy w Polsce to ogromna rzadkość. W XX wieku meteorolodzy odnotowali kilka takich zim. Pierwszą na przełomie 1928/29, a ostatnią w latach 1986/1987. Jednak to właśnie zima 1978/79 zaczęła się dokładnie o tej porze, na przełomie grudnia i stycznia. Nad Górny Śląsk dotarła 30 grudnia. Choć początkowo mówiło się, że będzie to zima raczej łagodna, częściej padał deszcz niż śnieg, a w Święta Bożego Narodzenia temperatura utrzymywała się jeszcze powyżej zera.

Jednak w nocy z 29 na 30 grudnia zaczęły napływać mroźne masy powietrza z północy. Dotychczasowe opady deszczu zaczęły przechodzić w śnieg z deszczem i śniegiem.

Opady śniegu nasilały się, wiał silny wiatr. Sypało praktycznie przez cały Sylwester 1978, a 1 stycznia 1979 roku cały kraj był już sparaliżowany przez zaspy i kilkunastostopniowy mróz. Zdarzało się, że jak ktoś wyjechał na imprezę sylwestrową samochodem, to nie mógł wrócić do domu, bo auto całe zasypało. Gazety donosiły, że jeszcze 2 stycznia było uwię-



FOT. NAC



FOT. NAC

zionych w ten sposób kilkaset aut.

Zamarzały zwrotnice kolejowe, od mrozu pękały szyny, w niektórych regionach kraju wprowadzono stan klęski żywiołowej. Do ciepłowni nie docierały regularnie dostawy węgla. Trzeba było rozbijać ciężkim sprzętem zapasy surowca zalegające na hałdach.

Przestały także kursować PKS-y, do odśnieżania dróg i chodników wzywani byli obywatele. Z dróg ubite warstwy śniegu i lodu zrywały pojazdy gąsienicowe. Dzieci przestały chodzić do szkoły, decyzją władz przedłużono bowiem ferie do odwołania.



FOT. NAC



FOT. NAC



FOT. NAC



FOT. NAC

Franciszek Mróz. Skazany Sprawiedliwy

Roman Gieroń

12 maja 1951 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie skazał na karę śmierci Franciszka Mroza, byłego dowódcę Oddziału Partyzanckiego AK „Żółw”, który po wojnie zaangażował się w działalność podziemia niepodległościowego. Podczas procesu kilku ocalałych z zagłady Żydów próbowało uratować mu życie, opowiadając jak on sam uratował ich życie w czasie niemieckiej okupacji

Akt oskarżenia sporządzony przez oficera śledczego WUBP w Krakowie w sprawie Józefa Miki i Franciszka Mroza został zatwierdzony przez prokuratora Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Krakowie 4 kwietnia 1951 r. Mrozowi zarzucano m.in., że „W okresie od miesiąca czerwca 1946 r. do dnia 11 października 1950 r. na terenie pow. myślenickiego, limanowskiego i bocheńskiego czynił usiłowania do zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego przez branie udziału w bandzie »WiN«, a następnie w bandzie o nieustalonej nazwie”. Oskarżano go o popełnienie szeregu czynów opisanych w Kodeksie Karnym Wojska Polskiego z 1944 r. oraz w dekrecie o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa z dnia 13 czerwca 1946 r.

Franciszek Mróz urodził się w 1910 r. w Skrzynce, wsi położonej trzy kilometry na wschód od Dobczyc. Brał udział w kampanii wrześniowej. W 1942 r. został żołnierzem AK. Wkrótce stanął na czele oddziału partyzanckiego „Żółw”, z którym dołączył do Zgrupowania „Kamienik” obwodzonego w czasie akcji „Burza” walki otrzymał Krzyż Walecznych, w ostatniej z potyczek został ranny w rękę. Po wojnie i rekonwalescencji zaangażował się w działalność podziemia niepodległościowego. Na polecenie byłego dowódcy z AK Juliusza Oczko „Podkowy”, wówczas działacza WiN, w połowie 1946 r. stworzył niewielki oddział partyzancki o charakterze samoobrony. Posługiwał się nowym pseudonimem – „Bóbr”. Oddział ten przeprowadzał akcje wymierzone w osoby związane z reżimem komunistycznym, zapew-



Franciszek Mróz, zdjęcie wykonane po aresztowaniu przez UB

niał bezpieczne miejsce schronienia dla poszukiwanych przez funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, prowadził akcje informacyjne przeciwko propagandzie komunistycznej oraz przeciwdziałal pospolitemu bandytyzmowi. Oddział „Bobra” bywa zaliczany do grup określanych mianem Ruchu Oporu Armii Krajowej. Jego żołnierze mieli zabezpieczać akcję rozbicia więzienia św. Michała w Krakowie w sierpniu 1946 r. Nie prowadził jednak walki zbrojnej na szerszą skalę.

W wyniku działalności agentury i funkcjonariuszy UB, jesienią 1946 r. doszło do aresztowania szeregu podkomendnych Mroza. Nie ujęto jednak dowódcy, który rok później związał swoje losy z Józefem Miką „Wrzosem”, dawnym zastępcą Jana Dubaniowskiego „Salwy” z oddziału „Żandarmeria” NSZ. Obaj musieli się ukrywać. Współtworzyli już nie tyle oddział, co grupę przetrwania, skupiającą się głównie na przeprowadzaniu akcji aprotawizacyjnych, które umożliwiały im przeżycie. Mika i Mróz zostali aresztowani w październiku 1950 r., pięć lat po zakończeniu wojny. W celu ich ujęcia bezpieka wykorzystała agenta, który podawał się za łącznika z Zachodem.

Proces

Rozprawa przed Wojskowym Sądem Rejonowym (WSR) w Krakowie trwała pięć

dni, od 7 do 11 maja 1951 r. Przewodniczącym składu orzekającego był kpt. Tadeusz Makowski – jeden z ówczesnych „prawników z awansu”. Miał 29 lat i nie ukończył jeszcze studiów prawniczych. Mimo tego od kilku miesięcy pełnił już funkcję sędziego WSR. Wcześniej pracował w nim jako asesor. Obrońcą Mroza został natomiast dr Karol Buczyński (vel Pohoriles/Pohoryles), który studia prawnicze ukończył na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Był przedwojennym prawnikiem i posiadał doświadczenie zawodowe – na marginesie warto dodać, że w czasie niemieckiej okupacji przez pewien okres czasu pełnił funkcję przewodniczącego Rady Żydowskiej (Judenratu) w Tarnopolu.

W pierwszym dniu rozprawy sądowej Buczyński wniósł wniosek dowodowy o wezwanie osiemnastu świadków obrony. Większość z nich miała zeznawać o wsparciu udzielanym przez oskarżonego Mroza ludności żydowskiej, zarówno w czasie okupacji, jak i po jej zakończeniu. Według obrońcy przeprowadzenie wskazanych dowodów miało wpłynąć na „treść orzeczenia o karze”. Sąd odmówił jednak wezwania świadków obrony tłumacząc to tym, „że okoliczności zawarte w pisemnym wniosku mają charakter opiniodawczy i nie dotyczą przedmiotu oskarżenia”.

Trzy dni po ogłoszeniu kary śmierci, do WSR w Krakowie wpłynęło pismo Buczyńskiego, w którym zwracał się on z prośbą o darowanie życia skazanemu. Były do niego dołączone oświadczenia ocalałych z zagłady z rodzin Jakubowiczów, Federgrünów i Münzerów, czyli Jana Mierzeńskiego (vel Izaaka Federgrüna), Marii Zdebskiej (vel Gusty z d. Federgrün) i jej córki Emilii Bergiel (vel Bergel, z d. Münzer) oraz Macieja Jakubowicza i jego żony Marii (z d. Pistol). W okresie niemieckiej okupacji ukrywali się lub byli ukrywani w okolicach Dobczyc przez członków lokalnej społeczności. Wszyscy podpisani wyrażali wdzięczność Mrozowi za okazane im wówczas wsparcie i opowiadali o charakterze udzielonej im pomocy.

Bez Mroza nie żyłbym na świecie

„W czasie wojny w okresie prześladowania Żydów przez Niemców zwróciłem się do swojego znajomego Mroza Franciszka z prośbą o ratunek, gdyż jako Żydowi groziła mi śmierć z ręki Niemców” – czytamy w oświadczeniu, pod którym podpisał się Jan Mierzeński. „Wymieniony Mróz Franciszek – czytamy dalej – ukrył mnie u swojej matki i prawie przez cały okres prześladowania narażając swoje ży-

cie i życie innych domowników, przechowywał mnie w domu swej matki. Równocześnie żywił mnie i dodawał otuchy do przetrwania. Dzisiaj z całą świadomością stwierdzam, że gdyby nie pomoc Mroza Franciszka to nie żyłbym na świecie”. Jan Mierzeński pochodził z Mierzni, wsi położonej sześć kilometrów na wschód od Dobczyc. Dom matki Mroza (Anieli z d. Włodarczyk – powszechnie nazywanej „Krzysztofka”) znajdował się w bliskim sąsiedztwie domu Federgrünów, Bernarda i Salomei, którzy byli rodzicami Jana oraz jego siostr Marii Zdebskiej i Pauliny Mireckiej.

W lipcu 1942 r. ludność żydowska znajdująca się w Mierzni została deportowana przez okupacyjne władze niemieckie do Myślenic. Po kilku dniach Mierzeński wraz z siostrą Marią powrócili do swojej rodzinnej miejscowości, aby się ukrywać. Wraz z Federgrünami pozostał ich najstarszy syn Salomon (jego ojciec był chory i potrzebował opieki). Żydzi skoncentrowani w Myślenicach, po przeniesieniu ich do Skawiny, zostali deportowani do obozu zagłady w Bełżcu pod koniec sierpnia 1942 r. Maria Zdebska, która początkowo była ukrywana przez swojego przyszłego męża Albina Zdebskiego, a następnie przez rodzinę Płaków, w swoim późniejszym zeznaniu podkreślała, iż Mróz pomagał jej „bez-

interesownie sam osobiście lub za pośrednictwem swojej matki. Prócz pomocy materialnej czuwał nad moim bezpieczeństwem, ostrzegając mnie o każdym grożącym mi niebezpieczeństwie i wskazywał sposoby jego uniknięcia”.

Fakt, iż Mróz był dowódcą oddziału partyzanckiego zwiększał szanse na ocalenie ukrywających się na tym terenie Żydów. Poświadczyła to Emilia Bergiel, która pisała, że jako dowódca oddziału AK wziął ich „całkowicie pod swoją opiekę”. Warto dodać, że jej kilkunastoletni brat Aleksander, w przededniu akcji deportacyjnej z Dobczyc (przeprowadzonej 22 sierpnia 1942 r.), został przez Mroza ukryty u Genowefy Misior. Kobieta była jego siostrą, mieszkała w Skrzynce. Mróz przygotował dla niego specjalną kryjówkę i zdobył fałszywe dokumenty. „Dzięki niemu syn mój przetrwał okres okupacji” – pisała matka Emilii i Aleksandra, Paulina Mirecka.

Mróz najprawdopodobniej roztoczył wsparcie nad jeszcze jedną grupą żydowskich uciekinierów, którzy starali się przetrwać w lasach w Kornatce (miejscowości położonej trzy kilometry na południe od Dobczyc). W oświadczeniu Macieja i Marii Jakubowicz przeczytamy, że od 1943 r. ukrywali się „w lasach na terenie Dobczyc wraz z dzieckiem liczącym 3 lata oraz innymi Żydami w ogólnej ilości 9 osób. W okresie tym pomagał nam bezinteresownie Mróz Franciszek dostarczając nam żywność oraz odzież czystą i zawiadamiając nas o każdorazowo grożącym nam niebezpieczeństwie, czym kilkakrotnie uratował nam życie”. Analiza źródeł archiwalnych i literatury pozwala stwierdzić, że w skład wspomnianej grupy żydowskich uciekinierów poza Maciejem, Marią, jej kilkuletnim synem Tadeuszem, wchodzili także członkowie rodzin Pistolów i Nichtbergerów oraz bratanek Macieja, Czesław.

Ekzekucja

Oświadczenia ocalałych z zagłady nie zmieniły losu Franciszka Mroza, który dla władz komunistycznych był wrogiem określanym przez ówczesną propagandę jako „dowódca faszystowskiej bandy »WiN«”, czy „bandyta”. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. 25 czerwca 1951 r. w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie wykonano karę śmierci przez rozstrzelanie. Przytoczone w niniejszym artykule oświadczenia są świadectwem heroicznej postawy żołnierza, którego imię zostało oczyszczone dopiero po upływie czterdziestu pięciu lat. 24 października 1996 r. Sąd Wojewódzki w Krakowie stwierdził nieważność wyroku komunistycznego sądu.

Angielscy przyjaciele Polaków

Maciej Zakrzewski

8 maja 1945 r. skapitulowała III Rzesza. Dla Europy był to koniec niemal sześćoletnich zmagani wojennych, które pochłonęły miliony ofiar cywilnych i wojskowych. Żołnierze wracali do domu. Jednak nie zawsze i nie wszędzie. Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie stanęli przed tragicznym dylematem: wracać do kraju, którego przyszłość rysowała się w coraz ciemniejszych barwach, czy pozostać na Zachodzie, gdzie ich perspektywy również nie napawały optymizmem?

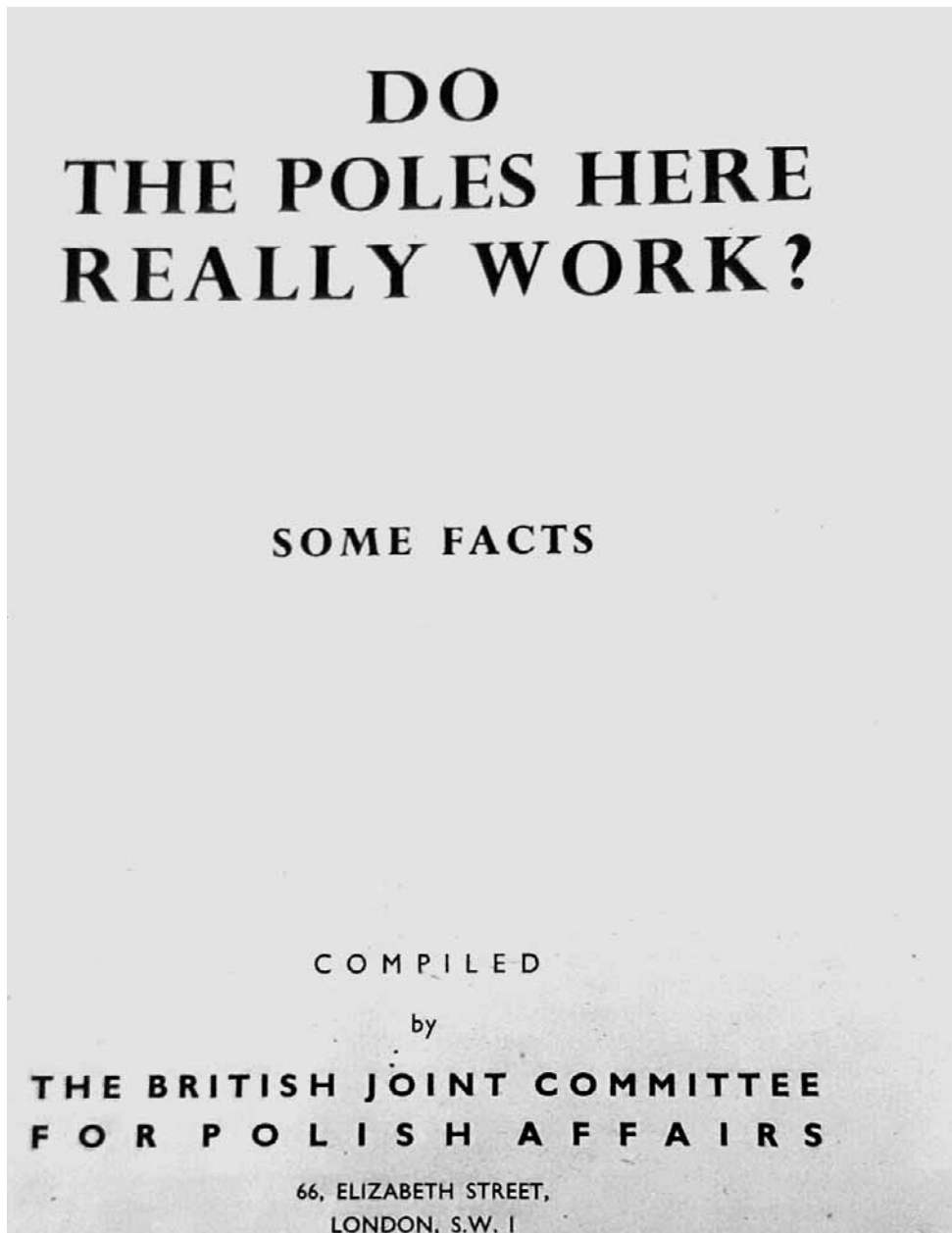
Winston Churchill w sławnej mowie w Izbie Gmin z 27 lutego 1945 r., w której relacjonował postanowienia konferencji jałtańskiej, podkreślał, iż rząd Jego Królewskiej Mości nigdy nie zapomni o długu wobec polskich żołnierzy walczących pod brytyjskim dowództwem. Wyrażał nadzieję, że rząd będzie mógł zaoferować tym, którzy nie będą mogli lub nie będą chcieli wrócić do kraju, obywatelstwo i wolność w ramach Imperium Brytyjskiego. Zaznaczył, że szczegóły wymagają konsultacji, miał jednak nadzieję, iż „Polacy będą mogli zamieszkać wśród nas, jakby byli z naszej krwi”. Wymowy nabiera fakt, że Churchill udzielił tego zapewnienia wbrew głosom płynącym z ministerstwa spraw zagranicznych czy ministerstwa wojny. Ten wielki polityczny realista, w swojej polityce nie kierujący się sentymentami, tutaj jawił się od innej strony. Tuż przed cofnięciem uznania dla Rządu RP na Uchodźstwie i nawiązaniem stosunków z warszawskim Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej (TRJN), mówił, iż rząd Jego Królewskiej Mości jest odpowiedzialny za losy polskich żołnierzy do czasu, aż przyszłość Polski nie zostanie rozstrzygnięta. Przypominamy tylko, że na skutek postanowień konferencji jałtańskiej w Polsce miały odbyć się wolne wybory. Tej nadziei wielu się wciąż trzymało.

Wolne wybory nie odbyły się nad Wisłą, ale miały miejsce w Wielkiej Brytanii. Z końcem lipca Churchill stracił fotel premiera, jego miejsce zajął przedstawiciel Partii Pracy Clement Attlee. Rząd pod jego kierunkiem nie podzielał sentymentu swojego poprzednika i dążył do jak najszybszego porozumienia z TRJN i procesu repatriacji. Z końcem wojny w szeregach PSZ pod brytyjskim dowództwem znajdowało się około 240

tysięcy żołnierzy, do tego należy dodać ponad 30 tysięcy cywilnych pracowników związanych z polską administracją w Anglii. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej nie był skory do kompromisu. Oczekiwał oddania zorganizowanych formacji pod własną komendę, następnie zdecydował, iż każdy żołnierz chętny do powrotu będzie musiał otrzymać za pośrednictwem konsulatu indywidualną zgodę. Brytyjczycy zachęcali do wyjazdu do Polski, jednak ich apele miały ograniczoną skuteczność. Należy podkreślić, że niezależnie od tego, kto stał na czele rządu, zawsze zakładano dobrowolność decyzji. Ostatecznie na Wyspach pozostało po 1946 r. ponad 150 tysięcy Polaków. W kolejnych latach na skutek emigracji, m.in. do Stanów Zjednoczonych, liczba ta spadła do około 130 tysięcy.

Poles go home!

Sytuacja Polaków na Wyspach po zakończeniu wojny i rozwiązaniu PSZ była niezmiennie skomplikowana. Byli to przede wszystkim wojskowi - mężczyźni w wieku produkcyjnym, zazwyczaj bez dobrej znajomości języka angielskiego, którzy ostatnie lata spędzili w warunkach wojennych. W normalnej sytuacji taka demobilizacja zawsze niosłaby ze sobą wiele problemów, a tym bardziej w kraju, w którym pozostawali oni niejako z historycznego przymusu. Ów „naród na wygnaniu” skupiony wokół legalnych władz emigracyjnych był hermetyczny. Polacy nie ubiegali się obywatelstwo brytyjskie. Ci, którzy rozpoczęli proces naturalizacji, skazywali się na środowiskowy ostracyzm. Jednak była to jedna strona zagadnienia, gdyż z drugiej strony społeczeństwo brytyjskie nie rozumiało dlaczego Polacy nie wracają do kraju i nieznosnie przedłużają gościnę. Narastała uczucia wrogości potęgowane przez trudną potężną sytuację gospodarczą. Napisy „Polacy do domu” i „Anglia dla Anglików” zaczęły się masowo pojawiać wokół polskich skupisk tuż po zakończeniu wojny. Odnotowywano liczne przypadki fizycznej napaści, które motywowane były polskim pochodzeniem. Pierwszy antypolski wien miał miejsce w czerwcu 1946 r. w Edynburgu. Nastroje te wspomagala inspirowana z ZSRS propaganda, która otwarcie oskarżała Polaków o „fasyzm” i „obszarnictwo”.



Jedna z ulotek walczących ze stereotypami na temat Polaków w Wielkiej Brytanii, 1949 r.

Rząd angielski widząc wielopozycyjny problem polityczny i społeczny, postanowił powołać jesienią 1946 r. Polski Korpus Rozmieszczenia i Przysposobienia. Była to ochotnicza formacja w ramach armii brytyjskiej, która miała za zadanie przez okres maksymalnie dwóch lat przysposabiać pod względem zawodowym i społecznym byłych żołnierzy PSZ do życia w cywilu. Chodziło o stworzenie stabilnych warunków (w Korpusie otrzymywano regularny żołd) dla wykształcenia nowych kompetencji zawodowych i językowych, dzięki którym po opuszczeniu Korpusu, Polacy nie trafiliby na przysłowiową ulicę. Oprócz tego tworzono cały szereg programów społecznych, które ograniczałyby skutki demobilizacji. Na szeroką skalę organizowano ośrodki mieszkalne i pomniejsze hostele, jadalnie, kursy językowe. Do końca 1949 r. w 36 ośrodkach

mieszkało 16.500 Polaków.

Solidarni

W tych okolicznościach wielkiej wagi nabierały oddolne inicjatywy społeczne, które miały za zadanie przełamywanie barier. Wśród wielu organizacji, jak Polish Relief Fund, najważniejsze były stowarzyszenia anglo-polskie (Anglo-Polish Societies). Należy pamiętać, że nie była to jedna ogólnoangielska organizacja, tylko oddolnie, spontanicznie powstające struktury, np. The Anglo-Polish Society w Londynie, Manchesterze, Nottingham czy Suffolk. Stowarzyszenia nawiązywały do utworzonego w 1832 r. Literary Association of the Friends of Poland. Do roku 1954 na terenie Anglii i Walii istniało około 60 tego typu organizacji, w Szkocji istniały odrębne Scottish-Polish Societies. Jedyną ogólnokrajową strukturą była The Central Council of

Anglo-Polish Societies (Rada Główna), która w latach 50. wydawała własne pismo pt. „Anglo-Polish Review”.

Pierwsze tego typu stowarzyszenia zaczęły powstawać w 1940 r. wraz z przybyciem na Wyspy polskich żołnierzy. Powoływane zazwyczaj były jako inicjatywy lokalnych społeczności w pobliżu stacjonowania polskich jednostek. Paradoksalnie, dopiero po wojnie zaczęły się one zjawiać masowo jako odpowiedź na realny problem społeczny i wzrastającą niechęć angielskiej opinii publicznej wobec gości z przymusu. Jako cele stawiano sobie nie tylko tworzenie powiązań pomiędzy angielską i polską społecznością, ale m.in. przeciwdziałanie aktom wrogości, pośredniczenie pomiędzy Polakami i władzami angielskimi, pomoc w znalezieniu pracy czy organizacji miejsc tymczasowego pobytu. Przedstawiciele poszczególnych Towarzystw,

jak i Rady Główniej, pozostawali w bliskim kontakcie z angielską administracją i ministerstwami, brali czynny udział w praktycznej realizacji pomocy Polakom. Co ważne, rząd angielski dostrzegał rolę pomocy Towarzystw, często podkreślano w dokumentach ich wagę jako wsparcie dla odgórnych działań. Ich aktywność obejmowała nie tylko szeroki zakres: od organizacji wykładów dotyczących Polski i Anglii, imprez kulturalnych, paczek świątecznych dla dzieci, pomocy chorym w szpitalach, po cały szereg inicjatyw związanych z pracą i edukacją. Szczególnie istotne było wsparcie dla hosteli, których sieć powstała w drugiej połowie lat 40., stanowiąc miejsca tymczasowego pobytu dla byłych żołnierzy i ich rodzin. Regułą było, że zarządy poszczególnych stowarzyszeń miały charakter mieszany, zasiadali w nich Polacy i Anglicy, często odnajdujemy w nich przedstawicieli lokalnej arystokracji. Spośród wielkiej ilości działaczy warto wskazać dwóch sekretarzy Rady Centralnej, którzy pełnili rolę animatorów inicjatywy, tj. Herberta Fostera Andersona i Auberona Herberta. Obaj byli wielkimi sympatykami sprawy polskiej w Anglii. Pierwszy z ramienia Polish Relief Fund przebywał na terenie Wileńszczyzny w 1940 r., gdzie organizował pomoc humanitarną dla Polaków. W 1946 r. odbył podróż do Polski i był autorem zbioru reportaży pt. What I saw in Poland in 1946. Drugi natomiast był żołnierzem 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka i przeszedł z nią cały szlak bojowy. Po wojnie poświęcił się pomocy Polakom, Ukraińcom i Białorusinom. Dla tych społeczności, które w Anglii znalazły swój dom, był człowiekiem-institucją.

Z czasem wiele spośród społecznych problemów uległo rozwiązaniu. Polacy znajdowali pracę, hostele opustoszały, nadszedł normalny bieg życia. Działalność towarzystw skupiała się na sprawach kulturalnych, potem zanikła. Polacy wtopili się w angielski krajobraz społeczny. O ile dość łatwo można śledzić moment pojawiania się poszczególnych Towarzystw, zwykle było to anonosowane w prasie, to ich naturalnego kresu nie odnotowywano. W ciągu lat 50. większość z nich zaprzestała działalności, łącznie ze Stowarzyszeniem londyńskim.

Co ciekawe, obecnie istnieją dwa tego typu stowarzyszenia, w Bristolu i Chester, które podtrzymują dawną tradycję dialogu pomiędzy tymi, co są gospodarzami, i tymi, którzy na Wyspach znaleźli nowy dom.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

Premier Pierre Laval i francuska kolaboracja z III Rzeszą

Dorota Kowalska
dorota.kowalska@polskappress.pl

15 października 1945 r., o godz. 12.32 stracono Pierre'a Laval, premiera Francji w okresie rządów Vichy. Jego śmierć była elementem rozliczeń z francuską kolaboracją z Niemcami

Śmierć Laval, który umierał ze słowami: „Niech żyje Francja!”, rozpoczęła falę dyskusji o roli Francji w prohitlerowskiej polityce, o jej udziale w Holokauście, a także o samym Lavalu. Czy był winny, czy stał się kozłem ofiarnym, na którego można było zważyć „wszystkie winy, wszystkie grzechy, wszystkie świństwa”.

Lavalowska realpolitik

Dziś we Francji Laval ma spore grono obrońców, podkreślających że był postacią nie tyle kontrowersyjną, co wręcz tragiczną. Po upadku Francji w czerwcu 1940 r. zaangażował się w budowanie marionetkowej Republiki Vichy, kolaborującego z Niemcami państwa zarządzanego przez Philippe'a Pétain.

Przez lata sprzyjał okupantowi, nawet nie stwarzając pozorów antyniemieckiego oporu. W czerwcu 1942 r., w słynnym przemówieniu radiowym skierowanym do narodu francuskiego, zachęcał rodaków do zgłaszania się na roboty do Niemiec, a jednocześnie publicznie zapewniał o francusko-niemieckiej przyjaźni, życząc III Rzeszy sukcesów na frontach.

Wydawać by się mogło, że ocena jego działań powinna być oczywista. On sam obrał po wojnie typową dla tamtego okresu linię obrony, twierdząc, iż jego postawa „wymagała niezwykłego poświęcenia, a wszystko, co uczynił, robił w trosce o dobro Francji i Francuzów”. Brak kolaboracji z Niemcami - argumentował - miałby bowiem ściągnąć na Francuzów zwiększone represje. Tymczasem Republika Vichy mogła się cieszyć sporym stopniem niezależności.

Francja podzielona

Laval został pochowany w nieoznaczonym grobie na cmentarzu w Thiais, ale już w listopadzie 1945 r. przeniesiono go na paryski Cmentarz Montparnasse. Był jedynym francuskim premierem, który został stracony. Ale wciąż o nim pamiętano, szczególnie w środowiskach prawniczych,



Dwaj liderzy Vichy: marszałek Philippe Pétain i Pierre Laval, 1942 r. Obaj zostali skazani na karę śmierci, ale Pétain ostatecznie dostał dożywocie

a jego rodzina bezskutecznie przez kilkadziesiąt lat starała się o zrewidowanie wyroku.

W lewicowo-liberalnym francuskim establishmentie postać Laval'a to jednak symbol kolaboracji. Zaś do obowiązków historyków, nie tylko francuskich, należy niejako rytualne potępienie jego poczynań. Prof. Jerzy Eisler w książce poświęconej marszałkowi Philippe'owi Pétainowi uznał Pierre'a Laval'a za „wcielonego diabła”.

Z kolei dr Jan Zamojski, autor „Francja na rozdrożu” dowodzi, że Francuzi mają bardzo wiele do zawdzięczenia Lavalowi. „Stworzył im »wygodną sytuację« w okresie okupacji, biorąc na siebie wszystko to, co najgorsze, jeśli chodzi o współpracę z Niemcami. A potem zapłacił najwyższą cenę”.

Powstaje Vichy

Przyjrzyjmy się zatem, jaka była skala francuskiej współpracy w hitlerowskimi Niemcami. We wrześniu 1939 r., po ataku Hitlera na Polskę, Francja wypowiedziała Niemcom wojnę, słusznie nazwaną przez historyków „dziwną”. Trwała ona na Zachodzie aż

do 1940 r. W tym czasie, przy dalszej bezczynności Francji, Niemcy zajęli Danię i Norwegię. 10 maja 1940 r. Hitler wkroczył do Holandii, Belgii i Luksemburga, a potem uderzył na Francję. Zaledwie trzy tygodnie wystarczyły, aby niemieckie natarcie przez Ardeny, osaczyło na północy znaczną część wojsk francuskich, wspieranych przez korpus brytyjski i armię belgijską.

Walki na północy Francji zakończyła dramatyczna ucieczka Aliantów z Dunkierki. Po spektakularnym zwycięstwie, Niemcy przystąpili do ostatecznej przyspawki z Francuzami. 22 czerwca 1940 r. Francja podpisała zawieszenie broni, które w rzeczywistości oznaczało kapitulację. Bliższe dwie trzecie państwa znalazło się pod okupacją.

Ale już 10 lipca zebrane w Tuluzie Zgromadzenie Narodowe Republiki Francuskiej udzieliło nadzwyczajnych pełnomocnictw premierowi, marszałkowi Philippe'owi Pétainowi, który na ich podstawie ogłosił się „głową państwa francuskiego”. Ustawa o pełnomocnictwach została uchwalona przynajmniej większo-

ścią głosów (569 głosów „za” przy 80 „przeciw” przy 30 wstrzymujących się). Okres Francji Vichy rozpoczął się od ogłoszenia neutralności w toczącej się wojnie.

Wyłapać Żydów!

Konsekwentnie rzecz biorąc - już samo powstanie Vichy było formą kolaboracji państwowej. Miało to wymierne konsekwencje, np. oprócz regularnego opłacania i utrzymania armii hitlerowskiej, francuski przemysł pracował na rzecz III Rzeszy, a rolnicy dostarczali Niemcom kontyngenty żywnościowe w zamian za „obligacje”.

Do tego dochodzą masowe i dobrowolne wyjazdy Francuzów do pracy w Rzeszy (do których zachęcały władze Vichy). W praktyce Francja finansowała w ten sposób w znacznej części wysiłek zbrojeniowy III Rzeszy. Kolaboracja obejmowała również zorganizowany współdział policji francuskiej, francuskiej milicji faszystowskiej, kierowanej przez Josepha Darnanda i cywilnej administracji francuskiej (szefował jej Rene Bousquet) w walce z Resistancją, czyli konspiracją

zbrojną i w ustalaniu list proskrypcyjnych i organizowaniu deportacji Żydów do obozów.

W tzw. antyżydowskiej Obławie Vel d'Hiv 16 i 17 lipca 1942 r., ok. 9 tys. francuskich policjantów zatrzymało ponad 13 tys. Żydów w Paryżu i okolicach. Laval, postawiony przed sądem twierdził, że „życie Żydów niefrancuskich było okrutną ceną za pozostawienie w spokoju tych, którzy urodzili się i wychowali we Francji”.

W szeregach SS

Czym innym jednak kolaboracja państwowa, czym indywiduálny wybór. Udział w machinie prohitlerowskiej wynikał nierzadko z ideologii. Np. francuskich ochotników nie brakowało w Wehrmachcie i Waffen SS. Pierwszą francuską jednostką w szeregach niemieckiej armii był Francuski Legion Ochotniczy do Walki z Bolszewizmem, który powstał w lipcu 1941 r.

Żołnierze tego Legionu walczyli na froncie wschodnim, w rejonie Moskwy. W 1943 r. Niemcy wyrazili zgodę na formowanie francuskich jednostek SS. Najpierw była to Francuska Ochotnicza Brygada Szturmowa SS, która w 1944 roku przekształciła się w 33. Dywizję Grenadierów SS „Charlemagne”. Jej dowódcą mianowany został ostatni dowódca Francuskiego Legionu Ochotniczego płk Edgar Puaud.

Francuska Dywizja SS liczyła ok. 7,5 tys. żołnierzy. Najcięższe walki toczyła w rejonie Sanoka na Podkarpaciu oraz na Pomorzu. W rejonie Kołobrzegu starli się m.in. z polskimi żołnierzami z 4. Dywizji Piechoty 1. Armii Wojska Polskiego. W 1945 r. ostatni francuscy ochotnicy bronili Berlina przed Sowietami. Trzech z nich, przed upadkiem miasta, zdążyło jeszcze otrzymać najwyższe niemieckie odznaczenie bojowe - Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego.

Przypadek Brasillacha

Przypadkiem kolaboracji „ideowej” jest postać Roberta Brasillacha, poety, dramaturga, pisarza, krytyka literacki i publicysty, do wiosny 1941 r. jeńca oflagu Neuf-Brisach. Został z niego zwolniony w zamian za współpracę z rządem Vichy.

Zarzucono mu później, że w okresie od 25 kwietnia 1941 do lipca 1943 r. na łamach tygodnika „Je suis partout” opublikował poufne informacje i donosy na temat członków fran-

cuskiego ruchu oporu oraz osób pochodzenia żydowskiego i wzywał władze do ich rozstrzelania. Ale ocena Brasillacha jest trudna, bo wziął też udział w delegacji do Katynia, po której napisał reportaż obciążający odpowiedzialnością za zbrodnię katyńską Sowietów.

W 1944 r. po wyzwoleniu Paryża został aresztowany i skazany za kolaborację na karę śmierci przez rozstrzelanie. Stracono go 6 lutego 1945 r. w Fort Montrouge koło Paryża, mimo że o jego ułaskawienie prosił m.in. Albert Camus, Paul Claudel i Jean Cocteau. „Po II wojnie światowej czystki były najpierw organizowane przez partię komunistyczną. Tyczy się to szczególnie czystek wśród ludzi pióra, gdyż komunistom chodziło o wycięcie prawicowej inteligencji, która zwalczała Front Ludowy, jego dziennikarzy i intelektualistów” - broni Brasillacha Philipp D'Hugues, autor jego biografii.

Pétain bezpieczny

Fakt francuskiej współpracy z hitlerowskimi Niemcami, choć oczywisty, zaczął być tuszowany od razu po zakończeniu wojny. Państwo francuskie propagowało wygodniejszą z politycznego punktu widzenia narrację o Wolnych Francuzach Charles'a de Gaulle'a walczących z Niemcami i Hitlerem.

Bardzo niewielu polityków poniosło też odpowiedzialność za swe zbrodnie. Rozstrzelano Pierre'a Laval'a, ale Marszałkowi Pétainowi wyrok śmierci zamieniono na dożywocie. Do końca swych dni utrzymywał, że „cokolwiek czyniłem - wszystko, czego nie akceptowałem bądź musiałem przyjąć z własnej woli lub pod przymusem - robiłem to dla waszego bezpieczeństwa. Nie mogąc być waszym mieczem, starałem się pozostać tarczą”.

O trudnej przeszłości i niezmażanych historycznych winach niech świadczy charakterystyczny przykład. François Mitterrand, którego trudno posądzić o sympatie prawicowe, jako prezydent Francji regularnie - w rocznice rozejmu w Compiègne z 1918 r. - składał kwiaty na grobie Marszałka Pétaina. Przyłapano pewnego razu przez fotografów tłumacza się, że oddaje hołd temu, który poprowadził Francuzów do zwycięstwa w Wielkiej Wojnie. Rzecz jasna nie rozwiązało to niczych wątpliwości.

Wojna światów, czyli jak książę Konstanty Ostrogski rozgromił Moskwę

Mariusz Grabowski
dorota.kowalska@polskapress.pl

„Zbieranie ziem ruskich” to nie jest współczesny wynalazek. Propagowali tę ideę carowie Iwan III oraz jego syn Wasyl. Natrafili jednak na opór najbliższego sąsiada – Litwy.

Państwo wielkich książąt litewskich, posiadające w swoim władaniu ziemie etnicznie ruskie, było główną przeszkodą w skutecznej realizacji owego moskiewskiego „zbierania”. To z kolei musiało doprowadzić do kolejnych starć nie tylko z Litwą, ale też z pozostającą z nią w unii personalnej Rzeczpospolitą.

Najpierw Smoleńsk

Szczególne nasilenie walk litewsko-moskiewskich nastąpiło na początku XVI w. Toczyły się one ze zmiennym szczęściem, niemniej w 1503 r. Litwa musiała oddać w ręce Moskwy znaczną część ziemi smoleńskiej, choć bez samego Smoleńska i księstwa czernihowsko-siewierskiego. Pięć lat później doszło do kolejnej wojny, w której armię litewską po raz pierwszy oficjalnie wsparły posiłki z Korony pod osobistym dowództwem króla Zygmunta I Starego. Jedynym efektem tych zmagani okazał się zawarty w październiku 1508 r. tzw. pokój wieczysty, który na szczęście dla Litwy nie odbierał jej kolejnych ziem. Potwierdzał jedynie dotychczasowe nabytki Moskwy, ale zapewne mało kto wierzył w trwałość tego porozumienia. Przeciwnicy zdawali się tylko wyczekiwać na odpowiedni moment, by rozstrzygnąć nieunikniony konflikt. W 1512 r. książę moskiewski postanowił zdobyć Smoleńsk, który jednak uparcie stawiał wytrwały opór. Ponownie spróbowano dwa lata później – pod twierdzą podeszła armia moskiewska pod wodzą księcia Michała Glinińskiego; dołączyły do niej następnie oddziały księcia Andrieja Oboleńskiego i w końcu samego Wasyla III.

To miejsce to Orsza

Komendant twierdzy Jurij Sołohub zdecydował się na poddanie Smoleńska, choć w tym samym czasie na odsiecz zmierzała już armia litewsko-polska księcia Konstantego Ostrogskiego, hetmana wielkiego litewskiego. W ślad za Smoleńskiem podały się dalsze miasta: Mścisław, Kryczew i Dubrowna. Na wieść



Główne siły litewskie pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Konstantego Ostrogskiego

o upadku twierdzy Ostrogski postanowił pobić wojsko moskiewskie w otwartej walce, aby uniemożliwić jej pochód w głąb państwa. Główne siły hetmana skoncentrowały się pod Orszą nad Dnieprem. Była to wówczas, obok Smoleńska, jedna z najważniejszych warowni blokujących dostęp do Rzeczypospolitej od strony Moskwy, wchodząca w skład tzw. Bramy Smoleńskiej. W 1394 r. litewski książę Witold Kiejstutowicz osadził tu swego namiestnika, a na początku XV w. nakazał w Orszy budowę murowanego zamku, której nie ukończono. W 1514. zamek był hybrydą murowano-drewnianą, choć uchodził za niezdobyty. Głównodowodzący wojsk moskiewskich, książę Iwan Czeladin, wiedział o posunięciach przeciwnika, jednak będąc pewnym zwycięstwa, pozwolił mu na to, ufając, że później łatwiej mu będzie unicestwić wszystkich naraz. Teren nie był zbyt odpowiedni do operowania jazdą, dlatego też hetman wybrał defensywę z użyciem piechoty. Czeladin zamyślał o zepchnięciu przeciwnika do brzegu Dniepru, uniemożliwiając mu ucieczkę.

Armia Czeladina

Spójrzmy na siły polsko-litewskie. Polski władca Zygmunt wiodł ze sobą co prawda z mozołem zebrane, ale okazał się i nowoczesne jak na owe czasy siły koronne. Historycy szacują liczebność jego armii na ok. 30 tys. ludzi, z dużym udziałem wojsk zaciężnych oraz liczną artylerią. Osiągnąwszy w końcu sierpnia Berezynę, król pozostał z pięciotysięcznym odwodem w Borysowie. Główne siły litewskie pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Konstantego Ostrogskiego – „kniazia z rodu Rurkowiczów, który mógłby z kniaziami Moskwy o ich księstwo rywalizować” – przepłynęły się przez rzekę. Tam też doszło do pierwszych starć z podjazdami moskiewskimi. Można powiedzieć, że dopiero wtedy do kniazia Iwana Czeladina dotarła skala i rozmach działań wojsk jagiellońskich. Dlatego zarządził odwrót swoich sił na lewy brzeg Dniepru oraz ich koncentrację w jego zakolu przy trakcie biegnącym z Orszy do Dubrownej. Chciał zaatakować armię polsko-litewską w trakcie przeprawy, wciągając ją na lewy brzeg Dniepru i – ma-

jąc przewagę liczebną – otoczyć ją i zniszczyć. Czeladin dysponował armią liczącą ok. 60 tysięcy ludzi, ale głównie była to słabo uzbrojona tzw. jazda pomieśtna, którą od biedy przyrównywano do polskiego pospolitego ruszenia.

Przeprawa po beczech

Ostrogski szybko zorientował się w planach wroga i nie zdecydował się na przeprawę przez Dniepr pod nosem Czeladina. Tym samym zniweczył zasadniczą część jego planu. Według barwnego opisu Marcina Bielskiego, pisarza, poety i wojaka, który jednak bitwę znał jedynie z opowieści weteranów: „Naszy mając chęć na nie [bitwę] zostawiwszy nad brzegiem kilka tysięcy lekkich ludzi, aby się tak Moskwie okazowali, na innym miejscu most z drzew i koryt spiąwszy i działa i piesze na drugą stronę Niepru przeprawili”. Owym „innym miejscem” były położone nieco w górę rzeki okolice wsi Paszyno. Przeprawy piechoty i artylerii pod dowództwem Hansa Wejsa i Jana Behema z Norymbergi dokonano prawdopodobnie po moście z powiązanych łodzi, drewnia-

nych bali i beczech po winie i piwie, których było pełno w hetmańskich taborach. Trunki wylano do rzeki, a beczech królewskim saperom, kierowanym przez mieszczanina z Żywca Jana Basztę, wystarczyło na przerzucenie dwóch mostów, po których nocą z 7 na 8 września przeszła większość sił wraz z artylerią. Natomiast jazda lekka przeprawiła się ówczesnym zwyczajem wpław.

Hufce polsko-litewskie

8 września o świcie siły polsko-litewskie uszykowane zostały „klasycznym obyczajem” w taki sposób, żeby rozstrzygnięcie nastąpiło w centrum – tu miało nastąpić związanie walką sił wroga i rozbicie go przez atak ciężkiej jazdy ze skrzydła. Lewą stronę szyku zajęły zatem wojska polskie – na środku szyku w pierwszym rzucie piechota z częścią artylerii, a następnie huf czelny dowodzony przez Wojciecha Sampałińskiego, liczący 10 chorągwi zaciężnych i ochotniczych z Polski (także lekkobrojna chorągiew nadworna Sampałińskiego). Lewe skrzydło zajęło 10 chorągwi polskich kopijników pod dowództwem starosty trembowelskiego Janusza Świerczowskiego, tworzących tzw. huf walny sił polskich, prawe natomiast trzon sił litewskich – oba osłaniane przez lekką jazdę litewską. Litewski huf czelny dowodzony przez Ostrogskiego, jak i huf walny dowodzony przez wojewodę kijowskiego Jerzego Herkulesa Radziwiła, składał się ze służby ziemskiej. Na skrzydłach stały hufce posiłkowe złożone z lekkich chorągwi jazdy litewskiej. Dodatkowo Ostrogski postanowił wykorzystać walory terenu i wązów obsadził kilkoma rotami piechoty wspartej artylerią, na wypadek gdyby udało się wciągnąć tu siły wroga.

Padła kniaź Obolenśki

Walczyć zaczęto o godz. 9 rano. Początkowo to armia moskiewska miała wyraźną przewagę, rozbijając oddziały lekkiej jazdy litewskiej, którą ostatecznie uratowało polskie przeciwnatarcie. Tuż potem nastąpiła zażarta walka, którą ostatecznie rozstrzygnął atak litewskiego hufca naczelnego, co zmusiło napastników do cofnięcia się, a w konsekwencji do ucieczki. Na chorągwie moskiewskie spadła lawina ołowiu i kamieni. To dał o sobie znać ukryty wówczas „lud ognisty”. Polscy strzelcy i artylerzyści ujwiali się

jak w ukropie, aby oddać jak najwięcej salw. Jak czytamy w książce Krzysztofa Jabłonki „100 polskich bitew. Na lądzie, morzu i w powietrzu”: „Każdy strzał był celny, a niektóre zabijały dwukrotnie. (...) Od kamiennej kuli zginął kniaź Obolenśki. Padł wkrótce od kuli wojewoda Temko Rostowski, a także większość dowódców i bojarów”. Wybuchła panika. W bitwie decydujący był jednak manewr zastosowany przez Ostrogskiego: po pozorowanej ucieczce jazdy na ścigające ją oddziały rzuciła się ukryta piechota; kolejne uderzenie jazdy doprowadziło do całkowitego rozbicia przeciwnika. Ostatni atak Czeladina został pomyślnie odparty. Wieczorem rozpoczęło się, trwające do północy, dobijanie moskiewskich uciekinierów. Natomiast ci, którym udało się uciec spod jagiellońskich ostrzy, w większości znaleźli śmierć w pobliskich rzeczkach i bagniskach.

Starcie cywilizacji

Następnego dnia nieliczne grupki schroniły się za umocnieniami Smoleńska, gdzie wieści o zwycięstwie daremnie wyczekiwał Wasyl III. Zamiast tego musiał pogodzić się z tym, że, cytując Krzysztofa Jabłonkę: „Na polu bitwy pod Orszą zdegradowano siły średnio-wieczne z jagiellońskim renesansem”, co przyniosło parotysięczne krwawe straty jego armii oraz niewolę wielu dowódców, z których zaledwie dwóch po prawie 40 latach jenieckiej niedoli powróciło do Moskwy. Sukces polsko-litewski był jednoznaczny: po stronie moskiewskiej zginęło od kilku do kilkunastu tysięcy żołnierzy, po stronie aliantów zaledwie kilkuset. Udało się odzyskać część utraconych wcześniej terenów, choć nie powstrzymano naporu Wasyla III na ziemie litewskie. Dalsze sporadyczne działania wojenne prowadzono aż do podpisania pokoju w 1522 r. I na koniec mało znana ciekawostka, którą zapisał Decjusz, dyplomata i doradca Zygmunta. Po zwycięstwie król miał wysłać poselstwo do papieża Leona X z wieścią i częścią znaczących jeńców. Poselstwo nie dotarło jednak do celu, gdyż zatrzymane zostało przez cesarza Maksymiliana, który „czem mógł, Moskwie pomagał”. Poseł został uwolniony dopiero w styczniu 1515 r., a postępowanie cesarza zarówno monarcha polski, jak i papież odebrali jako obrażę. ©

Najcenniejsze dzieło zrabowane podczas II wojny światowej. Czy „Portret młodzieńca” kiedykolwiek wróci do Krakowa?

Anna Piątkowska
GłosmaHistoria

516 tysięcy dzieł sztuki i ponad 22 miliony woluminów to liczby strat wojennych, jakie podaje ministerialny Wydział Restytucji Dóbr Kultury. Odnoszą się jedynie do znanych i zarejestrowanych zbiorów. Trudno oszacować rzeczywistą skalę strat poniesionych przez Polskę podczas II wojny światowej. Najśłynniejsza wojenna strata polskich zbiorów to dzieło ukradzione z Krakowa – „Portret młodzieńca” Rafaela Santi. Co o nim wiemy?

Za polskie straty wojenne uznaje się ruchome dobra kultury utracone w wyniku II wojny światowej z terenów Polski po 1945 roku, pochodzące zarówno ze zbiorów publicznych, prywatnych, jak i kościelnych.

W czasie działań wojennych z polskich kolekcji zaginęły takie dzieła, jak: „Portret młodzieńca” Rafaela Santi, „Zwiastowanie pasterzom” Rembrandta, „Diana i Kalisto” Rubensa, XVI-wieczna „Madonna z Dzieciątkiem (zw. Głogowską)” i „Kuszenie św. Antoniego” Lucasa Cranacha Starszego, „Leżąca lwica”, rysunek XV-wiecznego mistrza Albrechta Dürera i jego miedzioryt „Melancholia”, obraz Antona van Dycka „Ecce Homo”. To zaledwie kilka zrabowanych dzieł, o których wiadomo, że podczas wojny nie zostały zniszczone, a ukradzione.

Obszerny katalog dzieł zrabowanych i wywiezionych z Polski znajduje się na stronie dzieła-utracone.gov.pl.

Najcenniejsze zrabowane dzieło z polskich zbiorów

Po II wojny światowej w krakowskich zbiorach nie odnaleziono takich dzieł, jak należąca do wawelskiej kolekcji akwarela Juliana Fałata „Widok Krakowa”, fragmentu tryptyku ołtarza z Lu-siny dzieła Wita Stwosza lub wykonanego w jego warsztacie (część ołtarza odzyskano – znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie); środkowego fragmentu – „Matka Boska zwraca cyrograf św. Teofilowi” – nadal nie udało

się odnaleźć. Ale najśłynniejszą stratą jest „Portret młodzieńca” Rafaela Santi.

„Straty wojenne Muzeum Narodowego w Krakowie obejmują łącznie 1163 obiekty, w tym straty wojenne dzieł sztuki z MNK to 836 obiektów, a 327 to obiekty z Kolekcji Czartoryskich. Są to przedmioty zrabowane przez niemieckich okupantów, którymi między innymi dekorowano siedziby Głównego Gubernatora, urzędy niemieckie i niektóre lokale użytkowe” – czytamy na stronie Muzeum Narodowego w Krakowie. Po wojnie odzyskano m.in. obrazy Leonarda da Vinci i Rembrandta z tych zbiorów, do dziś nie odnaleziono jednak „Portretu młodzieńca”.

Namalowany w 1514 roku obraz należał do kolekcji Czartoryskich i przed wojną prezentowany był w krakowskim muzeum. Portret nie zawiera podpisu malarza, ale historycy sztuki przypisują jego autorstwo Rafaelowi.

Przedstawia młodego mężczyznę w czarnej czapce na głowie, ubranego w białą koszulę, na którą zarzucone ma futro. Za postacią widoczne jest okno, przez które widać włoski kraj, obraz. Obraz może przedstawiać samego malarza – historycy sztuki wskazują podobieństwo bohatera do innego autoportretu malarza. Obraz jest bezcenny, ale kwota, jaka pada w jego kontekście, to około 100 milionów dolarów.

„Portret młodzieńca” trafił do polskich zbiorów w pierwszej poł. XIX wieku za sprawą księżnej Izabeli Czartoryskiej, która w rodzinnej rezydencji w Puławach gromadziła zbiorki o znaczeniu historycznym i kulturalnym. Kiedy w Krakowie powstało Muzeum Czartoryskich, obraz był w nim prezentowany.

O jego wojennych losach wiadomo tyle, że tuż przed wybuchem wojny w 1939 roku został ukryty w majątku Czartoryskich w Sieniawie, m.in. z obrazem Leonarda da Vinci. Skrytka została jednak splądrowana i jeszcze w tym samym roku portret trafił do Berlina – w przyszłości miał się znaleźć w planowanym przez Hitlera w Linzu muzeum sztuki. Nigdy ono jednak nie powstało. Obraz został wpisany do specjalnego



„Portret młodzieńca” Rafaela Santi

katalogu zabytków przejętych przez Niemców na terenie Generalnego Gubernatorstwa, gdzie otrzymał numer 141. Z Berlina w 1943 roku „Młodzieniec” wrócił do Krakowa – przejęty przez gubernatora Hansa Franka zawieszony w jego rezydencji na Wawelu.

Latem 1944 roku Frank zdecydował o przygotowaniu zbiorów sztuki przechowywanych w Krakowie do ewakuacji. Obraz wraz z innymi dziełami sztuki prawdopodobnie został zdeponowany w Sichowie na Dolnym Śląsku. Trzy skrzynie wybranych dzieł sztuki trafiły do Bawarii: była wśród nich „Dama z gronostajem” i „Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem”, które odzyskano do polskich zbiorów. „Portretu młodzieńca” miało w skrzyniach jednak nie być ze względu na nieporęczne wymiary deski, na której namalowano obraz. Tu ślad po arcydziele się urywa: nie jest wspomniany ani w notatkach, ani w zeznaniach świadków.

W 2012 roku polskie media (powołując się na źródła w MSZ) donosiły, że zaginiony obraz Rafaela spoczywa bezpiecznie w jednym z banko-

wych sejfów, jednak resort zdecydował te pogłoski.

To on odzyskał „Damę z gronostajem”

W poszukiwaniu „Portretu młodzieńca” zaangażował się jeszcze podczas wojny historyk sztuki, prof. Karol Estreicher jr – bezskutecznie, choć na swoim koncie ma on rewindykację wielu najcenniejszych zrabowanych dzieł.

Karol Estreicher już w czasie wojny zaczął tworzyć podstawy prawne do przyszłej rewindykacji dzieł, w związku z czym w 1945 roku Polska była jedynym krajem przygotowanym do odzyskania skarbów: była kartoteka zrabowanych obiektów i prawdopodobne miejsce, gdzie mogły się znajdować. Estreicher – jako jedyny Polak – został zaliczony do grupy tzw. Monuments Men, czyli alianckich historyków sztuki, którzy odnajdywali po wojnie zabytki. Wcześniej był też zaangażowany w ewakuację najcenniejszych zabytków wawelskich, m.in. arrasów i Szczerbca.

Estreicher ma swój ogromny wkład w to, że 30 kwietnia 1946 roku do Krakowa przyjechał

transport 40 wagonów historii Polski – był tam m.in. ołtarz mariacki, „Dama z gronostajem”, a także 7 wagonów mienia uniwersyteckiego.

Zrabowane dzieła wróciły na Wawel

W grudniu 2021 roku po siedemdziesięciu latach na Wawel powrócił zrabowany obraz

Leona Wyczółkowskiego „Góralka/Wiejska dziewczyna w żółtej chuście”, odzyskany dzięki staraniom MKiDN. Rok wcześniej pracownicy Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego zidentyfikowali obraz na jednej z aukcji. Szybko udało się potwierdzić proveniencję obrazu i dzięki temu mógł on równie szybko wrócić do zbiorów wawelskich.

W lipcu 2024 roku na Zamek Królewski w Krakowie powróciła kolejna strata wojenna – to „Śmierć ułana”, obraz lwowskiego malarza Kajetana Stefanowicza. Na ślad akwareli trafiono po tym, jak jej zdjęcia zostały opublikowane w mediach społecznościowych. Resort kultury zgłosił sprawę policji – tak kryminalni trafili do posiadacza utraconej akwareli.

Rok wcześniej do królewskiej rezydencji powróciła „Lekcja rysunku” Jana Mauritsa Quinkhardta. Dzieło trafiło na Wawel w 1927 roku wraz z kolekcją prof. Jerzego Mycielskiego; zaginęło w czasie wojny. W 2022 roku obraz trafił do jednego z krakowskich domów aukcyjnych, gdzie został rozpoznany jako strata wojenna. Właściciel nie miał świadomości, że to zrabowane dzieło. Po rozpoznaniu zwrócił obraz prawowitemu właścicielowi.

Do najbardziej znaczących strat wojennych Zamku Królewskiego na Wawelu należą obiekty z działu malarstwa dawnego, wśród nich „Pejzaż nadbrzeżny” i „Krajobraz z zagrodą i nasypem” Jana van Goyena, „Siwy koń na tle krajobrazu” Paulusa Pottera, „Święta Katarzyna Aleksandryjska z donatorem” XVI-wiecznego malarza włoskiego i „Scena rodzajowa” Isaaca van Ostade. Wśród dzieł sztuki polskiej XIX i XX w. najdotkliwszą

pod względem artystycznym stratę stanowią dzieła Piotra Michałowskiego, Maksymiliana Gierymskiego, Artura Grottgera, Jana Rembowski, Jacka Malczewskiego i Leona Wyczółkowskiego czy rzeźby Xawergo Dunikowskiego.

Królewską taszkę prokurator badał ponad dekadę

W listopadzie 2025 roku z Wawelu do wielkopolskiego Kórnik wyjechała taszka – element siodła króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. To także strata wojenna, którą rozpoznano, kiedy w 2013 roku zaproponowano Zamkowi Królewskiemu na Wawelu jej zakup.

Od tego czasu trwało długie i skomplikowane śledztwo prokuratorskie, a taszka czekała w magazynach. Została zrabowana ze zbiorów Biblioteki Kórnickiej i właśnie trafiła do prawowitego właściciela. – Odzyskaliśmy ponad 800 różnych obiektów naszego dziedzictwa kulturowego, natomiast cały czas jesteśmy w wielu procesach restytucyjnych: złożonych jest ponad 200 wniosków w 18 krajach na całym świecie. Tylko w tym roku udało się w wyniku takich wniosków odzyskać 25 obiektów. Ostatnio udało się odzyskać obiekt ze Stanów Zjednoczonych, lada chwila ogłosimy naprawę przełomowy powrót ogromnego kawałka naszej historii, który został skradziony podczas II wojny światowej – informowała w listopadzie Marta Cienkowska, minister kultury i dziedzictwa narodowego.

Zrabowane obiekty niejednokrotnie są dziś w rękach prywatnych. Ich obecni właściciele często nie mają tej świadomości, wystawiając je na aukcjach, gdzie bywają rozpoznane jako straty wojenne. Potem najczęściej rozpoczynają się negocjacje, ponieważ dzieł zrabowanych państwo nie odkupuje – są zwracane właścicielowi.

Królewską taszkę jej właścicielka oddała, natomiast proces sprawdzania dzieł zabytku od czasu kradzieży, dochodzenie prokuratorskie, badania historyków, którzy dociekali autentyczności przedmiotu i drogi, jaką przez te lata przeszedł, trwały 12 lat.

Shoichi Yokoi i ostatni żołnierze II wojny światowej

Mariusz Grabowski
II wojna światowa

Kapral Yokoi, przekonany, że wojna z Amerykanami wciąż trwa, ukrywał się w dżungli na wyspie Guam na Marianach. Znalezione go dopiero 24 stycznia 1972 r.

Przypadek Yokoiego dowodzi, że wielu japońskich fanatyków przez dekady nie uwierzyło w koniec wojny. Unikali ludzi, żyli z dnia na dzień i czekali, aż zostanie uratowany przez własne wojska. Yokoi, podobnie jak Robinson zbudował prymitywny dom, robił własne ubrania, jadł ryby, spreparowane jadowite żaby, węże i szczury.

„Zostałem tylko ja”

Zajrzyjmy do CV naszego bohatera. Shoichi Yokoi urodził się w 1915 r. w Nagoi, czyli w południowej części wyspy Honshu. Przed wojną pracował jako krawiec, co zresztą później pomogło mu w przetrwaniu. W 1941 r. został powołany do japońskiej armii, a w lutym 1943 r. trafił na wyspę Guam jako żołnierz oddziałów zaopatrzeniowych. Latem następnego roku, gdy podczas amerykańskiej ofensywy japońska linia obrony została przełamana, Yokoi wraz z innymi żołnierzami musiał ratować się ucieczką do dżungli.

Nawet przez chwilę nie myśleli o poddaniu się jankesom. Wychowani w duchu bezwzględnej lojalności wobec cesarza i przekonani, że poddanie się jest hańbą, postanowili nie składać broni i walczyć. W ciągu kilku miesięcy liczba ukrywających się Japończyków zmalała do kilkudziesięciu. By przeżyć, zabijali wypasane na wyspie krowy, dzięki czemu zyskiwali jedzenie na kolejne dni swojej ucieczki.

Ukrywali się najpierw w grupie, a potem w coraz mniejszym gronie. Z czasem Yokoi pozostał zupełnie sam, przekonany, że wojna trwa lub że dla niego nie ma już powrotu do ojczyzny.

Przed snem kodeks

Aż trudno uwierzyć, że Yokoi trwał na posterunku aż 28 lat. Żył w dżungli, korzystając z umiejętności wyniesionych z rodzinnego domu i wojskowego szkolenia. Swoją podziemną schron wzmocnił bambusem i wyposażał w prymi-



Dwa tygodnie po odnalezieniu Yokoi wrócił do Japonii, a jego powrót stał się medialną sensacją

tywną toaletę. Dzięki doświadczeniu krawieckiemu potrafił szycić ubrania z włókien roślinnych i skórek zwierząt, a narzędzia i pułapki konstruował z dostępnych materiałów.

Co jadł? Jego dieta składała się głównie z żab, szczurów, węży, krewetek rzecznych, okazjonalnie owoców i orzechów. Z czasem nauczył się usuwać jad z trujących ropuch, które hodował w swoim schronie. Wodę do picia gotował, by uniknąć chorób, a ogień rozpałał za pomocą prochu z amunicji. Przez cały czas unikał kontaktu z ludźmi, obawiając się schwytania przez Amerykanów lub miejscowych „kolaborantów”.

Nocami recytował kodeks honorowy armii japońskiej. Chodziło zapewne o ten wydany w styczniu 1941 r., który opierał się na tzw. „Reskrypcie Cesarskiej do Żołnierzy i Marynarzy”. Był to zbiór zasad opartych na uwspółcześnionej filozofii bushido, kładących nacisk na absolutną lojalność wobec Cesarza, bezwzględne posłuszeństwo i preferencję śmierci nad hańbą poddania się.

Prosił o śmierć

Owego 24 stycznia 1972 r. nakłonił się na grupę miejscowych myśliwych. „Spanikował, bo bał się, że zostanie wzięty do niewoli, co było największym poniżeniem dla japońskiego żołnierza. „Prosił tych myśliwych, żeby go zabili” - wspominał po latach jego siostrzeniec Omi

Hatashin, który zredagował później wspomnienia Yokoia.

Myśliwi niemalże siłą zabrali heroicznego wojaka do osady, w której mieszkali, by udzielić mu niezbędnej pomocy. „W czasie drogi Yokoi szarpał się i płakał, błagając o śmierć; chciał, by spotkał go los, jaki czekał na każdego honorowego samuraja” - dodawał jeden z myśliwych.

Robinsona zbadał lokalny lekarz i - co ciekawe - okazało się, że jest on w zadziwiająco dobrej kondycji fizycznej. Gdy badano go już w Japonii, okazało się, że wykazuje „nieznaczne odchylenia” w sferze neurologicznej, ale oficjalnych danych zdrowotnych nigdy nie ujawniono.

Powrót bohatera

Już dwa tygodnie po odnalezieniu Yokoi wrócił do Japonii, a jego powrót stał się medialną sensacją. „Czuję się wielce zaskoczony, że wracam żywym - słowa Yokoiego, które wypowiedział zaraz po powrocie do domu, stały się w Japonii niemal symboliczne.

W krótkim czasie ożenił się i zamieszkał w prefekturze Aichi. Co wielce charakterystyczne - armia wypłaciła mu zaległy żołd, a władze przyznały emeryturę. W 1991 r. Yokoi dostąpił nawet zaszczytu spotkania z cesarzem Akihito, którego chciał przeprosić za „hańbę”, jaką była jego ucieczka przed wrogiem.

Pytany, dlaczego ukrywał się w dżungli tak długo, odpo-



Hiroo Onoda ukrywał się do marca 1974 r., odnalazł go podróżnik Norio Suzuki

wiedział wymijająco: „Miałem trudne dzieciństwo, żyłem z bardzo nieprzyjemnymi krewnymi. Trzymałem się dżungli, ponieważ nie chciałem mieć z nimi do czynienia”. Wszyscy jednak wiedzieli, że kierował się zupełnie innymi pobudkami.

„Yankee go home”

Jak czytamy w posłowniu Omi Hatashina, jego krewny nigdy w pełni nie przyzwyczaił się do życia w nowoczesnym kraju. Z każdym rokiem stawał się coraz bardziej nostalgiczny i zamknięty w sobie. Przed swoją śmiercią w 1997 r., w towarzystwie żony, odbył co prawda kilka podróży na Guam (otwarto tam muzeum na jego cześć, liczące... osiem metrów kwadratowych), ale „nie okazywał żadnych emocji”.

Shoichi Yokoi zmarł 22 września 1997 r., w wieku 82 lat, na atak serca. Pochowano go jak narodowego herosa. Reporterzy zauważyli, że w żegnającym go tłumie pojawiły się nawet antyamerykańskie hasła, żądające m.in. opuszczenia przez US Army baz na terytorium Japonii.

Żołnierze Cesarza

Yokoi nie był jedynym żołnierzem, który padł ofiarą armijnej indoktrynacji. Nie był nawet „wojennym rekordzistą” w ukrywaniu się przed zwycięzcami. Pierwszymi udokumentowanymi przypadkami tego typu był 46-osobowy oddział

kapitana Sakae Oby, który prowadził partyzancką walkę na wyspie Saipan do grudnia 1945 r., czyli przez miesiąc po poddaniu się Japonii.

W 1949 r. amerykańskim żołnierzom poddało się dwóch Japończyków ukrywających się na Iwo Jimie. W latach 50. dwóch kolejnych „żołnierzy cesarza” poddało się policji na Filipinach, zaś dekadę później na wyspie Guam broń złożył Tadashi Ito, który walczył w ukryciu przez 26 lat.

Rekord Nakamury

Wojennym długodystansowcem okazał się jednak szeregowy Teruo Nakamura, wcielony do japońskiej armii w 1943 r. i wysłany na indonezyjską wyspę Morotai. Po jej zajęciu przez aliantów we wrześniu 1944 r. Nakamura został uznany za zmarłego.

Odnaleziono go dopiero 18 grudnia 1974 r., dwa lata później niż Yokoiego, co oznacza, że swoją walkę prowadził aż 30 lat. Przetransportowano go od razu do szpitala w stolicy Indonezji, Dżakarcie. Po zakończeniu leczenia, poprosił o przewiezienie go na Tajwan, gdzie się urodził.

Z faktu, że Nakamura nie był etnicznym Japończykiem, nie przysługiwała mu japońska emerytura. Jako były żołnierz otrzymał tylko niedużą odprawę, co spotkało się ze społecznym odzewem - mieszkańcy Tajwanu oraz rząd zebrali na rzecz Nakamury pokaźną

kwotę, za którą mógł się utrzymać. Zmarł w 1979 r.

Przypadek Onody

Nakamurze dorównał Hiroo Onoda, pochodzący z Kamekawy w dystrykcie Kaisō, który ukrywał się do marca 1974 r. na wyspie Lubang na Filipinach. Przed wojną pracował w firmie handlowej, a zmobilizowany w 1942 r. trafił do wywiadu armii japońskiej. Otrzymał rozkaz, aby z trzema podwładnymi dokonywać na Lubangu sabotaży wymierzonych w amerykańską infrastrukturę.

Kiedy Japonia podpisała kapitulację i wojna się skończyła, ataki Onody nie zakończyły się. Władze Filipin przez kolejne lata podejmowały różne próby przekonania Onody, że wojna naprawdę zakończyła się w 1945 r., ale bezskutecznie. Japończycy stawali się coraz większym problemem, tym bardziej, że dość regularnie dochodziło z ich udziałem do potyczek z miejscowymi mieszkańcami - przez niemal 30 lat Onoda i jego towarzysze zabili ok. 30 osób, sądząc, że walczą z wrogiem.

W końcu, kiedy reszta żołnierzy została zabita w wyniku przypadkowych strzelanin, Onoda został sam.

Granaty i sztylet

20 lutego 1974 r. w jego kryjówce pojawił się podróżnik Norio Suzuki, który przekonał go, że wojna z Amerykanami naprawdę się skończyła. Ostatecznie Onoda ujawnił się i zrzucił mundur, gdy na wyspie zjawili się jego byli dowódcy - Yoshimi Taniguchi.

Poddanie obyło się ceremonialnie. Taniguchi wydał mu rozkaz: „Zgodnie z rozkazem Cesarza: Czternasta Armia Obszaru zaprzestała wszelkiej działalności bojowej. (...) Jednostki pod dowództwem Eskadry Specjalnej mają natychmiast zaprzestać operacji wojskowych i oddać się pod dowództwo przełożonego, a jeśli nie uda się znaleźć żadnego oficera, mają oni skontaktować się z siłami amerykańskimi lub filipińskimi i postępować zgodnie z ich instrukcjami”.

Hiroo Onoda dopiero wówczas poddał się oraz oddał całą zgromadzoną broń, w tym miecz, 500 sztuk amunicji, kilka granatów i sztylet. Zmarł w 2014 r. w Tokio.